

JACK HIGGINS

**TESTAMENT CASPARA
SCHULTZA**

Przekład Barbara Ulrys

HK

Arnoldowi

1

Chavasse leżał podpierając głowę ręką na poduszce i wpatrując się w sufit poprzez otaczającą go ciemność. Czuł się zmęczony — już od dawna nie pamiętał, aby tak bardzo był zmęczony, a mimo to nie mógł usnąć. Zapalił lampę przy łóżku i sięgnął po papierosa. Kiedy przytknął zapałkę, rozdzwonił się telefon.

Podniósł szybko słuchawkę, przy uchu zabrzmiał spokojny głos, którego nie mógł rozpoznać.

— Paul, to ty?

Uniósł się wyżej na poduszce.

— Kto mówi?

— Jean Frazer. Twój samolot przyleciał z Grecji do Londynu trzy godziny temu. Dlaczego się nie zgłosiłeś?

— Po co taki pośpiech? — odezwał się Chavasse. — Wczoraj przekazałem wstępny raport z Aten. Zjawię się u Szefa rano.

— Musisz przyjść zaraz — odparła Jean Frazer. — I lepiej się pospiesz. Czeka na ciebie przez cały czas od wylądowania samolotu.

— Dlaczego, u licha? — Chavasse spytał wyraźnie niezadowolony. — Mam za sobą dwa miesiące roboty w Grecji, która bynajmniej nie należała do przyjemności. Chyba mam prawo, żeby choć trochę przespać się w nocy.

— Nie łam mi serca — powiedziała ze spokojem. — Ubierz się, jak przystało na grzecznego chłopca. Przyślę po ciebie samochód.

Usłyszał odgłos odkładanej słuchawki i zaklął cicho, po czym wysunął się spod kołdry. Włożył spodnie i boso podreptał do łazienki.

W oczach czuł piasek z niewyspania, w ustach miał niesmak. Nalał wody do szklanki i zaczął popijać rozkoszując się jej świeżością. Po chwili zanurzył głowę i ramiona w zimnej wodzie.

Wycierając się ręcznikiem przyglądał się swojej twarzy w lustrze. Oczy miał podkrążone, na policzkach porobiły mu się bruzdy ze zmęczenia. Odziedziczył tę skłonność po ojcu, Francuzie.

Była to twarz przystojna, nawet arystokratyczna, twarz naukowca, a szkaradna, pomarszczona blizna na lewym ramieniu, po dawnym postrzale, wydawała się zupełnie nie na miejscu, niestosow-

na.

Przesunął opuszkami palców pod szarymi oczami i westchnął. — Chryste, wyglądasz okropnie powiedział cicho, a wtedy twarz w lustrze rozjaśniła się uśmiechem, pełnym naturalnego uroku, który był jego najpoważniejszym atrybutem.

Przeciągnął ręką po dwudniowym zarostcie na brodzie, postanowił się jednak nie golić i wrócił do sypialni. Kiedy się ubierał, deszcz tłukł w szyby niemiłosiernie. Po dziesięciu minutach narzucił stary trencz i wyszedł.

Kiedy znalazł się przed domem, czekał już przy schodach samochód. Usiadł obok kierowcy ijechał w milczeniu poprzez opustoszałe, zalane deszczem ulice, wpatrując się ponuro w głęboką noc.

Był zmęczony. Zmęczony życiem na walizkach, ciągłym przenoszeniem się z kraju do kraju, odgrywaniem różnych ról w stosunku do różnych osób, przy pełnej świadomości, że jest zupełnie kimś innym. Po raz pierwszy od pięciu lat przyszło mu na myśl, że powinien z tym skończyć, ale właśnie przejeżdżali przez bramę dobrze mu znanego domu na St. John's Wood, więc tylko uśmiechnął się smętnie i przestał o tym myśleć.

Samochód zatrzymał się przed frontowymi drzwiami. Wysiadł, nie odezwawszy się ani słowem do kierowcy, i wspiął się po schodach. Nacisnął dzwonek przy błyszczącej mosiężnej tabliczce z napisem Brown i Spółka, Import-Eksport, i czekał.

Wkrótce otworzył drzwi wysoki, szpakowaty mężczyzna w granatowym serżowym garniturze. Odsunął się na bok z uśmiechem na twarzy.

— Cieszę się z pana powrotu, panie Chavasse. Chavasse też się uśmiechnął i wchodząc, klepnął go lekko po ramieniu.

— Wspaniale wyglądasz, Joe.

Wszedł po krętej klatce schodowej w stylu regencji i znalazł się na korytarzu wyłożonym grubym dywanem. W panującej tu ciszy słyhać było tylko cichy, nieprzerwany szum prądnicy w pokoju, w którym była radiostacja, wspiął się jednak jeszcze po dwóch stopniach i znalazł się w następnym korytarzu. Tutaj panowała absolutna cisza. Na końcu korytarza znajdowały się szerokie, pomalowane na biało drzwi, które otworzył.

Pokój był mały i skromnie umeblowany, w rogu stało biurko, a na nim maszyna do pisania i kilka telefonów. Pochylona nad szafką z aktami Jean Frazer uniosła głowę z uśmiechem na okrągłej, inteligentnej twarzy. Jednym ruchem ręki zdjęła okulary i powiedziała zasepiona: Wydajesz się zmaltretowany.

O tej porze rano zwykle tak wyglądam — odparł z cierpkim uśmiechem.

Miała na sobie białą bluzkę i tweedową spódnicę o złudnie prostym kroju, opinającą jej krągłe biodra. Patrzył na nią z zadowoleniem, gdy szła w stronę biurka.

Przysiadł na jego brzegu i sięgnął do paczki papierosów leżących na blacie. Zapalił i z wes-

tchnieniem ulgi wypuścił kłęb dymu.

— O co właściwie chodzi? Co sobie SzeF wbił do głowy? Co jest aż tak ważne, że nie może czekać do jakiejś godziwej pory?

Wzruszyła ramionami.

— Dlaczego jego o to nie spytasz? Czekaj na ciebie w gabinecie.

Zmarszczył lekko czoło. Znowu jakaś robota? Skinęła głową.

— Chyba coś bardzo poważnego. Chavasse zaklął cicho i zsunął się z biurka.

— Czy on sobie wyobraża, że jestem z... żelaza?

Nie czekając na odpowiedź, skierował się do drzwi w głębi pokoju, otworzył je i wszedł do środka.

Pokój był dość mroczny, oświetlała go tylko lampa z abażurem stojąca na biurku przy oknie. SzeF przeglądał plik napisanych na maszynie dokumentów, ale natychmiast uniósł głowę z wyrazem powagi na twarzy. Uśmiechnął się jednak i wskazał gestem ręki krzesło.

— A więc udało mi się wreszcie cię odnaleźć, Paul. Usiądź, proszę, i opowiedz mi o Grecji.

Chavasse opadł na krzesło i odsunął z czoła kapelusz.

— Czyżbyś nie otrzymał mojego zakodowanego raportu z Aten?

SzeF skinął głową.

Zerknąłem na ten raport wczoraj, jak tylko go otrzymałem. Wydaje się w porządku. Czy to już wszystko? Chavasse wzruszył ramionami.

— Nie całkiem. Twoje podejrzenia co do Skirosa okazały się słuszne. Był podwójnym agentem. Pracował dla Komuchów przez ostatnie cztery lata. Długo będą musieli czekać na jego kolejny raport.

SzeF wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy i zapalił go ostrożnie.

— Jak na to wpadłeś?

— Wytropiłem go na Lesbos — wyjaśnił Chavasse. — Spędzał urlop na nurkowaniu. Tak się niefortunnie złożyło, że któregoś popołudnia coś mu się zepsuło w aparaturze tlenowej. Kiedy go wydobyli na brzeg, było już za późno.

— A to pech! — westchnął SzeF. Chavasse pochylił się nad biurkiem.

— A teraz, skoro już naświetliłem co ciekawsze aspekty tej sprawy, chyba mogę wrócić do łóżka. — Wstał i podszedł do okna. — Mam uczucie, jakbym nie spał już do miesiąca.

— Tkwił przy oknie wpatrując się w strumienie deszczu, po chwili nagle się odwrócił. — Jeśli mam być szczery, to jadąc tutaj pomyślałem, że czas już skończyć z tą robotą. SzeF uniósł brwi, najwyraźniej zdziwiony.

— A widzisz siebie znowu w charakterze wykładowcy na prowincjonalnym uniwersytecie? — Potrząsnął głową. — Mowy nie ma, Paul. Jesteś najlepszy ze wszystkich ludzi, jakich mam. Kiedyś

zajmiesz miejsce przy tym biurku.

— Jeśli dożyję — zauważył cierpko Chavasse. Szef wskazał mu krzesło.

— Usiądź i zapal jeszcze papierosa. To normalne uczucie po wykonanej robocie, zwłaszcza gdy trzeba było kogoś uśmiercić, otrzębny ci dłuższy odpoczynek.

— No więc? — odezwał się Chavasse. — Bóg jeden wie, że służyłem sobie na odpoczynek.

Cały ten rok był piekielny.

— Wiem, Paul, wiem — mówił Szef starając się załagodzić jego nastrój. Dopilnuję tego, abys odpoczął... po tej następnej robocie.

Chavasse odwrócił się od okna zdenerwowany.

Na miłość boską, przecież nie jestem jedynym człowiekiem w tym biurze. Co z Wilsonem czy LaCostą? Szef pokręcił głową.

Wysłałem Wilsona do Ankary w zeszłym miesiącu. Zniknął bez śladu drugiego dnia. Obawiam się, że musimy go wykreślić z naszej listy.

— A LaCostą?

— Załamał się po tej aferze na Kubie. Odesłałem go do domu na sześć miesięcy. — Szef westchnął. — Dzisiaj rano otrzymałem orzeczenie psychiatry. Szczerze mówiąc, nic dobrego. Chyba już nigdy nie będziemy mogli skorzystać z usług LaCosty.

Chavasse podszedł do krzesła i opadł na nie całym ciężarem. Wziął papierosa ze srebrnej papierošnicy, którą podsunął mu Szef, i zapalił pewną ręką. Po chwili uśmiechnął się.

— No cóż, poddaję się. Mów, o co chodzi. Szef wstał.

— Wiedziałem, że zgodzisz się ze mną, Paul. I nie martw się, dostaniesz urlop. Ta sprawa powinna ci zająć najwyżej kilka tygodni.

Dokąd mam jechać? — Chavasse spytał bez ogródek. Niemcy Zachodnie. — Szef podszedł do okna i mówił dalej odwrócony plecami. — Co wiesz o Casparze Schultz? Chavasse spowaźniał.

To jeden z czołowych nazistów, chyba zginął podczas bombardowania Berlina, kiedy wkroczyli Rosjanie. Czy nie był on w bunkrze z Hitlerem i Bormannem aż do samego końca?

Szef odwrócił się i przytaknął skinieniem głowy.

— Jedno wiemy na pewno. Wedle ostatnich, znanych nam doniesień próbował się wydostać z miasta w czołgu. Jak się to skończyło, nie wiemy, ale w każdym razie jego ciało nie zostało nigdy zidentyfikowane.

Chavasse wzruszył ramionami.

— Nic dziwnego. Mnóstwo ludzi zginęło, kiedy wkraczali Rosjanie.

Szef wrócił do biurka i usiadł.

Od czasu do czasu krążyły różne pogłoski na temat Schultz. Że mieszka w Argentynie, to znów że ma farmę w Irlandii. Sprawdzaliśmy to bardzo dokładnie, ale żadna z tych pogłosek nie została

potwierdzona.

Chavasse'a ogarnęło podniecenie, powoli wyprostował się na krześle.

No i teraz dotarły jakieś nowe pogłoski? Tym razem bardziej wiarygodne, tak?

Szef potwierdził to przypuszczenie.

— Znasz Sir George'a Harveya? Chavasse zmarszczył lekko czoło.

— Był chyba przez jakiś czas ministrem w służbie wywiadowczej rządu koalicyjnego podczas wojny, czy tak?

— No właśnie — odparł Szef. — Po wojnie wycofał się polityki, by zająć się własnym biznesem. Wczoraj zjawił się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w bardzo dziwnej sprawie. Sekretariat ministerstwa natychmiast skierował go do mnie. Chciałbym, abyś sam usłyszał, co ma do powiedzenia. Nacisnął dzwonek na biurku dwa razy. Po chwili otworzyły się drzwi i Jean wprowadziła wysokiego, szpakowatego mężczyznę około sześćdziesiątki. Natychmiast wycofała się, zamykając za sobą bezszelestnie drzwi, a Szef wstał zza biurka.

— Bardzo proszę, Sir George, chciałbym panu przedstawić Paula Chavasse'a, o którym wspominałem.

Chavasse podniósł się, uścisnęli sobie dłonie. Sir George Iarvey niewątpliwie utrzymywał dobrą formę. Uścisk ręki liał mocny, twarz opaloną, krótko przystrzyżone wąsy, z porodu których w jakiś sposób przypominał wojskowego. Jśmiechnął się uprzejmie i usiadł.

— Słyszałem o panu wiele dobrego, panie Chavasse. Chavasse odwzajemnił się uśmiechem i podał mu papierosa.

— Czasem dopisywało mi szczęście.

Sir George poczęstował się papierosem i znowu się uśmiechnął.

— W pańskiej grze potrzebne jest szczęście, mój przyjacielu. Szef zapalił zapalną i podał ogień w obu rękach.

— Sądzę, że nie ma pan nic przeciw temu, aby przekazać Paulowi wszystko, o czym mnie pan mówił, Sir George?

Sir George skinął głową, usadowił się wygodnie na krześle i obrócił się lekko w stronę Chavasse'a.

Prowadzę różne interesy, panie Chavasse, a między innymi mam też niemałe udziały w różnych wydawnictwach, których, pozwoli pan, że nie będę wymieniał. Wczoraj rano dyrektor pewnego wydawnictwa przyszedł do mnie z bardzo dziwnym listem. Zarówno on, jak i jego zespół uznali, że należy go jak najszybciej przedstawić sekretarzowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a wiedząc, że jestem z nim zaprzyjaźniony, zwrócili się do mnie z prośbą, abym zajął się tą sprawą.

— Kto ten list napisał? — spytał Chavasse.

— Niemiec, nazywa się Hans Muller — wyjaśnił Sir George. — Człowiek ten donosi w liście,

że Caspar Schultz żyje.

Zawiadamia, że Schultz przebywał w Portugalii do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, po czym wrócił do Niemiec i żyje tam sobie spokojnie pod przybranym nazwiskiem.

— Ale po co mu kontakt z firmą wydawniczą? — zdziwił się Chavasse.

— Zaraz to wyjaśnię — ciągnął Sir George. — Jeśli dać wiarę temu listowi, Caspar Schultz napisał wspomnienia i chce je opublikować.

— A Muller występuje w charakterze pośrednika? — spytał Chavasse. — Dlaczego jednak nie próbuje nawiązać kontaktu z niemieckim wydawcą? Wydaje mi się, że tego rodzaju książka wzbudziłaby tam znacznie większą sensację aniżeli w Anglii.

— Muller niewątpliwie to zrobił — odparł Sir George jednakże popełnił błąd i wybrał nieodpowiednich wydawców. Napisał do nich podobny list i już po paru godzinach miał na karku nazistów z podziemia. Wedle Mullera Schultz ujawnił, i to w sposób niewątpliwy, wielu ludzi w Niemczech, którzy zawsze twierdzili, że nigdy nie współpracowali z Hitlerem. A są to ludzie, muszę tu dodać, którzy zajmują wpływowe stanowiska. Rozprawia się nawet z sympatykami nazistów w Anglii i poświęca cały rozdział człowiekowi, który przygotowany był do zdradzieckiej akcji w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, gdy Niemcy planowali inwazję na Anglię.

Chavasse cicho gwizdnął.

— Czy podaje w liście jakieś nazwiska? Sir George zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, po prostu donosi, że jest w posiadaniu rękopisu napisanego przez samego Schultza — co oczywiście można zweryfikować — ale ma tylko jeden egzemplarz. Muszę wyznać, że suma, jaką wymienia, jest raczej pokaźna.

— To nie ulega wątpliwości — odezwał się Chavasse. — Czyżby ten biedny dureń nie zdawał sobie sprawy, że od tej pory bezustannie tykać będzie przy nim bomba zegarowa? — Zwrócił się do Szefa: — Już trzy lata nie pracowałem w Niemczech. Jak silni są tam teraz naziści?

— Silniejsi, niż większość ludzi przypuszcza — odparł Szef. — Od kiedy rząd niemiecki ustanowił w Ludwigsburgu Urząd

dla Ścigania Zbrodniarzy Wojennych, toczy się przez cały czas rozgrywka z nazistowskim podziemiem. Przywódca byłej kadry oficerskiej SS zdołał się wkręcić w szranki policji. Dzięki temu nazistowscy agenci mogli ostrzec wielu esesmanów, których zamierzano aresztować. Dało to im szansę ucieczki do Zjednoczonej Republiki Arabskiej.

— Wciąż jednak wielu z nich pełni wysokie stanowiska?

— To fakt, który nie podlega dyskusji. Są w rządzie i w wielkim biznesie. — Szef roześmiał się z ironią. — Muller przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy napisał do wydawnictwa niemieckiego.

— Czy wymienił nazwę firmy?

— Nie podał nawet własnego adresu — wyjaśnił Szeff.

— Doniósł, że skontaktuje się telefonicznie.

— I zrobił to?

— Zadzwoił wczoraj wieczorem punktualnie o szóstej, jak obiecał. Rozmowę przeprowadził z nim dyrektor i powiedział, że wydawnictwo jest oczywiście bardzo zainteresowane wydaniem tego rękopisu. Ustalił, że spotka się z nim naczelny redaktor. — Domyślam się, że to ja mam być tym naczelnym redaktorem.

— Zgadza się! — potwierdził Szeff. — Chcę, abyś popłynął popołudniowym promem do Hook van Holland. Tam wsiądziesz do Północno-Zachodniego Ekspresu jadącego do Hamburga. — Otworzył szufladę, z której wyjął dużą kopertę. — Wszystko, co trzeba, znajdziesz w tej kopercie. Nowy paszport na twoje własne nazwisko, tylko ze zmianą zawodu na wydawcę, pieniądze na pokrycie wszelkich kosztów i inne rzeczy, które mogą się okazać przydatne.

— Dlaczego mam jechać nocnym pociągiem do Hamburga? — spytał Chavasse.

— Zaraz to wyjaśnię — ciągnął dalej Szeff. — Załatwiłem ci miejsce sypialne w pierwszej klasie zarezerwowanego przedziału. Znajdziesz bilety w kopercie. Muller wsiądzie do pociągu w Osnabrucku kilka minut przed północą i skieruje się prosto do twego przedziału.

— I co mam robić, kiedy się z nim spotkam? Szeff wzruszył ramionami.

To już wyłącznie twoja sprawa. Ja chcę mieć rękopis, a jeszcze bardziej samego Schultza. Tak się składa, że Sir George jedzie tym samym pociągiem do Hamburga na Międzynarodową Konferencję Pokojową. Dlatego właśnie w takim pośpiechu podjąłem wszelkie działania bez uzgodnienia z tobą. Przyciśnij dobrze Mullera. Powiedz mu, że musisz zobaczyć rękopis albo przynajmniej jego fragment. Jeśli okaże się to konieczne, wezwij na to spotkanie Sir George'a. Zapewnij go, że Sir George ma poważne udziały w firmie, że wydawcy prosili go, aby ci towarzyszył, co jest świadectwem ich dobrej woli. Sir George wstał.

Tak, panie Chavasse, to prawda. Może pan polegać na mnie, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Przypomina mi to dawne czasy, kiedy uczestniczyłem w podobnych zadaniach, ale teraz, wybaczą panowie, muszę już naprawdę ich opuścić. Pociąg odjeżdża z Liverpool Street o dziesiątej i chciałbym choćby ze dwie godziny się przespać. Wyciągnął rękę z uśmiechem. — Jeśli mogę radzić panu, młody człowieku, to proszę zrobić to samo. Sprawia pan wrażenie, że trochę snu bardzo się panu przyda. Mam nadzieję, że spotkamy się w pociągu.

Szeff odprowadził go do drzwi, po czym wrócił i usiadł za biurkiem.

Chavasse wzruszył ramionami. — Wszystko zależy od Mullera. Wiesz o nim coś więcej?

— Sprawdziłem akta, wydaje się jednak, że do tej pory nie mieliśmy żadnego kontaktu z tym człowiekiem. Nie mamy, oczywiście, jego rysopisu, ale być może posługiwał się przedtem innym nazwiskiem.

— Mówił coś o swoich powiązaniach z Schultzem?

— Niestety, to też zupełna niewiadoma.

Chavasse wziął kopertę, w której był jego paszport z biletami, i wsunął do kieszeni.

— A co z niemieckim wywiadem? Będzie w tym uczestniczył?

Rozważałem ten problem, ale uznałem, że na razie nie. Wolałbym uniknąć komplikacji. Jeżeli sprawa wymknie się z rąk i uznasz, że przydałaby się pomoc na miejscu, zawiadom mnie telefonicznie. Spytaj o pana Taylora, a sam przedstaw się jako Cunningham. Powiedz po prostu, że interes się rozwija i potrzebujesz kogoś do pomocy. W tym momencie nawiążę kontakt z niemieckim wywiadem. Chavasse pokiwał wolno głową i wstał.

To już chyba wszystko. Skorzystam z rady Sir George'a i wrócę do łóżka. — Ruszył już w stronę drzwi, ale jeszcze się zatrzymał. — A tak przy okazji, to w jakim stopniu mogę na nim polegać?

— Na Sir George'u Harveyu? — SzeF wzruszył ramionami. — No cóż, jest ważną osobistością i na pewno nie chcemy

żadnych skandali o zasięgu międzynarodowym. Sądzę, że udzieli ci wszelkiej pomocy w granicach rozsądku. W czasie wojny odnosił duże sukcesy w ministerstwie.

— Będę się starał w miarę możliwości nie korzystać z jego pomocy, może się jednak przydać w sytuacji, gdyby trzeba było przekonać Mullera, że jestem osobą wiarygodną.

Tak też myślałem — potwierdził SzeF. Obszedł biurko i wyciągnął rękę. — Powodzenia, Paul! Mam nadzieję, że będzie to dla ciebie prosta i interesująca robota. A potem, bez względu na wyniki tej akcji, na pewno dostaniesz urlop.

Chavasse otworzył drzwi i lekko odwrócił się z tajemniczym uśmiechem na ustach.

— Nie wątpię — odparł chłodno i zamknął drzwi, zanim SzeF zdążył zareagować.

Jean Frazer nie było w pokoju, a sądząc po nieskazitelnym porządku na jej biurku i przykrytej maszynie do pisania, na ten dzień pracę już skończyła. Schodząc powoli po schodach, przez cały czas analizował to spotkanie, każde słowo wypowiedziane przez Szefa i Sir George'a. Usiłował połączyć wszystko w logiczną całość.

Samochód już czekał na niego, usiadł znowu obok kierowcy i przez całą drogę milczał, zatopiony w myślach. Tylko jedna rzecz była dla niego zagadką. Zakładając, że cała ta historia jest prawdziwa, a nie jakiś żart, to czemu Caspar Schultz właśnie teraz a nie kiedy indziej, podjął decyzję opublikowania swoich wspomnień?

Minęło już od wojny ponad piętnaście lat, podczas których udało się Schultzowi ukrywać przed agentami całej potężnej światowej siatki wywiadowczej. Dlaczego więc właśnie teraz podejmuje decyzję, która musi rozpętać olbrzymią obławę na hitlerowców, jakiej jeszcze nie było w historii wywiadu, a on sam też stanie się jej łupem?

Nie przestawał o tym myśleć nawet wtedy, kiedy już się rozbiegał w swoim mieszkaniu, był to

jednak problem jak na razie nie do rozwiązania. Tylko Hans Muller może dostarczyć odpowiedzi.

Zaparzył sobie w dzbanku kawę i położył się. Minęła właśnie godzina trzecia nad ranem, deszcz nieustannie bębnił w szyby. Zapalił papierosa i otworzył kopertę, którą wręczył mu Szefer.

Paszport przygotowali bezbłędnie. Został wydany z czteroletnim wyprzedzeniem i wszystkie jego dane osobiste były prawdziwe oprócz zawodu. W tym czasie odbył oczywiście kilka podróży na kontynent i jedną do Ameryki. Pospiesznie utrwalił w pamięci daty i przejrzał pozostałe dokumenty.

Wszystkie bilety były w porządku, także czeki podróżne. Nie zapomnieli o aktualnym prawie jazdy i członkowskiej karcie wstępu do klubu z przekąskami. Zaopatrzony też został w kilka listów, rzekomo związanych z jego kontaktami w interesach,

jakie prowadził, a także w list od dziewczyny o imieniu Cynthia, napisany z ogromnym zaangażowaniem uczuciowym.

Przeczytał go z zainteresowaniem. Był dobry... naprawdę dobry. Zastanawiał się, czy to dzieło Jean Frazer, wykonane na prośbę Szefa. Uśmiechnął się, po czym zgasił lampę i przekręcił się na bok.

2

Pociąg zaczął zwalniać, gdy znalazł się na przedmieściach Rheine, i Chavasse, odłożywszy książkę, którą czytał podczas tej podróży, spojrzął na zegarek. Była dwudziesta trzecia. Powinni być w Osnabrucku za jakąś godzinę.

Wciągnął marynarkę i gdy pociąg się zatrzymał, wyszedł na korytarz. Stojący w pobliżu konduktor wagonu sypialnego otworzył drzwi i wyskoczył na peron. Powodowany nagłym impulsem Chavasse podążył za nim i z rękami w kieszeniach stanął wdychając głęboko w płuca chłodne nocne powietrze.

Peron był prawie pusty i najwyraźniej nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Miał właśnie zamiar wrócić do wagonu, gdy od strony poczekalni pojawiła się grupka mężczyzn zbliżająca się w jego kierunku.

Na przedzie szedł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o surowej twarzy i oczach przypominających kawałki łożu. Za nim postępowało dwóch konduktorów w białych fartuchach, którzy nieśli jakiegoś człowieka na noszach. Mężczyzna, idący za nimi z tyłu, miał na sobie elegancki płaszcz z futrzanym kołnierzem, a na głowie kapelusz Homburg. Jego posępna, wychudła twarz

była prawie niewidoczna pod starannie przyciętą ciemną brodą, która wyglądała jak farbowana.

Chavasse usunął się z drogi i dwaj konduktorzy, ostrożnie manewrując noszami, wnieśli je do pociągu i umieścili w przedziale obok niego. Następnie weszli dwaj pozostali mężczyźni i zamknęli za sobą drzwi.

Kiedy Chavasse znalazł się na powrót w korytarzu, zwrócił się z pytającym spojrzeniem do konduktora, który właśnie szedł za nim.

— O co tu chodzi? — odezwał się po niemiecku.

Konduktor wzruszył ramionami.

— Ten wyglądający na twardziela to inspektor policji z Hamburga. A ten z brodą nazywa się Kruger i jest jednym z najlepszych lekarzy w Hamburgu.

— A człowiek na noszach?

— Kryminalista, którego wiozą z powrotem do Hamburga — wyjaśnił konduktor. — Został ranny podczas rozruchy z policją i wezwali doktora Krugera, żeby orzekł, czy nadaje się do transportu.

Chavasse kiwnął głową. — Ach, tak. Dziękuję bardzo.

— Proszę uprzejmie — odparł konduktor. — Czy mogę panu jeszcze czymś służyć?

Chavasse pokręcił przecząco głową.

— Na razie dziękuję. Ale trochę później poproszę o kawę. Dam panu znać.

Konduktor lekko się skłonił i odszedł, a Chavasse powrócił do przedziału. Usiadł na brzegu leżanki i znów spojrzał na zegarek. Za trzy kwadranse pociąg powinien być w Osnabrucku. Wtedy rozlegnie się lekkie pukanie do drzwi, a kiedy się otworzą, wejdzie Hans Muller. Zastanawiał się, jak też ten człowiek wygląda, jakie będą jego pierwsze słowa, po czym przyszło mu na myśl, że Muller może się wcale nie zjawić. Z jakiegoś nieuzasadnionego powodu ta myśl dziwnie go ubawiła i zapalił papierosa. Nagle obudził się w nim optymizm co do całej tej sprawy.

Postanowił odwiedzić Sir George'a Harveya. Jak dotąd mieli zaledwie możliwość wymiany kilku słów na statku. Był to chyba odpowiedni moment, by mu się pokazać.

Otworzył drzwi przedziału i kiedy wychodził na korytarz, wpadł nagle z całej siły na kogoś, kto akurat nadchodził z przeciwnej strony. Człowiek ten zaklął pod nosem i pchnął go tak silnie, że aż zatoczył się do tyłu.

Poprawił krawat i ruszył do przodu. Stał twarzą w twarz z amerykańskim sierżantem, który wysunął wojowniczo szczękę.

— Dlaczego, do diabła, nie patrzysz, gdzie idziesz, bracie? powiedział groźnie.

Chavasse poczuł woń żytniej whisky i zmusił się do uśmiechu.

— Przepraszam, ale nie zauważyłem pana. Amerykanin najwyraźniej zmienił front. Pochylił się do

przodu i poklepał Chavasse'a po ramieniu.

— W porządku, koleś. Wszyscy popełniamy błędy.

Miał oczy krótkowidza, nieprawdopodobnie powiększone przez grube szkła okularów w metalowej oprawce. Czapka z daszkiem opadła mu niemal na nos, tak że wyglądał trochę śmiesznie. Znow poklepał Chavasse'a po ramieniu, przesunął się bokiem i odszedł na chwiejnych nogach.

Chavasse uśmiechnął się i ruszył dalej korytarzem, zatrzymując się przed ostatnim przedziałem. Zapukał i wszedł.

Sir George siedział przy składanym stoliku i pisał list. Spojrzał z uśmiechem i odłożył pióro.

— A, pan Chavasse, miałem nadzieję, że się spotkamy. Wydaje mi się, że byłem zanadto zajęty różnymi sprawami dotyczącymi Konferencji Pokojowej. Czy wszystko gra?

Chavasse skinął głową.

— Na tyle, na ile to możliwe. Będziemy w Osnabrucku za około czterdzieści minut. Pomyślałem, że nim dojedziemy, lepiej będzie, jak sobie porozmawiamy.

Sir George rozlał sherry do dwóch szklaneczek i jedną podał Chavasse'owi.

— Czy przewiduje pan jakieś kłopoty w związku z Mullerem?

Chavasse potrząsnął głową.

— Chyba nie. Mogę sobie wyobrazić, jakie piekło teraz przeżywa. Zapewne boi się własnego cienia. Chciałbym tylko pozyskać jego zaufanie i sprawić, żeby uwierzył, że jestem tym, za kogo się podaję. Jeśli mi się uda, postaram się pana w to nie mieszać, ale jeżeli okaże się trudny czy też stanie się podejrzliwy,

wtedy będę musiał pana poprosić. Przy odrobinie szczęścia to powinno zadziałać.

— Czy sądzi pan, że będzie miał ze sobą rękopis?

Byłby skończonym głupcem, gdyby tak postąpił. Spróbuję się z nim umówić na późniejszy termin, by zobaczyć rękopis. W tym względzie nic nie może się zdarzyć, jednakże mam nadzieję, że trop zaprowadzi mnie do Caspara Schultza.

— A więc wypijmy za pomyślność — powiedział Sir George i napełnił ponownie swoją szklankę. Po chwili milczenia zapytał z ciekawością:

Chavasse... to francuskie nazwisko, prawda? Chavasse potwierdził.

Mój ojciec był adwokatem w Paryżu, ale matka była Angielką. Jako oficer rezerwy poległ pod Arras, kiedy wkroczyły wojska hitlerowskie w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Miałem wtedy jedenaście lat. Oboje z matką przedostaliśmy się przez Dunkierkę.

— A więc nie był pan na tyle dorosły, by służyć w wojsku? — Sir George wolno zapalił cygaro i mówił dalej: — Mnie

przypadło to w udziale. Najpierw porucznik w wieku lat dwudziestu, a potem pułkownik w wieku dwudziestu czterech lat. W tamtych czasach szybko się awansowało.

— Musiało to być burzliwe życie — zauważył Chavasse. Och, nie wiem — odparł Sir George.
— Panował wszędzie

cudowny nastrój. Ludzie ciągle byli przywiązani do dawnych wartości. To po wojnie wszystko zaczęło się rozkładać.

— Stracone pokolenie — skomentował cicho Chavasse. Sir George zwrócił się myślami ku przeszłości i westchnął.

Wszystko się zmieniło... zmieniło się bezpowrotnie. Zająłem się polityką jak wielu innych, z zamiarem zrobienia czegoś dobrego, ale byliśmy już spóźnieni.

— Upadek cywilizacji — zauważył Chavasse.

— Można by zastosować szczególne porównanie pomiędzy brytyjskim a rzymskim imperium — powiedział Sir George.

— Powszechne prawo głosowania i głos motłochu prowadzący do duchowego rozkładu i ostatecznego upadku z barbarzyńcami u bram. — Wstał ze swego miejsca i uśmiechnął się. Proszę mi wybaczyć, jeśli wyrażam się jak staroświecki imperialista. Szczerze mówiąc wspominam z nostalgią dawne czasy Imperium. Choćbyśmy jednak rozmawiali w tym duchu nawet przez całą noc, i tak to niczego nie zmieni.

Chavasse spojrział na zegarek. Dokładnie za dwadzieścia minut powinni być w Osnabrucku. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

— Cokolwiek się zdarzy, będę z panem w kontakcie. Gdzie pan się zatrzyma w Hamburgu?

— W hotelu Atlantic — odparł Sir George. — Proszę dać mi znać, nawet jeśli nie będzie pan potrzebował dzisiaj mojej pomocy w związku z Mullerem. Chciałbym wiedzieć, jak sprawy stoją.

Chavasse zamknął drzwi i wyszedł na korytarz. Kiedy się zatrzymał koło swego przedziału, usłyszał wewnątrz jakieś odgłosy. Otworzył gwałtownie drzwi i szybko wszedł do środka.

Z wyraźnym przestrawieniem na twarzy podniósł się z ławki amerykański sierzant. Pochylił się do przodu i stanął chwiejnie przed Chavasse'em, przytrzymując się ręką o ścianę. Zdawał się być całkowicie zamroczony alkoholem.

— Chyba się pomyliłem — powiedział ochryłym głosem.. Tak by się wydawało — odparł Chavasse.

Amerikanin zaczął się przeciskać do wyjścia.

— Nie czuję się dobrze. Choroba komunikacyjna... zawsze mnie dopada. Zamierzałem pójść do toalety. Widocznie jestem w niewłaściwym wagonie.

Przez krótką chwilę Chavasse stał mu na drodze, spoglądając w oczy, które wpatrywały się w niego niespokojnie zza grubych szkieł okularów, po czym bez słowa odsunął się na bok. Amerykanin minął go chwiejnie i zataczając się poszedł korytarzem.

Chavasse zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Wszystko wyglądało normalnie, jednakże czuł

się dziwnie nieswojo. Z tym Amerykaninem było coś nie w porządku, to już nie zakrawało na żart. Bardziej przypominał postać z burleski — wzruszającego kłowna, który spędza życie zachodząc do garderoby, gdzie przebierają się statystki, a potem z zapartym tchem nasłuchując, jak widownia gwizdże i ryczy.

Jego walizka znajdowała się na górnej półce, zdjął ją i otworzył. W dalszym ciągu była starannie zapakowana, tak jak ją zostawił, poza jedną rzeczą. Chusteczki do nosa leżały poprzednio na dnie walizki. Teraz — na wierzchu. Oczywiście każdy może się pomylić, nawet taki ekspert, zwłaszcza że pakował się w pośpiechu.

Zamknął walizkę, odłożył ją na półkę i sprawdził godzinę. Pociąg powinien dojechać do Osnabrucku za piętnaście minut. Niemożliwe, by udało mu się zająć wcześniej Amerykaninem, najpierw musi się zobaczyć z Mullerem.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i wszedł konduktor, balansując trzymaną w ręku tacą.
— Może kawy, mein Herr?

Chavasse skinął głową. — Tak, chyba się napiję. Mężczyzna szybko napełnił filiżankę i podał mu. Chavasse, biorąc cukier, spytał:

— Czy jedziemy zgodnie z rozkładem? Konduktor potrząsnął przecząco głową.
Mamy pięć minut spóźnienia. Czy mogę panu służyć czymś jeszcze?

Chavasse podziękował, konduktor więc powiedział mu dobranoc i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Kawa nie była gorąca, Chavasse szybko ją wypił siedząc na brzegu leżanki. W przedziale było gorąco, zbyt gorąco, aż w gardle dziwnie mu zaschło. Kropelki potu pojawiły się na czole i spływały do oczu. Próbował się podnieść, lecz był jakby przygwożdżony do miejsca. Czuł, że coś jest nie w porządku, coś bardzo nie w porządku, po czym nagle żarówka eksplodowała na tysięczne cząsteczki, które zawirowały wokół przedziału niczym lśniaca mgławica, a kiedy upadł, spowiła go ciemność.

Po chwili światło zaczęło się znów pojawiać, jakby witało go, powracającego z mroków nocy, po czym okazało się, że jest to kołysząca się rytmicznie żarówka. Mrugnął kilkakrotnie oczami i kołysanie żarówki ustało.

Leżał na podłodze w przedziale na wznak i usiłował sobie przypomnieć, co się stało, lecz bolała go głowa i mózg nie chciał pracować. Co ja tu robię? — rozmyślał. — Co, do diabła, ja tu robię? Uchwycił się brzegu ławki i podciągnął do pozycji siedzącej.

W kącie, przy umywalce, siedział na podłodze mężczyzna. Chavasse przymknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza. Gdy ponownie otworzył oczy, mężczyzna ciągle jeszcze tam tkwił. Była tylko jedna rzecz nie w porządku. Jego nieruchome oczy wpatrywały się w wieczność. Marynarkę miał odchyloną i po lewej stronie na białej koszuli widoczna była postrzępiona, osmolona prochem

dziura. Został trafiony w serce z bliskiej odległości.

Chavasse poderwał się na nogi i zaczął wpatrywać się w ciało. Umysł jego pracował opornie, w pewnej chwili coś ścisnęło go w żołądku, więc czym prędzej pochylił się nad umywalką i zwymiotował. Nalał wody do szklanki, wypił powoli i dopiero wtedy poczuł się lepiej.

Na prawym policzku miał siniaka, smużka krwi zakrzepła mu w miejscu przecięcia skóry. Przyjrzał się sobie w lustrze ze zmarszczonym czołem, po czym zerknął na zegarek. Było piętnaście minut po północy. To oznaczało, że pociąg już minął Osnabruck i pośród nocy zdąży do Bremy.

Jeszcze nim obejrzał ciało, Chavasse wiedział, co znajdzie. Mężczyzna był nieduży i ciemny, miał przerzedzone włosy, a policzki koloru wosku przy dotknięciu okazały się zimne. Palce prawej ręki, zakrzywione jak szpony, wyciągnięte były w stronę banknotów, które leżały rozsypane pod umywalką.

W wewnętrznej kieszeni marynarki Chavasse znalazł to, czego szukał. Była to karta członkowska klubu na Reeperbahn w Hamburgu na nazwisko Hansa Mullera, wyblakła fotografia w mundurze Luftwaffe, na której obejmował ramieniem dziewczynę, oraz parę listów od jakiejś Lilii, adresowanych do hotelu na Gluckstrasse w Hamburgu.

Chavasse podniósł się powoli, umysł jego pracował już szybko. Kiedy odwrócił się od ciała, wzrok jego padł na leżący w kącie automatyczny pistolet Mauser. W momencie gdy się pochylał, by go podnieść, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i raptownie je otwarto.

Stał w nich inspektor Steiner, a zaniepokojony konduktor zaglądał mu przez ramię.

— Herr Chavasse? — przemówił Steiner uprzejmie. — Przepraszam, że pana niepokoję, ale konduktor doniósł mi, że słyszał strzał w przedziale. Czy może pan to wytłumaczyć?

W tym momencie zobaczył Mausera leżącego na podłodze i podniósł go szybko. Konduktor gapił się przerażony, a Steiner pchnął Chavasse'a w głąb przedziału i sam wszedł do środka.

Chavasse usiadł na brzegu ławki, a Steiner szybko obejrzał ciało. Po chwili zawołał konduktora.

— Jak się pan nazywa?

— Schmidt, Herr Steiner — odparł konduktor. — Otto Schmidt. — Jego twarz nabrała niezdrowego koloru żółci, wydawało się, że lada moment zwymiotuje.

— Weź się w garść, człowieku — wysapał Steiner. — Czy widział pan kiedy tego mężczyznę? Schmidt skinął głową.

— Wsiadł do pociągu w Osnabrucku, panie inspektorze.

— A potem? — spytał Steiner.

— Widziałem, jak wchodził do tego przedziału.

Steiner skinął głową.

— Ach tak. Poproście doktora Krugera, żeby tu wstąpił. Schmidt wyszedł na korytarz, a Steiner odwrócił się, wyciągając rękę. Chavasse zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma przedmioty,

które wyjął z kieszeni Mullera, i podał je inspektorowi. Steiner przejrzał szybko listy i mruknął:

— Kim był ten człowiek, ten Hans Muller? Dlaczego pan go zabił?

Chavasse wzruszył ramionami.

— Może pan mi to powie.

Steiner pochylił się i podniósł spod umywalki banknoty. Trzymał je w dłoni.

— Nie myślę, żebyśmy musieli zbyt daleko szukać, mój przyjacielu, chyba że zamierza mi pan powiedzieć, że są to pańskie pieniądze?

Chavasse potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie moje.

Steiner pokiwał z satysfakcją głową.

— Dobrze, a więc zdarzyło się to mniej więcej tak. Była kłótnia, prawdopodobnie o pieniądze. Uderzył pana. Jest ślad na pańskim policzku i przecięcie od ozdobnego sygnetu, jaki miał na środkowym palcu prawej ręki.

— A potem zastrzeliłem go? — wtrącił bezradnie Chavasse. Steiner wzruszył ramionami.

— Musi pan przyznać, że na to wygląda.

W tym momencie do przedziału wszedł Kruger. Spojrzał pytająco na Steinera, który wskazał mu ciało. Kruger zmarszczył brwi i przyklęknął na jedno kolano. Podniósł się z klęczek po krótkich oględzinach.

— Precyzyjny strzał prosto w serce. Śmierć musiała nastąpić momentalnie.

Steiner schował pieniądze do kieszeni i nagle stał się bardzo aktywny.

— Czy ma pan mi coś więcej do przekazania, nim postawię pana w stan oskarżenia, Herr Chavasse?

— Nie, nie sędzę. Jeżeli mogę, to chciałbym tylko o coś spytać Schmidta. — Nim Steiner zdołał odpowiedzieć, Chavasse zwrócił się do konduktora: — Powiedzcie mi, Schmidt, czy w tym pociągu odbywa podróż sierżant armii amerykańskiej?

Schmidt wydawał się autentycznie zdumiony.

— Sierżant amerykańskiej armii, mein Herr? Nie, musiał się pan pomylić.

Chavasse lekko się uśmiechnął.

Tak też i myślałem. — Podnosząc się z ławki zwrócił się do Steinera: — A więc, dokąd idziemy, inspektorze?

Steiner spojrzał na Schmidta.

— Macie tu wolny przedział?

— Tak, Herr Steiner — odparł Schmidt. — W jednym z końcowych wagonów.

Kruger, który przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, stanął z boku i Steiner wyprowadził Chavasse'a na korytarz. Kilka osób, słysząc ich podniesione głosy, wyszło z przedziałów i z

ciekawością patrzyło, jak Chavasse podążał korytarzem, prowadzony przez Schmidta.

Sir George Harvey też stał przed swoim przedziałem z wyrazem zdumienia na twarzy. Zobaczywszy ich, najwyraźniej chciał podnieść rękę, ale Chavasse zmarszył brwi i potrząsnął nieznacznie głową. Sir George cofnął się do przedziału i zamknął drzwi.

Już przed dziesięciu minutami Chavasse postanowił, że nie ma sensu siedzieć w hamburskim więzieniu przez sześć miesięcy, podczas gdy prawnicy będą się zastanawiać nad jego ostatecznym losem. Kiedy przechodzili przez następny wagon, miał już ustalony plan działania.

Pusty przedział znajdował się na końcu trzeciego wagonu i nim do niego dobrnęli, Chavasse był już gotów. Schmidt pochylił się, by otworzyć drzwi, a Chavasse czekał tuż obok Steinera. Kiedy drzwi się uchyliły, Chavasse wepchnął konduktora za kark do przedziału. W tym samym momencie przekręcił się na pięcie i wbił Steinerowi zakrzywione palce w gardło.

Policjant osunął się na podłogę z rękoma przyciśniętymi do gardła i posiniałą twarzą. Chavasse szybko zamknął drzwi przedziału, uniemożliwiając Schmidtowi wszczęcie alarmu, i przekręcił klucz w zamku. Następnie przestąpił przez skulone ciało Steinera i ruszył pędem tą samą drogą, którą przyszli.

Pragnął znaleźć bezpieczny azyl w przedziale Sir George'a Harveya. Tam będzie bezpieczny aż do Hamburga. Ale w tej chwili najważniejsze było przekonać Steinera, że opuścił pociąg.

Na końcu korytarza skręcił i chwycił za hamulec, znajdujący się nad drzwiami. Kiedy pociąg zaczął zwalniać, otworzył drzwi i zimne nocne powietrze wyciągnęło je na zewnątrz, tak że uderzyły o ścianę wagonu.

Ruszył szybko przed siebie. Znajdował się już na końcu korytarza, zaledwie kilka metrów od przedziału Sir George'a, kiedy dobiegły go jakieś odgłosy. Przez chwilę zawahał się i już miał biec z powrotem, gdy otworzyły się za nim cicho drzwi przedziału. Jakaś ręka wciągnęła go do środka.

Stracił równowagę i runął na podłogę. Za jego plecami drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. Chciał się poderwać, skoczyć lak metalowa sprężyna rozwijająca się z siłą eksplozji, lecz zatrzymał się, klęcząc jednym kolanem na podłodze. Tuż przed nim na ławce leżał mundur armii amerykańskiej, a na starannie złożonej kurtce widniały paski sierżanta. Na wierzchu bluzy dojrzał wojskową czapkę, a na niej grube szkła okularów w metalowej oprawce.

3

Człowiek, który stał oparty o drzwi, trzymał nonszalancko w prawej ręce włoski pistolet automatyczny Biretta. Był średniego wzrostu, opalony, a jego oczy wydawały się zaskakująco nie-

bieskie. W kącikach jego ust igrał uśmiech pełen rozbawienia.

— Nieźle go bigosu narobiłeś, chłopie — odezwał się nieskazitelną angielszczyzną. Pociąg wreszcie się zatrzymał, z korytarza dobiegły krzyki. Chavasse zaczął nasłuchiwać uważnie i rozpoznał głos Steinera. Z trudem stanął na nogi, a nieznajomy powiedział:

— Steiner wydaje się niezbyt zadowolony. Co mu pan zrobił?

— Dżudo, cios w gardło. Paskudny chwyt, ale nie miałem czasu na kurtuazję. Spojrzał na pistolet. — Może go pan schować. Żadnych wybryków, przyrzekam.

Nieznajomy uśmiechnął się i wsunął broń do kieszeni.

— Nie miałem pewności, jak pan zareaguje, kiedy pana tutaj wciągałem.

Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął skórzaną papierošnicę ze złotymi ornamentami i otworzył. Chavasse wziął papierosa i pochylił się nad zapaloną przez nieznajomego zapalniczką.

Od pięciu lat pracował dla Szefa i jeszcze mu się nie zdarzyło, aby nie rozpoznał od pierwszego wejrzenia profesjonalisty. Wszystkich ludzi jego profesji cechowała specyficzna aura, nieokreślona, ale natychmiast wyczuwalna dla doświadczonego agenta wywiadu. Na podstawie metod pracy, zachowania i innych cech bez trudu można było określić narodowość. Ten przypadek najwyraźniej go zaskoczył.

— Kim pan jest? — spytał.

— Nazywam się Hardt, panie Chavasse — odparł. — Mark Hardt. Chavasse zmarszczył czoło.

— Nazwisko niemieckie, a przecież nie jest pan Niemcem.

— Izraelczykiem — wyjaśnił Hardt z uśmiechem. — Taka sobie mieszanka Winchesteru z Emmanuel College.

Obraz zaczynał nabierać kształtu.

— Wywiad izraelski? — spytał Chavasse. Hardt zaprzeczył ruchem głowy.

— Kiedyś tak, ale tym razem nie tak oficjalnie. Powiedzmy raczej, że jestem członkiem organizacji, która z powodów zasadniczych zmuszona jest działać w ukryciu.

— Rozumiem — powiedział cicho Chavasse. — Ale wobec tego, jaki cel przyświeca panu w tym momencie?

Taki sam, jak panu — wyjaśnił spokojnie Hardt. — Potrzebny mi jest ten rękopis, ale jeszcze bardziej chcę mieć Caspara Schultza. — Nim Chavasse zdążył coś powiedzieć, Hardt podniósł się i skierował do drzwi. — Chyba wyjdę na korytarz i zobaczę, co się tam dzieje.

Zamknął za sobą drzwi bezgłośnie, a Chavasse usiadł na brzegu rozłożonej leżanki i z poważnym wyrazem twarzy zatanawiał się nad wszystkim, co mu powiedział Hardt. Powszechnie było wiadomo, że istnieje przynajmniej jedna silna organizacja żydowska, działająca w ukryciu nieprzerwanie od zakończenia wojny we wszystkich zakątkach świata, tropiąca nazistowskich zbrodniarzy wojennych, którzy wymknęli się wywiadowczej siatce sił sprzymierzonych w 1945 roku. Słyszał,

że jej członkowie wprost fanatycznie oddani są swojej pracy, dzielni ludzie, którzy poświęcili życie, aby te potwory wyzute z ludzkich uczuć, a odpowiedzialne za Bergen-Belsen, Oświęcim i inne obozy śmierci, osiągnęła sprawiedliwość.

Kilkakrotnie już zdarzyło mu się współpracować z agentami innych państw, którzy mieli wytyczony ten sam cel, ale tym razem było to co innego — całkiem co innego.

Pociąg ruszał powoli, uchyliły się drzwi i Hardt wsunął się do środka.

— Widziałem Steinera. Jak rozwścieczony lew szalał po peronie. Wreszcie udało się go przekonać, że zdążył pan już umknąć daleko, i wsiadł do pociągu. Jeżeli kiedykolwiek wpadnie pan w jego ręce, nie ma pan żadnych szans.

— Już się o to postaram, żeby nie wpaść. — Chavasse wskazał na amerykański mundur. — Drobną zmianą, przebiorą się w pański strój. Po dokonanym morderstwie zbrodniarz po prostu przestaje istnieć, no nie?

— W wielu sytuacjach to się powiodło, chociaż okulary mogą być już trochę ograne. Do diabła, nie widzę w nich nic absolutnie.

Hardt zamknął drzwi, wyciągnął stołek spod leżanki i usiadł na nim wygodnie, opierając się plecami o ścianę.

— Nie sądzi pan, że już najwyższy czas, abyśmy przystąpili do sprawy?

Dobrze — zgodził się Chavasse — ale pan zaczyna. Jak dalece jest pan wprowadzony w to zagadnienie?

— Nim zacznę, niech mi pan powie jedną rzecz — odezwał się Hardt. — To Muller nie żyje, prawda? Słyszałem, jak któryś z pasażerów mówił o strzale, a potem Steiner prowadził pana przez korytarz.

— Tuż przed Osnabruckiem wypilem filiżankę kawy — zaczął Chavasse. — Nie wiem, co wsypano, ale na dobre pół godziny straciłem świadomość. Kiedy oprzytomniałem, Muller leżał w kącie, dostał strzał w serce.

— Ktoś miał wprawę.

— Szczerze mówiąc, podejrzewałem o to pana — wyznał Chavasse. — Ale właściwie czego pan szukał w moim przedziale?

— Wszystkiego, co mógłbym znaleźć — oświadczył Hardt.

— Wiedziałem, że Muller miał się spotkać z panem w Osnabrucku. Nie spodziewałem się, że będzie miał przy sobie rękopis, ale myślałem, że zaprowadzi pana tam, gdzie się znajduje, albo nawet do samego Schultza.

— I zamierzał pan iść naszymi śladami? — spytał Chavasse. Oczywiście — potwierdził Hardt. Chavasse zapalił następnego papierosa.

— Niechże mi pan wyjaśni, skąd, u licha, ma pan aż tyle wiadomości?

Hardt uśmiechnął się tajemniczo.

— Wpadliśmy na trop Mullera dwa tygodnie temu, kiedy zgłosił się do pewnego wydawcy w Niemczech i zaproponował rękopis Schultza.

— W jaki sposób się pan o tym dowiedział?

— Właśnie tego wydawcę mamy na oku już od trzech lat. Udało się nam zatrudnić w jego biurze naszą agentkę. To ona nas powiadomiła o Mullerze.

— Spotkał się pan z nim?

Hardt wykonał przeczący ruch głową.

— Niestety, wydawca ten miał swoich zaprzyjaźnionych nazistów, którzy z nim współpracowali. Muller mieszkał wtedy w Bremie. Zdążył jednak umknąć przed nimi i przed nami.

— Jak się domyślam, zgubiliście jego ślad? Hardt przytaknął.

— Dopóki nie usłyszeliśmy o panu.

— Chętnie dowiedziałbym się, jak to się panu udało — wtrącił Chavasse. — To szalenie interesujące.

— Taka organizacja jak nasza ma przyjaciół wszędzie. Kiedy Muller nawiązał kontakt z firmą wydawniczą, którą jakoby pan reprezentuje, dyrektorzy z miejsca zwrócili się do Sir George'a Harveya, jednego ze swych najpoważniejszych udziałowców. On z kolei powiadomił sekretariat Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które przekazało sprawę do pańskiego Biura.

A co pan wie na temat działalności tego Biura?

— Wiem, że jest to specjalna komórka, która zajmuje się najbardziej brudnymi i skomplikowanymi zagadnieniami — odparł Hardt. — Z zakresu wywiadu wojskowego i wszystkim, czego służba wywiadowcza nie chce tknąć.

— Jak się pan dowiedział, że będę jechał tym pociągiem, aby się spotkać z Mullerem?

— Proszę pamiętać, że pańskie spotkanie z Mullerem w Osnabrucku zaplanowane zostało przez dyrektora wydawnictwa. Wszystkie szczegóły miał, oczywiście, zachować wyłącznie do swojej wiadomości.

— Należy przypuszczać, że tak się nie stało?

— Było to zbyt frapujące, aby się nie zwierzyć pozostałym dyrektorom — potwierdził Hardt — a więc tego samego dnia opowiedział im wszystko przy obiedzie. Tak się szczęśliwie składa, że jeden z dyrektorów jest sympatykiem naszej organizacji i uznał, że te wiadomości mogą nas zainteresować. Poinformował naszego człowieka w Londynie, który natychmiast mnie powiadomił. Ponieważ byłem wtedy w Hamburgu, niewiele miałem czasu, ale udało mi się złapać przedpołudniowy samolot do Rotterdamu i wsiąść do tego pociągu.

To jednak wciąż nie wyjaśnia, skąd ludzie, którzy zabili Mullera, dowiedzieli się o naszym zaplanowanym spotkaniu w tym pociągu—zauważył Chavasse. — Nie mogę pojąć, jak to się stało,

ale przecież musiał być jakiś drugi przeciek z Londynu. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, aby w gronie dyrektorów firmy, którą jakoby reprezentuję, znajdował się też sympatyk nazistów.

— Na ten temat mam własną teorię — mówił Hardt.

— Muller mieszkał w Bremie z Lilią Pohl. Dziś rano wyłowiono jej ciało z Elby, oczywiście samobójstwo.

— A pan uważa, że było to morderstwo? Hardt przytaknął.

— Zniknęła z Bremy w momencie, kiedy zniknął też Muller, czyli że musieli być razem.. Uważam, że tamta strona wiedziała dokładnie, gdzie Muller przebywa, a zostawiali go w spokoju, bo mieli nadzieję, że naprowadzi ich na trop Caspara Schultza. Muller jednak wymknął im się z rąk i wczoraj wieczorem wyjechał z Hamburga do Osnabrucku. Jediną osobą, która mogła im powiedzieć, dokąd pojechał i po,co, była właśnie Lilią Pohl.

Wydaje się to prawdopodobne — zauważył Chavasse. — Brzmi przekonująco. Ale wciąż pozostaje niejasność, dlaczego go zabili.

Hardt wzruszył ramionami.

— Muller mógł mieć ze sobą rękopis, choć wydaje mi się to mało prawdopodobne. Sądzę, że był to przypadek. Muller zapewne rzucił się na człowieka, który czekał na niego w pańskim przedziale, wywiązała się walka, w czasie której został zabity. Chavasse z głęboką powagą rozważał wszystko, co mu powiedział Hardt. Po chwili odezwał się:

— Wciąż jedna rzecz jest dla mnie niepojęta. Muller nie żyje, a więc moja misja związana z odnalezieniem Schultza jest skończona. Na nic nie mogę się panu przydać, dlaczego więc pan pakuje się w tarapaty, żeby ratować moją skórę?

— Mógłby pan nazwać mnie sentymentalnym — odparł Hardt. — Mam słabość do ludzi, którzy są sympatykami Izraela, a wiem, że pan do nich należy.

— A skąd pan to wie?

— Czy przypomina pan sobie człowieka, który nazywa się Joel ben David? — spytał Hardt. — Był agentem izraelskiego wywiadu w Kairze w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Ocalił mu pan życie i umożliwił powrót do Izraela z informacjami, które okazały się bardzo pożyteczne dla naszej armii podczas kampanii na Synaj.

— Pamiętam — rzekł Chavasse. — Wolałbym jednak, aby pan o tym zapomniał. Mógłbym się znaleźć w niemałych kłopotach. Nie powinienem był wtedy uprawiać tak jawnej partyzantki.

— Ale my, Żydzi, nie zapominamy o naszych przyjaciółach — odparł ze spokojem Hardt.

Chavasse poczuł się nagle dziwnie nieswojo i natychmiast zadał kolejne pytanie:

— Dlaczego aż tak bardzo zależy panu na schwytaniu Schultza? Dobrze pan wie, że nie jest drugim Eichmannem. Zrobi się wrzawa, wszyscy zaczną się domagać procesu na skalę międzynarodową. Nawet Rosjanie zechcą maczać w tym palce.

— Nie sędzę. W każdym razie, nie byłoby to po naszej myśli, aby został w Niemczech i aby tutaj odbył się jego proces. W niemieckim prawie istnieje paragraf, który nakłada pewne ograniczenia. Przypadki zabójstwa podlegają sądowi w ciągu piętnastu lat od popełnienia zbrodni — morderstwo w ciągu dwudziestu lat.

— Czy to znaczy, że zbrodnie Schultza miałyby już ulec przedawnieniu?

Kto wie? Wszystko może się zdarzyć — powiedział Hardt z powątpiewaniem. Wstał i zaczął się przechadzać z niepokojem po przedziale. — Nie jesteśmy oprawcami. Nie zamierzamy złożyć go na ołtarzu ofiarnym w obecności całego ludu żydowskiego, wykrzykującego Hosanna. Chcemy wytoczyć mu proces z tych samych powodów, jak było w przypadku Eichmanna. Chodzi o to, by świat dowiedział się; o jego strasznych zbrodniach. Żeby świat nie zapomniał jak okrutni mogą być ludzie wobec swoich braci.

Oczy mu się roziskrzyły, zadrżał. Mówił z żarliwością, która zdawała się mieć podłoże religijne i która tak zawładnęła jego sercem i duszą, że wszystko dokoła traciło swój sens.

— Człowiek poświęcający się — skomentował cicho Chavasse. — A ja myślałem, że takich ludzi już nie ma.

Hardt zatrzymał się z podniesioną w górę ręką, popatrzył na Chavasse'a, po czym roześmiał się i zarumienił.

— Przepraszam, czasami przestaję panować nad swymi uczuciami. Ale przecież nie ma w tym nic złego, jeśli robi się to, w co się wierzy.

— Jak to się stało, że wplątał się pan w tego rodzaju działalność?

Hardt usiadł na leżance.

— Moi rodzice byli Niemcami pochodzenia żydowskiego. Na szczęście, ojciec już w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku przewidział, co się święci. Wyjechał do Anglii wraz z moją matką i ze mną i nawet dobrze mu się tam wiodło. Nigdy nie byłem specjalnie religijny... i teraz też chyba nie jestem. Owładnięty nieprzepartym, młodzieńczym zapałem, opuściłem Cambridge w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku i pojechałem do Palestyny statkiem z Marsylii, wiozącym nielegalnych imigrantów. Wstąpiłem do Hagany i wziąłem udział w pierwszej wojnie z Arabami.

— I wtedy stał się pan syjonistą? Hardt uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Stałem się Izraelczykiem... a to, jak pan wie, pewna różnica. Zobaczyłem młodych mężczyzn umierających w imię wiary, zobaczyłem dziewczęta, które zamiast uczyć się w szkole, trzymały w ręku karabiny maszynowe. Przedtem moje życie nie miało szczególnego znaczenia. Od tej chwili nabrało sensu, znalazłem swój cel.

Chavasse odetchnął głębiej i podał mu papierosa.

Muszę wyznać, że do pewnego stopnia zazdroścę panu. Hardt spojrzał na niego ze zdi-

wieniem.

— Ale chyba wierzy pan w sens tego, co robi? Przecież to praca dla pańskiego kraju o wymiarze politycznym?

— Czy wierzę? — Chavasse wyraził wątpliwość. — Wcale nie jestem o tym przekonany.

Ludzie tacy jak ja pracują dla każdej Władzy na całym świecie. Mam więcej wspólnego z moim przeciwnikiem ze Smierszy niż z jakimkolwiek obywatelem mojego kraju. Kiedy dostaję jakieś polecenie do wykonania, zabieram się do roboty. Nie zadaję żadnych pytań. Ludzie tacy jak ja żyją wedle jednego kodu — zadanie musi być

wykonane, wszystko inne jest nieważne. — Roześmiał się szorstko. — Gdybym urodził się wcześniej jako Niemiec, pracowałbym pewnie w gestapo.

— Dlaczego więc udzielił pan pomocy Joelowi ben Dayidowi w Kairze? — zdziwił się Hardt.

— To zupełnie nie pasuje do obrazu, jaki pan naszkicował.

Chavasse wzruszył ramionami i rzekł od niechcienia:

— To moja słabość. Lubię ludzi i czasami podejmuję kroki pozbawione rozsądku. — Nim Hardt zdążył coś powiedzieć, Chavasse ciągnął dalej: — A propos, przeszukałem Mullera, zanim jeszcze Steiner wkroczył na scenę. W wewnętrznej kieszeni znajdowały się listy od Lili Pohl, o której pan wspominał. Był na nich adres hotelu na Gluckstrasse w Hamburgu.

Hardt spoważniał.

To dziwne. Myślałem, że posługiwał się innym nazwiskiem. Czy coś jeszcze pan znalazł?

— Starą fotografię — dodał Chavasse. — Chyba jeszcze z czasów wojny. Miał na sobie mundur Luftwaffe i obejmował młodą dziewczynę.

Hardt spojrział na niego zaskoczony.

— Jest pan pewien, że miał na sobie... mundur Luftwaffe? Tak — odpowiedział Chavasse. — Dlaczego pan pyta?

— Prawdopodobnie to nie ma znaczenia — odparł Hardt. — Wiedziałem tylko, że był w armii. Moje informacje są chyba

nieścisłe. — Po chwili milczenia zaczął mówić dalej: — Dobrze byłoby zasięgnąć informacji w tym hotelu na Gluckstrasse. Chavasse potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Zbyt niebezpieczne. Należy pamiętać, że Steiner zna to miejsce. Wyobrażam sobie, że on też nie omieszka zasięgnąć informacji.

— Nie tak od razu — stwierdził Hardt. — Jeśli pojedę tam natychmiast, jak tylko znajdziemy się w Hamburgu, na pewno ubiegnę policję. Z ich punktu widzenia nie ma powodu do pośpiechu.

Chavasse przyznał mu rację.

— Chyba jednak ma to sens.

— Pozostaje tylko jeszcze jedna kwestia — dodał Hardt — a mianowicie, co pan ma zamiar

robić?

— Wiem, co chciałbym zrobić — wyznał Chavasse. — Chciałbym się znaleźć przez pięć minut sam na sam ze Schmidtem, konduktorem wagonu sypialnego, który podał mi kawę, i dowiedzieć się, dla kogo pracuje.

— Radziłbym, aby na razie pozostawił pan tę sprawę w moich rękach — zaproponował Hardt. — Zdobędę jego adres i wybierzemy się tam później, we dwóch. Nie byłoby wskazane, aby zbyt długo kręcił się pan po Hauptbahnhof, gdy dojedziemy do Hamburga.

— Co więc mi pan proponuje?

Hardt zdawał się głęboko zastanawiać. Po chwili jednak sprawiał wrażenie, jakby już podjął decyzję.

Nim powiem coś więcej, muszę wiedzieć, czy jest pan gotów ze mną współpracować.

Chavasse z miejsca uświadomił sobie wiążące się z tym trudności i zadał pytanie.

— Co się stanie, jeżeli odnajdziemy rękopis? Komu przypadnie?

— Sprawa jest prosta... nic trudnego zrobić kopię.

— A Schultz? Nie możemy go skopiować.

— To zagadnienie będziemy rozwiązywać, kiedy się przed nami wyłoni.

— Nie wydaje mi się, aby mój Szef był tego samego zdania — wyraził powątpiewanie Chavasse.

Hardt uśmiechnął się spokojnie.

Wybór należy do pana. Bez mojej pomocy nic pan nie osiągnie. Mam coś w zanadrzu. Coś, co może się okazać kluczem do całej tej sprawy.

— Po cóż więc ja jestem panu potrzebny? — zdziwił się Chavasse.

— Już panu powiedziałem, jestem sentymentalny. — Znowu się uśmiechnął. — Okay, będę szczerzy. Cała ta historia toczy się szybciej, niż sobie wyobrażałem, a w tym momencie nie mam drugiego człowieka w Hamburgu. Chętnie skorzystam z pańskiej pomocy.

Korzyści ze współpracy z Hardtem nie budziły żadnych wątpliwości, toteż Chavasse zdecydował się bez wahania. Wyciągnął rękę.

— W porządku, jestem do pana dyspozycji. Zastanowimy się nad podziałem łupu, kiedy go zdobędziemy, o ile w ogóle nam się to uda.

— Porządny z pana facet! — odparł Hardt, a w jego głosie brzmiało zadowolenie. — A teraz proszę posłuchać uważnie tego, co powiem. Muller miał siostrę. My o tym wiemy, ale nie sądzę, aby wiedzieli nasi przeciwnicy. Muller był przekonany, że zginęła podczas nalotów, gdy zrzucano bomby zapalające, w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Spotkali się niedawno. Pracuje jako statystka w klubie Tadž Mahal na Reeperbahn. Od ubiegłego tygodnia mam tam swoją agentkę. Stara się zaprzyjaźnić z tą dziewczyną, aby zdobyć jakiś kontakt z Mullerem.

Chavasse, zdziwiony, uniósł brwi.

— Czy pańska agentka jest Niemką?

— Izraelką, jej rodzice mieszkali w Niemczech. Nazywa się Anna Hartmann. — Zdjął duży srebrny sygnet ze środkowego palca lewej ręki. — Proszę jej to pokazać i powiedzieć, kim pan jest. Ona zresztą wie o panu wszystko. Proszę jej powiedzieć, aby po ostatnim występie zabrała pana do swego mieszkania. Spotkam się tam z wami natychmiast, jak to będzie możliwe.

Chavasse wsunął sygnet na palec.

— To chyba już wszystko. Kiedy będziemy w Hamburgu? Hardt spojrzął na zegarek.

— Za jakieś dwie godziny. Dlaczego pan pyta?

— Bo ostatnimi czasy jestem potwornie niewyspany i jeśli nie ma pan nic przeciw temu, skorzystam z górnej leżanki i trochę się prześpię.

Twarz Hardta rozjaśniła się uśmiechem. Podniósł się i przystawił drabinkę.

— Podoba mi się pański sposób bycia. Nasza współpraca powinna być wspaniała.

— Mamy więc podobne odczucia — odparł Chavasse.

Powiesił marynarkę przy drzwiach, wspiął się po drabince i wyciągnął na górnej leżance, aby odprężyć wszystkie mięśnie. Miał taki zwyczaj od dawna, ale pozwalał sobie na to tylko wtedy, kiedy czuł się spokojny.

Miał świadomość, opartą na długiej praktyce i doświadczeniu, że jak na razie wszystko toczy się pomyślnie. Nawet bardzo pomyślnie. Odwrócił się na bok i natychmiast pogрузzył się w spokojnym śnie, jak dziecko.

4

Chavasse zerknął na swoje odbicie w lustrze. Miał na sobie biały prochowiec Hardta i jego zielony kapelusz. Opuścił na oczy rondo i uśmiechnął się.

— Jak wyglądam?

Hardt klepnął go po ramieniu.

— Znakomicie, po prostu znakomicie. Z pociągu wysiądzie zapewne dużo ludzi. Jeżeli zrobisz tak, jak zaproponowałem, w dwie minuty opuścisz dworzec. Możesz wziąć taksówkę. Chavasse potrząsnął głową.

— Nie kłopotcz się o mnie. Co prawda dawno już nie byłem w Hamburgu, ale potrafię jeszcze znaleźć drogę na Reeperbahn.

— Wobec tego zobaczymy się później. — Hardt otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i usunął się na bok. — Wszystko w porządku.

Chavasse przecisnął się obok niego i pospieszył pustym korytarzem. Pociąg wjeżdżał wolno na Hauptbahnhof i peron zdawał się przesuwać do tyłu. Przechodził z wagonu do wagonu przepychając się obok ludzi, którzy zaczęli się wynurzać ze swoich przedziałów, aż znalazł się na końcu ostatniego wagonu. Kiedy pociąg się zatrzymał, Chavasse otworzył drzwi i wyszedł na peron.

Pierwszy znalazł się przy kontroli biletów i już po chwili zdążył do głównego wyjścia. Była godzina druga trzydzieści, o tej porze nie kursowała kolej podziemna. Lekko padało, była to ciepła mżawka pachnąca jesienią. Wiedziony nagłym impulsem postanowił iść piechotą. Postawił kołnierz płaszcza i zdążył przez Monckebergstrasse w kierunku St. Pauli, znanej dzielnicy nocnych klubów Hamburga.

Ulice były ciche i wyludnione i kiedy przechodził obok wspaniałych gmachów, przypomniał sobie, jak Hamburg wyglądał pod koniec wojny. Nie miasto, a jatka. Wydawało się wprost niewiarygodne, że było to miejsce, gdzie w ciągu dziesięciu dni podczas dywanowych nalotów latem 1943 roku zginęło blisko siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Niemcy odrodziły się jak feniks z popiołów.

Reeperbahn była taka sama jak ją zapamiętał, gwarna

I różnokolorowa, i niewiarygodnie ożywiona nawet o tej porze nocy. Gdy tak szedł wśród rozpychającego się radosnego tłumu, porównał to miejsce z Londynem o trzeciej nad ranem i uśmiechnął się kącikiem ust. Co to było, co oni nazywali sercem St. Pauli? — Die Grosse Freiheit — Wielka Swoboda? To bardzo trafna nazwa.

Przechodził obok nocnych klubów oświetlonych krzykliwymi neonami, nie zwracając uwagi na prostytutki chwytające go za rękaw, i minął Davidstrasse, gdzie stały w oknach młode dziewczyny, eksponujące swe wdzięki przed ewentualnymi klientami. Dopytując się o drogę znalazł wreszcie Tadź Mahal w bocznej uliczce od Talstrasse.

Wejście miało przypominać hinduską świątynię, a odzwierny był ubrany w ozdobne szaty i turban. Chavasse wszedł do środka pomiędzy palmami w donicach, a młoda kobieta w obszernym sari odebrała od niego kapelusz i płaszcz.

Wnętrze klubu było w tym samym stylu — kolumny po obydwu stronach długiej sali i więcej palm w donicach. Kelner, który poprowadził go do stolika, był wspaniale ustrojony w złote brokaty i czerwony turban, tyle że wrażenie psuły okulary bez oprawek i akcent rodem z Westfalii. Chavasse zamówił koniak i rozejrzał się dokoła.

Sala była tylko w połowie zapełniona i każdy wydawał się trochę zmęczony, jak gdyby przyjęcie przeciągnęło się zbyt długo. Na małym podium kilkanaście dziewcząt pozowało w scenie mającej przedstawiać porę kąpeli w haremie. Pośrodku lubieżny rudzielec bez krztyny artyzmu usiłował wykonać Taniec Siedmiu Zasłon. Kiedy opadła ostatnia zasłona, z widowni rozległy się ciche oklaski i światła przygasły. Po chwili rozbłysły ponownie, ale dziewcząt już nie było.

Kelner powrócił z koniakiem i Chavasse go zagadnął:

— Pracuje tu u was Fraulein Hartmann. Jak mógłbym się z nią spotkać?

Kelner pokazał w uśmiechu złote zęby.

— Nic trudnego, mein Herr. Po każdym przedstawieniu dziewczęta pracują jako hostessy. Pokażę panu Fraulein Hartmann, gdy tylko się zjawi.

Chavasse wręczył mu suty napiwek i zamówił pół butelki szampana oraz dwa kieliszki. Podczas rozmowy z kelnerem na podium pojawiła się orkiestra i muzycy zaczęli grać. W tej chwili otworzyły się drzwi obok wejścia na zaplecze klubu i jak na dany sygnał, zaczęły przez nie wychodzić statystki.

Statystki były w większości młode i dość atrakcyjne, a ich suknie miały w sposób szczególny podkreślać ich liczne wdzięki. Były jakby ulepione z tej samej gliny — twarze mocno umalowane i skupione, z przyklejonym mechanicznym uśmiechem, przeznaczonym dla klientów.

Zdał sobie sprawę z jakiegoś niejasnego, irracjonalnego zawodu na myśl, że jedna z nich musi być poszukiwaną przez niego dziewczyną, i już zamierzał wyjść, gdy drzwi się ponownie otworzyły.

Nawet bez dyskretnego skinienia głowy kelnera, który stał po drugiej stronie sali, od razu zorientował się, że to właśnie Anna Hartmann. Podobnie jak inne dziewczęta miała pantofle na wysokich obcasach, ciemne pończochy oraz wąską sukienkę z czarnego jedwabiu sięgającą do kolan i opinającą jej biodra

niczym druga skóra. Lecz na tym podobieństwo się kończyło. Emanował z niej jakiś ogromny spokój, nieomal cisza. Stała akurat w drzwiach i spokojnie rozglądała się po sali, ale jakby nie miała z nią nic wspólnego, jakby ohyda tego świata nie mogła wywierać na nią żadnego wpływu.

Nagle odczuł trudne do sprecyzowania podniecenie. To nie z powodu jej urody. Miała oliwkową cerę, kruczoczarne włosy spadające do ramion. Okrągła twarz, pełne, kształtne usta nadawały jej lekko zmysłowy wyraz, jednakże wyraźne kości policzkowe i energiczny podbródek świadczyły o silnym charakterze, co natychmiast ustawiało ją w innym świecie, z daleka od pozostałych dziewcząt.

Postąpiła naprzód i natychmiast zwróciły się ku niej głowy mężczyzn, patrzących na nią z podziwem. Zręcznie uniknęła wyciągniętej ręki jakiegoś pijanego gościa, po czym znalazła się w pobliżu jego stolika. Chavasse wstał z miejsca i dotknął szybko jej ramienia.

— Fraulein Hartmann? — zapytał. — Czy mógłbym panią zaprosić na drinka?

Odwróciła się patrząc mu prosto w twarz, a następnie zauważyła szampana i dwa kieliszki.

Wydaje się pan mieć jakiś poważny kłopot, Herr...?

— Chavasse — powiedział. — Paul Chavasse.

W jej brązowych oczach jakby coś drgnęło, jednakże twarz nie wyrażała żadnego uczucia. Dla postronnego obserwatora była po prostu jedną z wielu dziewcząt, przyjmującą poczęstunek od

klienta.

Uśmiechnęła się odsuwając krzesło.

To bardzo uprzejmie z pana strony, Herr Chavasse. Szampan to najwspanialszy trunk.

Usiadłszy znów przy stoliku Chavasse zdjął pierścionek Hardta i przesunął w jej stronę.

— Mam nadzieję, że to również uzna pani za coś wspaniałego, Fraulein Hartmann — powiedział wyjmując jednocześnie butelkę szampana z wiaderka z lodem i otwierając ją.

Kiedy napełniał jej kieliszek, ze spokojną twarzą przyglądała się pierścionkowi, po czym wsunęła go do torebki. A gdy spojrzała na Chavasse'a, na czole jej pojawiła się leciutka zmarszczka, świadcząca o napięciu.

— Czy coś się stało z Markiem? — spytała wprost. Chavasse uśmiechnął się.

— Proszę wypić szampana i nic się nie martwić. Teraz pracujemy razem. Pani podobno ma mnie zabrać do swojego mieszkania. A on będzie się starał spotkać z nami jak najszybciej.

Upiła wolno szampana i wpatrywała się zafrasowana w kieliszek, jakby zastanawiając się nad tym, co powiedział. Po chwili podniosła na niego wzrok.

— A może powie mi pan najpierw, co się zdarzyło, Herr Chavasse?

Podał jej papierosa i sam także wziął. Pochylili się ku sobie nad stolikiem jak dwoje kochanków, niemal stykając się głowami, a on szybko, w kilku zdaniach, zaznajomił ją z sytuacją.

Kiedy skończył, dziewczyna westchnęła.

— A więc Muller nie żyje?

— Co z jego siostrą? — spytał Chavasse. — Czy jest teraz tutaj, w mieście?

Anna Hartmann potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że nie. Kiedy nie zgłosiła się dzisiaj wieczorem do pracy, zadzwoniłam do jej mieszkania. Gospodyni powiedziała mi, że rano spakowała walizkę i wyjechała nie zostawiając adresu.

Chavasse zasępił się.

To niedobrze. Nie mamy jasnej przesłanki, jak teraz postępować.

— Jest jeszcze ten konduktor wagonu sypialnego, o którym mi pan wspominał — powiedziała.

— Przynajmniej przez niego może się pan dowiedzieć czegoś o przeciwniku.

— Trafna uwaga. — Spojrzawszy na zegarek stwierdził, że jest prawie wpół do czwartej. — Ale może już wyjdziemy stąd?

Uśmiechnęła się.

— Chyba to nie będzie takie proste, jak się wydaje, powinnam pracować do wpół do piątej. Jeśli chce pan, żebym wyszła wcześniej, musi pan zapłacić właścicielowi należność.

Chavasse uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Żartuje pani?

— Nie, to prawda — odparła. — Ale najpierw musimy ze sobą zatańczyć, żeby to wyglądało naturalnie.

Poderwała go z krzesła i zanim mógł zaprotestować, poprowadziła na malutki parkiet. Objęła go ręką za szyję i tańczyła położywszy mu głowę na ramieniu, tak mocno przytulona, że czuł każdą wypukłość jej ciała.

Większość par na parkiecie zdawała się tańczyć w taki sam sposób i Chavasse szepnął jej do ucha:

— Jak długo mamy się tak zachowywać? Uśmiechnęła się do niego, a w oczach jej zaigrał wesoły chochlik.

— Sądzę, że wystarczy jeszcze pięć minut. Czy ma pan jakieś obiekcje?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to chciałbym trochę odpocząć.

Uśmiech zniknął z jej twarzy i spoglądała przez chwilę na niego poważnie, po czym znów położyła mu głowę na ramieniu, a on mocno objął ją w talii.

Chavasse zapomniał o pracy, zapomniał o wszystkim poza faktem, że tańczy z gorącą, podniecającą dziewczyną, której perfumy wypełniały jego nozdrza wywołując w nim uczucie pożądania. Już dawno nie spał z żadną kobietą, ale to nie wyjaśniało wszystkiego. Że Anna Hartmann podniecała go fizycznie, nie ulegało wątpliwości, ale było w tym coś więcej, coś głębszego, czego właściwie nie mógł pojąć.

Tańczyli co najmniej piętnaście minut, po czym Anna delikatnie się od niego odsunęła.

— A więc już chodźmy — powiedziała z powagą i porowadziła go do stolika.

Wziąwszy torebkę, zwróciła się do niego z uśmiechem.

Tak jak wspominałam, musi pan zapłacić za mój czas, inaczej nie będę mogła wyjść. — Spojrzała na zegarek. — Myślę, że trzydzieści marek wystarczy.

Otworzył portfel i odliczył pieniądze.

— Czy często to pani robi?

Uśmiechnęła się rozbawiona, cała jej twarz rozjaśniła się, jakby była małą dziewczynką.

— O nie, będzie to po raz pierwszy. Jak do tej pory właściciel miał mi to za złe. A teraz pójdzie do domu na śniadanie szczęśliwy.

Przeszła między stolikami na zaplecze klubu. Chavasse zapłacił rachunek i odebrał z szatni swój kapelusz i płaszcz.

Zapaliwszy papierosa stanął na chodniku przed klubem, a po pięciu minutach zjawiała się Anna. Miała na sobie futro, a na głowie, niczym wieśniaczka, jedwabną chustę.

— Czy daleko mamy do domu? — spytał, kiedy wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli ulicą.

Mam samochód — powiedziała. Rankiem, o tej porze, ulice są puste, będziemy jechać zaledwie dziesięć minut.

Zaparkowany za rogiem stał mały, zniszczony Volkswagen, którym w chwilę potem mknęli przez ciche, zmyte deszczem ulice. Najwyraźniej była doświadczonym kierowcą, jechała pewnie, toteż Chavasse odprężony osunął się ciężko na siedzeniu.

Wciąż go zaskakiwała. Z jednej strony wydawała się za młoda do tego rodzaju pracy, z drugiej zaś nie było w niej cienia bezwzględności, tak istotnej w dążeniu do sukcesu. Była serdeczną, inteligentną, uroczą dziewczyną i w nagłym przypiływie złości pomyślał, jak, u diabła, doszło do tego, że zaplątała się w taką aferę.

W tym momencie zatrzymali się na bocznej ulicy przed starą kamienicą z brązowej cegły. Jej mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze i kiedy wchodzili po schodach, odezwała się wyjaśniając:

— Może to niezbyt luksusowe miejsce, ale panuje tu atmosfera eleganckiego rozkładu, co mnie z pewnego względu odpowiada, a poza tym jest tu przyjemnie i spokojnie.

Otworzywszy drzwi przekręciła kontakt i Chavasse znalazł się nagle w obszernym, wygodnym pokoju.

— Muszę wyskoczyć z tej sukienki — powiedziała. — Przepraszam na chwilę.

Chavasse zapalił papierosa i zaczął się bezwiednie przechadzać po pokoju. Na stoliku przy oknie znalazł kilka podręczników i zeszyt, w którym zapewne robiła notatki. Właśnie go przeglądał, kiedy weszła do pokoju.

Miała na sobie haftowane kimono z ciężkiego japońskiego jedwabiu, a włosy związała do tyłu wstążką. Wyglądała najwyżej na szesnaście lat.

Widzę, że znalazłeś moją pracę domową. Mark mówił, że jesteś znawcą języków obcych. Czy mówisz po hebrajsku? Trochę, ale niezbyt dobrze — odparł.

Nie przestając mówić poszła do kuchni, a Chavasse podążył za nią.

— Ja mówię całkiem dobrze, ciągle jednak muszę ćwiczyć się w pisaniu — wyjaśniła.

Oparł się o framugę drzwi i obserwował, jak przygotowuje kawę.

— Powiedz mi — zaczął — w jaki sposób dziewczyna taka jak ty zaplątała się w tego rodzaju grę?

Uśmiechnęła się przez ramię, cały czas poświęcając uwagę parzeniu kawy.

To całkiem proste. Skończyłam szkołę mając szesnaście lat i studiowałam nauki ekonomiczne na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Potem wstąpiłam do armii izraelskiej.

— Czy widziałaś jakąś walkę?

— Wystarczająco, aby dojść do wniosku, że powinnam robić coś więcej — powiedziała szybko.

Ustawiła na tacy filiżanki i dzbanek z kawą, następnie podeszła do szafki i wyjęła puszkę ze

śmietanką. Chavasse obserwował ją, krzątającą się w małej kuchni, aż zaschło mu w gardle i ścisnęło go w żołądku.

Kiedy pochyliła się nad stołem, żeby wziąć tacę, kimono ciasno opięło się na niej, uwydatniając jej rozkoszne kształty. Dłonie mu zwilgotniały, zrobił niepewnie krok w jej kierunku, a ona, ciągle z tacą w rękach, odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

Żadna dotąd kobieta nie uśmiechała się do niego w ten sposób. Był to uśmiech, który harmonizował z otoczeniem, przyciągał go, spowijał czułością, jakiej nigdy dotychczas nie doświadczył.

Jakby przeczuwając, o czym myśli, przestała się uśmiechać, a twarz jej okryła się rumieńcem. Wziął tacę z jej rąk i powiedział łagodnie:

— Kawa pachnie znakomicie. Chętnie wypiję całą filiżankę.

Poprowadziła go do drugiego pokoju i zasiedli przy pustym kominku. Chavasse postawił tacę na małym stoliku. Kiedy nalała kawę, powiedział:

— Wszystko, co mi mówiłaś, nie w pełni tłumaczy, dlaczego taka dziewczyna jak ty musi wykonywać taką robotę.

Trzymała filiżankę w obu rękach i powoli sączyła kawę.

— Moi rodzice byli uchodźcami z Niemiec i przyjechali do Palestyny w okresie nazistowskich prześladowań, ale ja jestem *sabra*, to znaczy urodzona i wychowana w Izraelu. To czyni mnie w pewnym sensie inną, co jest bardzo trudne do wytłumaczenia. Tacy ludzie jak ja dostali od życia bardzo wiele... Nigdy nie zaznałam takich cierpień, jak moi rodzice. I właśnie dlatego spoczywa na mnie szczególna odpowiedzialność.

Dla mnie to brzmi jak kompleks króla. Potrząsnęła głową.

— Nie, to nieprawda. Zgłosiłam się na ochotnika do tej pracy, ponieważ czułam, że muszę coś zrobić dla moich rodaków.

— Z pewnością są inne rzeczy, które mogłabyś robić powróciwszy do domu — powiedział. — Jest to nowy kraj, który trzeba budować.

— Ale mnie to nie wystarcza. W ten sposób czuję, że mogę coś zrobić dla wszystkich ludzi, nie tylko dla moich rodaków.

Chavasse lekko zmarszczył brwi, popijając kawę. Anna westchnęła.

— Przykro mi, ale jest to sprawa, którą trudno wyrazić w słowach, natomiast uczucia zawsze można. — Wzruszyła ramionami, wyjęła z kieszeni kimona paczkę papierosów wyciągnęła w jego stronę. — Skoro o tym mowa, to jak w ogóle człowiek wciąga się w tego rodzaju pracę? Na przykład, co ty powiesz o sobie?

Uśmiechnął się i podał jej ogień.

— Zacząłem jako amator. Byłem wykładowcą języków nowożytnych na uniwerku, zrobiłem doktorat z tej dziedziny. Mój przyjaciel miał starszą siostrę, która wyszła za mąż za Czecha. Po

wojnie jej mąż zmarł. Chciała wrócić do Anglii z dwojgiem dzieci, lecz komuniści jej nie pozwolili.

— I ty postanowiłeś ją stamtąd wydestać? Skinął twierdząco głową.

— Rząd nie mógł pomóc, a ponieważ ja znałem języki, postanowiłem coś zrobić nieoficjalnie.

— Musiało to być trudne — zauważyła Anna.

— Jak tego dokonaliśmy, sam nie wiem, ale dokonaliśmy. — Uśmiechnął się. — Przebywałem w szpitalu w Wiedniu,

dochodząc do zdrowia po jakiejś drobnej niedyspozycji, kiedy zjawił się u mnie człowiek, dla którego pracuję do dzisiaj. Zaproponował mi robotę.

— Jednakże w dalszym ciągu to nie wyjaśnia, dlaczego ją przyjąłeś.

Wzruszył ramionami.

— Nie od razu przyjąłem. Wróciłem na uniwersytet na następny semestr.

— I co było dalej?

Podniósł się ze swego miejsca i podszedł do okna. Ciągle jeszcze padało, spojrzał na roztaczającą się ciemność nocy i próbował uporządkować własne myśli. W końcu powiedział:

— Przekonałem się, że spędzam życie na uczeniu języków ludzi, którzy również będą spędzać swoje życie ucząc innych. I nagle wydało mi się to banalne.

— Ale to przecież nie powód — zaproponowała — taka jest historia całej ludzkości.

— Doprawdy nie pojmujesz? Odkryłem u siebie cechy, o których nigdy przedtem nie wiedziałem. Okazało się, że lubię podejmować ryzyko i posługiwać się swoim intelektem w walce z przeciwnościami.

Spoglądając wstecz na kwestię czechosłowacką, doszedłem do wniosku, że w jakiś niejasny sposób sprawiło mi to przyjemność. Czy potrafisz to zrozumieć?

— Nie jestem całkiem pewna — odparła powoli — czy można uczciwie powiedzieć, że codzienne zagładanie śmierci w oczy sprawia przyjemność.

— Myślę o tym aspekcie sprawy podobnie jak kierowca rajdowy biorący udział w wyścigu o Grand Prix.

— Ale przecież jesteś naukowcem. Jak mogłeś to wszystko zaprzepaścić?

W tej grze, by przeżyć, potrzebna jest inteligencja. Nastąpiła chwila milczenia, po czym Anna westchnęła.

— Nie myślałeś czasem, żeby to rzucić? Wzruszył ramionami i powiedział lekko:

Tylko wtedy, kiedy jest czwarta rano i nie mogę spać. Czasem, gdy leżę w ciemności paląc papierosa i słucham, jak wiatr tłucze w szyby, czuję się samotny i całkiem odcięty od reszty ludzkości.

W jego głosie dzwięczała ponura, przygnębiająca nuta, toteż wyciągnęła pośpiesznie rękę, ujmując jego dłoń.

— I nie możesz nikogo znaleźć, kto by dzielił z tobą tę samotność?

— Masz na myśli kobietę? — roześmiał się. — A cóż ja mogę jej ofiarować? Tylko długie, nieusprawiedliwione nieobecności. Przecież nawet nie mógłbym wysłać listu, żeby ją uspokoić. — W jej oczach nagle pojawiło się współczucie, a on pochylił się przez stolik i delikatnie przykrył jej rękę swoją dłonią. — Nie współczuj mi, Anno, nigdy mi nie współczuj.

Przymknęła oczy, a na jej ciemnych rzęsach pojawiły się łzy. Nagle ogarnęła go złość, zerwał się z miejsca i powiedział brutalnie:

— Zachowaj swoje żale dla siebie, będziesz tego potrzebować. Jestem profesjonalistą i występuję przeciwko profesjonalistom. Ludzie tacy jak ja uznają tylko jedno prawo... praca na pierwszym miejscu.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Nie sądzisz, że zgodnie z tym prawem ja także żyję pełnią życia?

Poderwał ją z krzesła, wpijając boleśnie palce w jej ramiona.

— Nie rozśmieszaj mnie. Ty i Hardt poświęcacie się, jesteście amatorami igrającymi z ogniem. — Próbowała unikać jego wzroku, ale on ujął ją pod brodę. — Czy potrafisz być bezwzględna i bezlitosna... to znaczy tak naprawdę bezlitosna? Czy mogłabyś zostawić Hardta leżącego z kulą w nodze, a sama ratować się ucieczką?

W jej oczach pojawiło się przerażenie, powiedział więc łagodnie:

— Ja musiałem nie raz tak postąpić, Anno.

Skłoniła głowę na jego ramię, a on objął ją i przytulił do siebie.

— Czemu nie zostałam w Izraelu, tam, gdzie jest twoje miejsce?

Uniosła głowę spoglądając mu w twarz; w jej oczach nie było już łez.

— Właśnie dlatego, że tam jest moje miejsce, musiałam tu przyjechać. — Pociągnęła go na kanapę i usiedli obok siebie.

— Jako mała dziewczynka mieszkałam w kibucu niedaleko miasta Migdal. Było tam wzgórze, na które często się wspinałam. Stamtąd mogłam spoglądać na Morze Galilejskie. Był to piękny widok, ale za piękno, jak za wszystko w życiu, trzeba płacić. Czy potrafisz to zrozumieć?

Siedziała obok niego, a kiedy spojrzał w jej oczy, oboje w naturalnym odruchu i swobodnie, pochylili się ku sobie i pocałowali. Przez pewien czas nie zmieniali pozycji, dopiero po chwili Anna odezwała się z westchnieniem: To nie powinno się było zdarzyć, prawda?

— Nie, stanowczo nie — pokręcił głową.

— Jednakże ja wiedziałam, że tak się stanie. W momencie gdy odezwałeś się do mnie w klubie, wiedziałam, że tak będzie. A czemu by nie? Mimo wszystko jesteśmy przecież ludźmi.

— Doprawdy? — Poderwał się raptownie z kanapy. Podeszedł do okna i zapalił papierosa, by zyskać na czasie.

— Zapewne ty jesteś, ale nie sądz, że ja mogę się zmienić, nawet gdybym chciał.

Podeszła do niego i szukała wzrokiem jego twarzy.

— A więc to, co się zdarzyło, dla ciebie nic nie zmienia? Skinął głową ponuro.

— Poza tym, że o czwartej godzinie nad ranem poczułem się jeszcze bardziej samotny.

Na jej twarzy odmalowało się nagle postanowienie i już miała odpowiedzieć, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy przeszła przez pokój, by je otworzyć, stanął w nich Mark Hardt.

5

Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, przewiązany paskiem, z włosów skapywały mu krople wody. Objął Annę i pocałował lekko w policzek, po czym zwrócił się do Chavasse'a z uśmiechem:

— A więc odnalazłeś ją bez większych kłopotów? Udało mi się — odparł Chavasse.

Hardt zdjął płaszcz i rzuciwszy go niedbale na krzesło, usiadł przy stole. Anna przyniosła z kuchni trzecią filiżankę i napełniła ją kawą. Napił się i odetchnął z ulgą.

Leje jak z cebra. — Spojrzał na Annę. — Są jakieś wiadomości?

— Katie Holdt nie zgłosiła się do pracy. Byłam u jej gospodyni. Okazało się, że spakowała walizkę i wyjechała nie podając żadnego adresu.

Zaklął pod nosem i odstawił filiżankę.

— Spodziewałem się, że prędzej czy później tak nas urządzi.

— A co z hotelem na Gluckstrasse? — zwrócił się do niego Chavasse. — Zdobyłeś jakieś ciekawe wiadomości?

— Dowiedziałem się, że Muller nigdy tam nie mieszkał. Posługiwał się tylko tym adresem, by mógł bezpiecznie odbierać korespondencję.

A Otto Schmidt? Udało ci się zdobyć jakieś informacje?

— Jest wdowcem, mieszka sam na Steinerstrasse. Niedaleko stąd.

Chavasse zerknął na zegarek. Było już wpół do piątej.

— Może więc złożymy mu wizytę? To zdumiewające, ile można dowiedzieć się od ludzi w chłodnym, szarym brzasku dnia.

— Właśnie miałem to zaproponować.

Hardt podniósł się i w momencie gdy sięgał po płaszcz, jakby sobie nagle coś przypomniał. Zwrócił się do dziewczyny:

— Anno, czy to ty mi mówiłaś, że Muller służył w armii? Potwierdziła, ale na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

Tak, mówiłam. Dlaczego pytasz? Czy coś się nie zgadza?

— Chavasse, przeszukując ciało Mullera w pociągu, znalazł jego zdjęcie w mundurze Luftwaffe.

— Ależ on był w armii — zapewniła Anna. — Mogę tego dowieść, mam stare zdjęcie. — Wzięła torebkę i zaczęła w niej szukać. Po chwili podała im zdjęcie. — Wczoraj, kiedy mi pokazywała, wypadło jej z torebki. Zostało zrobione w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, była wtedy jeszcze dzieckiem.

Hardt chwycił zdjęcie, a Chavasse spojrzał mu przez ramię. Było popękane i wyblakłe, mimo to na twarzy, małej dziewczynki znać było dumę, że trzyma za rękę stojącego na baczność w żołnierskim mundurze dużego brata.

Chavasse zmarszczył czoło i wyrwał Hardtowi zdjęcie z ręki.

— Ależ to przecież nie jest Muller — zwrócił się do Anny. — To jakaś pomyłka.

Potrząsnęła głową i powiedziała z głębokim przekonaniem:

— Ależ to on... dlaczego Katie Holdt miałyby kłamać? W każdym razie mogę was zapewnić, że ta mała dziewczynka to niewątpliwie Katie, a pomiędzy nią i żołnierzem jest niezaprzeczone rodzinne podobieństwo. To z pewnością jest jej brat.

— Wobec tego kim byt ten mężczyzna w twoim przedziale? — zwrócił się Hardt do Chavasse'a.

— Nie był to Muller, nie ulega wątpliwości.

— Co według ciebie mogło się zdarzyć?

Chavasse naciągnął prochowiec i szybko zapiał guziki.

— Musiałbym zgadywać, a tego nie lubię. Ale zaczyna mi się rysować pewien obraz. Parę słów wymienionych z Otto Schmidtem może ten obraz uzupełnić.

— Wobec tego jedziemy prosto do Schmidta — oznajmił Hardt i zwrócił się do Anny: — Weźmiemy samochód. Masz kluczyki?

Szybko wyjęła z torebki, podała im i otworzyła przed nimi drzwi. Hardt wyszedł bez słowa, a Chavasse, już na schodach, obejrzał się za siebie. Wciąż stała w otwartych drzwiach. Uniosła rękę, a jej usta poruszyły się bezgłośnie. Kiedy obejrzał się jeszcze raz, drzwi były już zamknięte.

Zaparkowali samochód tuż za rogiem Steinerstrasse, dalej poszli pieszo. Hardt bez trudu odnalazł czynszową kamienicę i weszli szybko do środka. Mieszkanie Schmidta znajdowało się na drugim piętrze. Zatrzymali się przy drzwiach, chwilę nasłuchując. Z wewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Chavasse lekko nacisnął klamkę, drzwi były zamknięte.

Hardt zdecydowanym ruchem nacisnął dzwonek i nie puszczał przez cały czas oczekiwania. Wkrótce usłyszeli kroki zbliżające się do drzwi, które niebawem uchyliły się, zabezpieczone łańcuchem. Schmidt spytał zaspanym głosem:

— Kto tam?

— Policja! — Chavasse oznajmił surowym głosem po niemiecku. — Proszę otwierać!

Schmidt natychmiast oprzytomniał. Odpiął łańcuch i otworzył drzwi. Na widok Chavasse'a opadła mu szczęka. Chavasse natychmiast wskoczył do środka i przyłożył mu pięścią w brzuch, nim zdążył krzyknąć. Schmidt opadł na kolana i zaczął się przechylać do przodu. Chavasse rzucił się w jego stronę, chwycił go za ramię i wciągnął w głąb pokoju.

Hardt zamknął drzwi, a Chavasse rzucił Schmidta na krzesło. Zapalił papierosa, sam także usiadł i czekał.

Schmidt wyglądał przerażająco, jego twarz w półmroku palącej się lampy stała się prawie zielona. Po chwili jakby odetchnął. Chavasse przysunął krzesło i usiadł naprzeciw niego.

— Jesteś zaskoczony moim widokiem — powiedział. Schmidt był śmiertelnie wystraszony. Zwilżył wargi.

— Policja szuka pana, panie Chavasse.

— To ładnie z twojej strony, że mnie o tym powiadamasz odparł Chavasse. Pochylił się i walczył Schmidta prosto w usta.

— Skończmy z układną gadaniną i przejdźmy do rzeczy. Kawa, którą mi podałeś w pociągu tuż przed przyjazdem do Osnabrucku... zawierała coś więcej, czy tak?

Schmidt usiłował protestować, ale nieskutecznie.

— Nie wiem, o czym pan mówi, mein Herr.

Chavasse przysunął się jeszcze bliżej i oznajmił lodowatym tonem:

— Mam mało czasu, Schmidt, więc się pospiesz. Daję ci dziesięć sekund. Jeśli nie zaczniesz gadać, wykręcę ci lewą rękę. Jeśli i to nie poskutkuje, zrobię to samo z prawą.

Twarz Schmidta pokryła się kroplami potu, wykrzywiły mu się usta.

— Boję się mówić, mein Herr, bo on mnie zabije.

— Kto? — odezwał się Hardt i w mgnieniu oka stanął za jego krzesłem.

Schmidt obejrzał się na Hardta, jego oczy były szeroko otwarte i pełne lęku.

— Inspektor Steiner — szepnął.

Tak myślałem — powiedział Chavasse. — A więc zbliżamy się do celu. — Znowu pochylił się w stronę Schmidta, patrząc świdrującym wzrokiem prosto w jego przerażoną twarz. — Czy ten człowiek, który został zabity w moim przedziale... wsiadł do pociągu w Osnabrucku?

Schmidt potrząsnął głową, jego twarz wykrzywiła się jak w konwulsjach.

— Nie, mein Herr.

— Kto to był? — zażądał odpowiedzi Hardt.

Schmidt zdawał się mieć trudności z wypowiedzeniem każdego słowa, ale wreszcie wykrztusił z siebie szeptem:

— Steiner i doktor Kruger wnieśli go na noszach w Rheine.

— Co się z nim działo dalej, kiedy go wnieśli do pociągu? — spytał Chavasse, łapiąc Schmidta za poły szlafroka. — No już, gadaj!

— To był trup, mein Herr!

Schmidt jęknął i opadł na krzesło wstrząsany spazmami.

Chavasse podniósł się z westchnieniem ulgi i satysfakcji.

— Tak myślałem. Kiedy go obejrzałem, coś mi się nie zgadzało. Mój umysł był jeszcze pod działaniem narkotyku i nie mogłem zebrać myśli, ale kiedy jechaliśmy tutaj samochodem, przypomniałem sobie wszystko. Miał całkiem sztywne palce, a jego ciało było zimne jak lód.

— Nie żył już od kilku godzin? — spytał Hardt. Chavasse przytaknął.

— Nie mam pojęcia, kto to był. Prawdopodobnie ciało dostarczył Kruger. Wsiadli w Rheine, kazali Schmidtowi wsypać coś do kawy i czekali w moim przedziale na przybycie prawdziwego Mullera w Osnabrucku.

— Czyli że to Mullera wynieśli na noszach w Hamburgu? — spytał Hardt.

— Zgadza się. Sprytny plan. Mnie wyeliminowali i sami położyli łapy na Mullerze. Po prostu sami chcieli z niego wycisnąć informacje.

— Zastanawiam się, dokąd go mogli zabrać? Chavasse wzruszył ramionami, nagle jednak olśniła go myśl.

— Może nasz tutejszy przyjaciel coś wie. — Chwycił Schmidta za włosy i odchylił do tyłu jego głowę. — Schmidt, co ty na to?

Ambulans należał do prywatnej kliniki doktora Krugera w Blankenese — wykrztusił Schmidt. Uniósł ręce w błagalnym geście. — Na miłość boską, niech się pan nade mną zlituje, mein

Herr. Niech pan nie mówi Steinerowi, że ode mnie się pan tego dowiedział. To okrutny człowiek. Był wyższym oficerem SS.

— Dlaczego więc mu pomagałeś? — zwrócił się do niego Hardt.

— Nie miałem wyboru. Nie ma pan pojęcia, jaką potęgą są ci ludzie.

Rozległy się kroki na korytarzu, a po chwili pukanie do drzwi. Chavasse poderwał Schmidta na nogi i przyciągnął do siebie. — Spytaj, kto to — szepnął — nie próbuj żadnych sztuczek.

Schmidt niechętnie podszedł do drzwi i spytał zachrypniętym głosem:

— Kto tam?

— Inspektor Steiner!

Słowa te dobiegły wyraźnie poprzez cienkie drzwi, a Schmidt jęknął przeraźliwie.

— To Steiner! — szepnął wystraszony. — Co mam robić? Chavasse spojrział pytającym wzrokiem na Hardta.

— Masz przy sobie broń?

— Nie mam, ale Steiner na pewno jest uzbrojony. Chavasse pokiwał głową.

— Tak myślałem. Co za wspaniała okazja, żeby się nas obu pozbyć, a samemu wykazać się bohaterstwem. Nie damy mu tej szansy.

Podbiegł do okna, odsuwając na bok Schmidta, który w panice uczepił się jego rękawa, i otworzył. W pobliżu okna znajdowała się gruba rynna, kończąca się jakieś dwanaście metrów nad wybrukowanym podwórkiem, ale poniżej, w odległości około jednego metra, zawieszona była drabina przeciwpożarowa.

Hardt przyłączył się do Chavasse'a, a tymczasem Steiner walił w drzwi krzycząc ze złością.

— Schmidt, otwieraj, jeśli ci życie miłe! Schmidt chwycił Chavasse'a za ramię.

— Co mam robić, mein Herr? On mnie zabije. Chavasse, nie zwracając na niego uwagi, wskazał na drabinę przeciwpożarową. — To nasza najlepsza droga odwrotu. — Nie czekając na aprobatę Hardta, wspiął się na parapet. Dosięgnął rynny, ale obsuwając się w dół pościarał sobie o mur skórę na kostkach u ręki. Na krótki moment zatrzymał się, ale już po chwili, przechylony na bok, uchwycił się lewą ręką drabiny i stanął na stopniu.

Hardt także wspiął się na parapet, udało mu się zsunąć po rynnie i przeskoczyć na drabinę. Noga mu się obsunęła, ale Chavasse zdołał go podtrzymać i obaj stanęli bezpiecznie.

Schmidt wychylił się przez okno, był przerażony.

— Pomóżcie mi, błagani! Wyważa drzwi.

Chavasse błyskawicznie zbiegł po stopniach drabiny, za nim Hardt. Kiedy pędzili przez wybrukowane podwórko i potem alejką prowadzącą do frontowej części domu, rozległ się krzyk. Przystanęli i spojrzeli w górę.

Schmidt zwisał uczepiony rynny; strach tak go sparaliżował, że nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. W tym momencie Steiner wychylił się przez okno, chcąc go dosięgnąć. Schmidt, tknięty odwagą zrodzoną z desperacji, postanowił przeskoczyć na drabinę, ale nie zdołał się jej uchwycić.

Palcami przez chwilę przytrzymał się muru i tak wisiał, po czym obsunął się i zleciał uderzając głową o bruk.

Hardt krzyknął z przerażenia i ruszył w jego stronę, ale Chavasse chwycił go za ramię i popchnął przed sobą w stronę ulicy.

— Trzeba myśleć o żywych — upomniał go. — Jeśli się stąd nie wydostaniemy zaraz, Steiner zmobilizuje połowę policji w Hamburgu, by nas ścigać.

Kiedy znaleźli się w Volkswagencie i bezpiecznie jechali przez opustoszałe boczne uliczki, Chavasse nałożył kapelusz i roześmiał się niepewnie.

— Byliśmy o włos od wpadki. Przez moment straciłem nadzieję, myślałem, że to już koniec.

Twarz Hardta, kiedy spojrzał na Chavasse'a, była trupio blada i pełna napięcia. — Ten huk, kiedy ten biedak walnął głową o bruk... chyba nigdy tego nie zapomnę. — Otrząsnął się gwałtownie i skierował uwagę na jezdnię.

— Steiner i tak by się go pozbył, wcześniej czy później — rzekł Chavasse. — Za dużo wiedział.

Tak, chyba masz rację — przyznał Hardt. Przestało już padać, kiedy zatrzymali się przed domem, w którym mieszkała Anna, i Hardt wyłączył silnik. Siedział w milczeniu, paląc papierosa i stukając palcami o kierownicę. Po chwili Chavasse zapytał:

— Jaki będzie nasz następny ruch?

Hardt najwyraźniej nie mógł pozbierać myśli. Potarł ręką czoło, spoważniał i powoli oznajmił:

— Myślę, że wizyta w klinice Krugera w Blankenese.

— Kiedy proponujesz?

— Dzisiaj o zmroku. Za dnia spróbuję się czegoś dowiedzieć o tym miejscu.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, a za nim Chavasse. Kiedy zbliżyli się do głównego wejścia budynku, Hardt zatrzymał się.

— Nie wchodzisz? — spytał Chavasse zdziwiony.

— Nie, wracam do siebie. Prześpię się parę godzin. Nie mogę zabrać cię ze sobą, bo jest to hotel, ale tutaj będziesz bezpieczny. Anna pościeli ci na kanapie.

— Nie jedziesz samochodem? Hardt potrząsnął głową.

— Chętnie się przejdę, to niedaleko.

Ruszył przed siebie, po chwili jednak zawahał się i odwrócił. Świt już się przecierał rozcapierzając zimne palce po ołowianym niebie, a w jego szarym brzasku Hardt wyglądał źle, jakby był chory.

— Jeszcze się nie pozbierałem — powiedział.

— Wiem — odparł Chavasse.

Ten upiorny huk, kiedy walnął głową o bruk. — Hardt wstrząsnął się całym ciałem. — Widziałem ludzi, którzy umierali, sam też zabiłem kilku, ale z czymś takim jeszcze się nie zetknąłem.

— Wracaj do siebie, prosto do łóżka — poradził mu Chavasse.

Przez dłuższą chwilę Hardt wpatrywał się w Chavasse'a, po czym ruszył wolnym krokiem po mokrym od deszczu chodniku. Chavasse patrzył za nim przez jakiś czas, po czym skierował się do wejścia i wbiegł szybko po schodach.

Zapukał cicho, tylko raz, Anna natychmiast otworzyła drzwi. Kiedy zdejmował prochowiec, spytała z niepokojem:

— A gdzie Mark?

— Wrócił do hotelu. Skontaktuje się z nami w ciągu dnia, kiedy się dowie czegoś bliższego o klinice Krugera w Blankenese. Wybieramy się tam dzisiaj o zmroku.

Weszła do kuchni i natychmiast wróciła z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. Napełniła dwie

filiżanki i spytała:

— Co się stało? Czy dotarliście do Schmidta?

Usiedli na kanapie i Chavasse, popijając kawę, opowiedział pokrótce całe zdarzenie. Kiedy skończył, zadrżała.

— Biedaczysko... co za okropna śmierć!

— Nie zdawał sobie sprawy — rzekł Chavasse. — Zginął na miejscu.

— Ale przynajmniej poznaliśmy naszych przeciwników — dodała.

— Wedle tego, co mówił Schmidt, Steiner był wyższym oficerem SS. Kruger był prawdopodobnie obozowym lekarzem lub czymś w tym rodzaju.

Sądysz, że Schultz wspomina o nich w swoim pamiętniku?

— Nie wydaje mi się. Podejrzewam, że obaj są po prostu aktywnymi członkami nazistowskiego podziemia. Działają z pewnością na rozkaz ludzi wymienionych przez Schultza.

— I sądzisz, że trzymają Mullera w tej klinice?

— Miejmy nadzieję. — Odstawił filiżankę i wstał. — A teraz, jeśli mogę skorzystać z twojej kanapy, to chciałbym się przespać, chociaż kilka godzin.

Udała się do sypialni i przyniosła koce oraz poduszkę. Przyglądał się jej, gdy pospiesznie szykowała mu posłanie na kanapie. Odwróciła się uśmiechnięta.

— Chyba będzie ci wygodnie i obiecuję, że nie zakłócę twojego snu. Sama miałabym ochotę pospać sobie przez cały tydzień.

Nagle wydała mu się bardzo bliska i poczuł się zmęczony... bardzo zmęczony.

— Jesteś cudowna, Anno — powiedział.

Uniosła rękę i pogłaskała go po policzku, on zaś schylił głowę i pocałował ją w usta. Odwzajemniła pocałunek, ale gdy poczuła, że ją obejmuje, odsunęła się i pobiegła do sypialni.

Zamknęły się za nią drzwi. Chavasse wpatrywał się w te drzwi przez chwilę, po czym westchnął i zaczął się rozbierać. Nim skończył, zmęczenie ogarnęło jego mózg. Ledwie starczyło mu siły, by wsunąć się pod koce i zgasić lampę. Natychmiast pogrążył się w ciemności.

6

Budził się wolno z głębokiego, pozbawionego marzeń snu, świadom, że otacza go kojący spokój. Przez okno wpadało blade jesienne słońce, a z oddali dochodził delikatny dźwięk dzwonów, przypominając mu, że to niedziela.

Spojrzał na zegarek i prawie doznał szoku, stwierdzając, że jest już wpół do drugiej. Odrzucił kołdrę i zaczął się ubierać. Na stoliku spostrzegł list oparty o wazon z kwiatami.

Był od Anny. Postanowiła złożyć wizytę gospodyni Katie Holdt w nadziei, że się czegoś dowie o miejscu pobytu dziewczyny. Powiadomiła go, że wróci najpóźniej o trzeciej.

Zapalił papierosa i poszedł do kuchni. Nie był głodny, więc zjadł tylko bułkę z masłem czekając, aż się zaparzy kawa, po czym wrócił do saloniku.

Usiadł na brzegu kanapy z filiżanką w rękach i zastanawiał się, jak sobie radzi Hardt. Był zmęczony i niespokojny, zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Nie znosił takiej beczynności. Wolał być w centrum spraw, kontrolować czyjąś robotę lub samemu działać.

Pod wpływem impulsu podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer hotelu Atlantic prosząc o połączenie z Sir George'em Harveyem. Rozległ się cichy odgłos podnoszenia słuchawki i odezwał się Sir George.

— Słucham, kto mówi?

— Pański towarzysz podróży — odparł Chavasse.

W głosie Sir George'a nie zauważył zmiany, gdy powiedział:

— Miałem nadzieję, że pan zadzwoni. Telefonował pański Szef z Londynu. Prosił, żebym panu przekazał tę informację.

— Czy ważna?

— Nic nagłego, ale może się okazać pożyteczna. Dobrze, wobec tego może się spotkajmy.

— Chyba to będzie raczej trudne — odparł Sir George. — Zamówiłem samochód, by pojechać z delegatami z konferencji na tor wyścigowy do Farmsen. Wyjeżdżamy za kilka minut. Pierwsza gonitwa rozpoczyna się o wpół do trzeciej.

Chavasse rozważył w myślach sytuację. Kiedyś był w Farmsen na wyścigach kłusaków. Zwykle jest tam tłoczno w niedzielne popołudnie. Szybko powziął decyzję.

— Spotkamy się w barze przy głównym stanowisku koło bocznej trybuny o trzeciej — zdecydował. — Czy odpowiada to panu?

— Oczywiście, czemu nie — odparł Sir George. — Bez problemu mogę zostawić na kilka minut swoich przyjaciół przy głównej trybunie. O ile uważa pan, że pokazywanie się jest dla pana bezpieczne.

— Proszę się o mnie nie martwić — uspokoił go Chavasse. Będę tylko ziarnkiem wśród kilku tysięcy ludzi. — Odłożył

słuchawkę i pośpiesznie skończył się ubierać.

Zostawił dla Anny krótką wiadomość, że wróci niebawem, i udał się cichymi ulicami do najbliższej stacji metra, gdzie wsiadł do zatłoczonego pociągu.

W Farmsen zmieszał się z tłumem, który płynął strumieniem w kierunku wejścia na teren wyścigów. Gdy minął kołowroty, spostrzegł dwóch najwyraźniej znudzonych policjantów, którzy gawędzili oparci o barierkę. Nie zwrócił na nich uwagi i szybko poszedł dalej, okrążywszy duży za-

kręt toru, i znalazł się koło bocznej trybuny.

Kończyła się właśnie pierwsza gonitwa, stanął więc przy barierce i obserwował lekkie dwukołowe sulki wypadające zza zakrętów, dżokejów kurczowo ściskających lejce, gdy konie scalonym tempie kłusowały do mety. Z tłumu rozległ się ryk i w chwilę potem z głośników oznajmiono rezultat gonitwy.

Popatrzył na główną trybunę i sprawdził godzinę. Ciągle miał jeszcze dziesięć minut czasu. Nieśpiesznie skierował się stronę głównego wejścia i wszedł do baru. W pierwszej chwili lokal wydał mu się opustoszały, zamówił piwo i zapalił papierosa. Kiedy niósł kufel do stolika w rogu, w wejściu ukazał ię Sir George Harvey.

Od razu zobaczył Chavasse'a i podszedłszy prosto do niego, siadł na krześle.

— Nie sądzi pan, że pokazując się w tak publicznym miejscu prost prosi się pan o kłopoty?

Chavasse potrząsnął głową. — W masie jest bezpieczniej.

— W dalszym ciągu uważam, że to cholerne ryzyko — obstawał Sir George. — Musi pan mieć nerwy ze stali. Ale skoro już pan tu jest, proszę mi powiedzieć, co się zdarzyło w tym przeklętym pociągu. Dlaczego musiał pan zabijać Mullera?

— Ależ ja go nie zabiłem. O ile mi wiadomo, wciąż żyje i rozrabia. — I zaczął opowiadać, co się naprawdę wydarzyło.

Kiedy skończył, Sir George odchylił się w krześle, a na jego twarzy pojawił się lekki grymas.

— To najbardziej zadziwiająca historia, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. A więc Steiner i ten Kruger przypuszczalnie pracują dla nazistowskiego podziemia?

— Na to wygląda.

— A tamten facet? — spytał Sir George. — Ten, który ocalił pańską skórę. Czy przypadkiem nie pracuje dla tych, którzy porwali Eichmanna z Argentyny do Izraela?

— Tak na pewno jest — Chavasse potwierdził. Sir George potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Wie pan, podczas wojny zdarzało się, że podobne sprawy Irafiaty do mego wydziału, ale tym razem to naprawdę niesłychane. Niech to wszyscy diabli, człowieku, przeżywamy sześć lat piekła, by dać tym ludziom to, na co zasłużyli, a tymczasem znów podnoszą głowy i najwyraźniej im się to udaje.

— Ale nie na długo — powiedział Chavasse. — Już sam fakt, że muszą pracować w podziemiu, jest pocieszający. — Zapalił następnego papierosa. — Ma pan dla mnie wiadomość.

— Ach tak, oczywiście, że mam! — wykrzyknął Sir George. — Przepraszam, zapomniałem. Pański Szeff chce, żeby pan wiedział, iż dostali poufną wiadomość o Mullerze. Był ordynansem Schultza. Najprawdopodobniej w cywilu był lokajem. Jego rodzina mieszkała w Hamburgu, miał jedną siostrę. Wszyscy zostali zabici podczas bombardowania w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Czy na coś się to przyda?

Chavasse potrząsnął głową.

— Niezupełnie. Jednej rzeczy tylko nie wiedziałem, że Muller był ofdynamsem Schultza. Przynajmniej to tłumaczy ich powiązanie. Siostra wciąż żyje. Do wczoraj wiedzieliśmy, gdzie mieszka i gdzie pracuje, ale obecnie straciliśmy jej ślad.

— Wobec tego, oczywiście, musicie ją odnaleźć — powiedział Sir George. — Może stanowić klucz do całej sprawy.

Chavasse pokręcił głową.

— To Muller jest tym kluczem. Jego przede wszystkim musimy odnaleźć. — Spojrzałem na zegarek? — Chyba lepiej już pójść.

Sir George przyznał mu rację.

— Tak będzie rozsądniej. Odprowadzę pana do wyjścia. Wyszli z baru i przeciskając się przez tłum podążali szerokim zakrętem toru. Chavasse odezwał się:

— A mówiąc nawiasem, to czy opowiedział pan Szeferowi o tej awanturze, kiedy rozmawiał pan z nim przez telefon?

Sir George stanowczo zaprzeczył głową.

— Nie, pomyślałem, że zapewne sam zechce pan to zrobić. Minęli parking i szli w kierunku wyjścia, wciąż jeszcze przeciskając się przez tłum, który niestannie napływał. Chavasse zaczął już dziękować Sir George'owi za odprowadzenie, gdy ten nagle chwycił go za ramię i obrócił gwałtownym szarpnięciem. Kiedy wracali tą samą drogą, Chavasse spytał: Coś nie w porządku?

— Przy wyjściach stoi Steiner z kilkoma policjantami — odparł Sir George przez zaciśnięte wargi.

Chavasse zawahał się chwilę, po czym szybko spojrzął przez ramię. Steiner i jego ludzie najwyraźniej dopiero co przyjechali i teraz stali zbici w gromadkę słuchając poleceń Steinera. Chavasse zauważył, że rozeszli się, zajmując wyznaczone pozycje przy wszystkich wyjściach.

— Na miłość boską, szybciej, człowieku! — niecierpliwiał się Sir George, popychając go na parking.

Kiedy szli wśród stłoczonych samochodów, Chavasse odezwał się:

— Powinno być przecież jakieś inne wyjście z tego cholernego miejsca.

— Nie ma się co martwić — uspokoił go Sir George, zatrzymując się przy swoim mercedesie. — Zamierzam wywieźć pana główną bramą.

— Nigdy w życiu! — zaprotestował Chavasse. — Nie mam zamiaru pana w to pakować.

Już miał się odwrócić, gdy Sir George chwycił go za ramię i pociągnął ze zdumiewającą siłą. Twarz mu poczerwieniała, a kiedy się odezwał, głos jego aż drżał z powstrzymywanej złości:

— Za kogo mnie pan ma? Nie zamierzam stać i przyglądać się, jak zaczyna się tu panoszyć jakaś banda nazistów. Niech się pan kładzie z tyłu na podłodze i przykryje chodnikiem, a wyje-

dziemy stąd główną bramą. Rozumie pan?

Jakby ubył mu lat i przez chwilę był znów młodym pułkownikiem, który prowadzi swoich ludzi do ataku w bitwie nad Sommą, uzbrojony w pałeczkę, pas i błyszczące guziki.

Otworzył tylne drzwi limuzyny.

— Wskakuj pan! — rozkazał głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Chavasse wahał się dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami i zrobił, jak mu kazano. Położył się na podłodze. Sir George przykrył go chodnikiem, zatrzasnął drzwi i ruszyli wolno z parkingu.

Samochód stanął, rozległy się jakieś kroki. Gdy mężczyzna zaczął mówić, Chavasse wstrzymał oddech; usłyszał głos Stei-nera rozkazującego ze złością: — Zostaw to mnie. Wracaj na swój posterunek! — Pochylił się do okna i przemówił staranną, twardą angielszczyzną.

— Przykro mi, że pana niepokojono, Sir George.

— Ach, to inspektor Steiner! — zdziwił się Sir George.

— A kogóż pan poszukuje tym razem?

Chavasse niemal widział, jak Steiner wzrusza ramionami w swój charakterystyczny sposób.

— Nikogo szczególnego, Sir. Stary policyjny zwyczaj, by zarzucić sieci, gdy jest tak dużo ludzi. Zadziwiające, jak często daje to dobry połów. Przepraszam pana za kłopot.

Samochód ruszył, nabierając szybkości. Przez następne pięć minut Chavasse leżał na podłodze, po czym odrzucił chodnik i usiadł na tylnym siedzeniu.

— To była ładna robota.

Sir George potrząsnął głową.

— Ani przez chwilę się nie bałem. — Roześmiał się podniecony. — Wiesz, Chavasse, zaczynam się tym bawić. Tak długi czas prowadziłem bezpieczną, uporządkowaną i raczej nudną egzystencję, że niemal zapomniałem, czym jest ryzyko.

— Jak na jeden dzień wystarczająco już pan ryzykował — odparł Chavasse. — Może się pan w każdej chwili gdzieś tu zatrzymać i wypuścić mnie. Złapię powrotną kolejkę do miasta.

Sir George potrząsnął przecząco głową.

— Nic z tego, mój chłopcze. Zawiozę pana na miejsce, tylko proszę powiedzieć dokąd.

— A co z pańskimi przyjaciółmi? — przypomniał mu Chavasse. — Będą się zastanawiali, co się z panem stało. Sir George cicho zaklął.

— Chyba ma pan rację. Wobec tego, gdzie pana podrzucić?

— Jedziemy w stronę Hellbrook — wyjaśnił Chavasse.

— Może się pan zatrzymać przed stacją metra. Stamtąd już świetnie sobie poradzę. Po chwili samochód podjechał do krawężnika i Chavasse wysiadł. Pochylił się do okna kierowcy i uśmiechnął. — Dzięki za wszystko. Zasłużył pan na medal. Sir George prychnął. — Do diabła z taką

mową! Po prostu niech pan pamięta i zadzwoni do mnie, gdyby jeszcze potrzebował pan pomocy. Zachichotał. — Wie pan, dostarczył mi pan nowej podniety w życiu. Myślę, że od lat nie miałem takiej uciechy.

Limuzyna zgrabnie skręciła i pomknęła z powrotem w stronę Farmsen. Chavasse patrzył za odjeżdżającym samochodem, rozmyślając o Sir George'u Harveyu. To porządny facet, co do tego nie ma wątpliwości. Gdy samochód zniknął za zakrętem Chavasse odwrócił się i szybko wszedł na stację Wandsbek.

Zbliżała się czwarta trzydzieści, gdy wspinał się po schodach do mieszkania Anny Hartmann i pukał do drzwi. Natychmiast się otworzyły i Anna wciągnęła go do środka. Twarz miała bladą i pełną napięcia.

— Gdzie byłeś? Prawie odchodziłam od zmysłów z niepokoju.

— Czy był jakiś szczególny powód? — spytał, zdejmując płaszcz.

Potrząsnęła głową.

— W radiu nie było żadnej wzmianki na temat zabójstwa w pociągu. Słuchałam każdego komunikatu. Nie mogę tego zrozumieć.

— Zanadto się przejmujesz — powiedział Chavasse. — Steiner zapewne wyperswadował swoim przełożonym, by pozwolili mu prowadzić sprawę na własną rękę. Nie chce przecież, aby ktoś inny dobrał się do mnie... mógłbym za dużo powiedzieć. Dlatego musi pierwszy mnie dostać, jeśli chce ocalić własną skórę.

Przyciągnął ją lekko na kanapę obok siebie.

— Czy udało ci się dowiedzieć czegoś o Katie Holdt?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Absolutnie nic. Jej gospodyni nawet nie widziała, jak wychodziła. Zostawiła tylko w kopercie pieniądze za mieszkanie i kilka słów, że została gdzieś pilnie wezwana. Nie było naturalnie zwrotnego adresu.

— To szkoda — skomentował Chavasse. — Mogłaby się okazać pożyteczna. Przynajmniej wiemy, w jaki sposób Muller nawiązał pierwszy kontakt z Schulzem.

Wyglądała na zdumioną, więc szybko opowiedział jej o swoim wypadzie do Farmsen.

— Jak możesz narażać się na takie ryzyko? — wykrzyknęła, kiedy skończył. — Czy Sir George nie mógł ci przekazać wiadomości telefonicznie?

Chavasse poderwał się gwałtownie z kanapy i podszedł do okna.

— Przypuszczam, że mógł, ale ja się niecierpliwiłem. Powinienem się znajdować w samym centrum tych spraw. — Odwrócił się z uśmiechem. — Mniejsza o mnie... czy Hardt już się odzywał?

Kiwnęła głową.

— Mamy się z nim spotkać wieczorem w Blankenese w kawiarni nad Elbą. Znam to miej-

sce. Najwidoczniej dowiedział się wszystkiego, co trzeba, na temat Krugera i jego kliniki.

Świetnie — ucieszył się Chavasse. — O której mamy się z nim spotkać?

O dziewiątej — odparła. — O tej porze będzie już ciemno. Podeszedł do kanapy i pociągnął ją, by wstała.

— Mamy więc przed sobą pięć godzin. — Ujął mocno jej rękę. — Co możemy wobec tego robić przez ten czas?

Zarumieniła się i odsunęła od niego.

— Jest tutaj gazeta — zaproponowała. — Możesz sobie poczytać, a ja przyrządzę ci coś do jedzenia.

Poszła do kuchni, a Chavasse podążył za nią i stał oparty w drzwiach, nieznacznie się uśmiechając.

— O wiele bardziej wolę patrzeć na ciebie.

Odwróciła się do niego i raptem jej twarz jakby się skurczyła. Zrobiła szybki ruch do przodu i znalazła się w jego ramionach.

— Och, Paul, tak się bałam o ciebie — mówiła załamującym się głosem. — Nie masz pojęcia, jaka byłam przerażona.

Tulił ją mocno w ramionach, głaskał po włosach i szeptał kojące słowa, przez cały czas wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przeciwległe okno. W głowie czuł zamęt, gdy uświadomił sobie niezaprzeczalny fakt, z którym nie chciał się pogodzić. Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczył ją w Tadź Mahal, stojącą w drzwiach w tym śmiesznym stroju ładaczniczki, zawładnęła nim tak silna fala uczucia, że nie mógł się jej oprzeć.

Gdy uniosła ku niemu twarz ze śladami łez, pomyślał z ironią, co by na to powiedział Szefer, po czym pocałował ją, zapominając o wszystkim. O Mullerze, o Steinerze, rękopisie Schultza... o wszystkim, oprócz tej dziewczyny. Kiedy opłótła ramionami jego szyję, wziął ją na ręce i poniósł do sypialni.

7

Przybyli do Balnkenese o wpół do dziewiątej, samochód parkowali na Hauptstrasse. Anna szła pierwsza, za nią Chavasse, wąską, dość stromą alejką, która przywiodła ich nad Elbę.

Tłum ludzi przewijał się nad brzegiem rzeki, wokół barwnych, jasno oświetlonych kawiarni, które zdawały się świetnie prosperować. Anna poprowadziła go do jednej z nich, gdzie usiedli przy narożnym stoliku na tarasie, usytuowanym nad wodą. Chavasse zamówił dwa piwa i poczęstował ją papierosem.

Taras oświetlony był sznurem kolorowych chińskich lampionów i cały należał tylko do nich. Siedzieli w milczeniu. Ogarnął go dziwny spokój i odetchnął głęboko, gdy dotarł znad wody lekki powiew, niosąc ze sobą przejmujący, wilgotny zapach jesieni.

— Podoba mi się to miejsce — odezwał się. — Bywasz tu często?

— Bardzo lubię Blankenese. Szczególnym upodobaniem darzą je młode pary.

Pochylił się i przykrył jej dłoń swoją ręką.

— Czy sądzisz, że możemy się zakwalifikować do tego klubu?

Twarz jej nagle rozjaśniła się uśmiechem, mocno uścisnęła mu rękę.

— Byłoby to cudowne, Paul. Chciałabym móc żyć tak jak te wszystkie pary, przechadzające się po Strandweg... żebyśmy byli jak oni, zakochani, cieszyli się sobą, nie mieli żadnych trosk ani zmartwień.

Chciał jej powiedzieć, że zawsze są jakieś troski i zmartwienia — pieniądze, choroba, bieda, starość — ale nie miał serca psuć jej nastroju. Uśmiechnął się i rzekł pogodnie.

— Mark przybędzie dopiero o dziewiątej. Mamy pół godziny dla siebie, możemy więc grać swoją rolę.

Znowu się uśmiechnęła i szepnęła. — A więc grajmy.

Klener przyniósł piwo. Chavasse pił powoli, delektując się zimną pianą, i obserwował pasażerski statek parowy, wolno płynący ku morzu, oświetlony jasno od rufy do rufy. Oprócz warkotu maszyn unosiły się też nad wodą przytłumione odgłosy rozmów i beztroskiego śmiechu.

— Ciekaw jestem, dokąd płynie — zastanawiał się.

— Jakie to ma znaczenie?

Uśmiechnęła się smutno, on zaś ujął jej rękę i powiedział łagodnym głosem.

— A jednak już przestałaś grać swoją rolę.

Przez chwilę wpatrywała się w kufel piwa z posępnym wyrazem twarzy, po czym uwolniła rękę z jego uścisku i zapaliła następnego papierosa. Wtem spojrzała na niego z gorzkim uśmiechem.

To ironia losu, naprawdę, jeszcze do wczoraj miałam uczucie całkowitej pewności siebie, byłam szczęśliwa i przekonana, że robię coś, co jest bardzo ważne i warte trudu. Wszystko poza tym nie miało żadnego znaczenia.

— A teraz?

— Teraz jestem zakochana, taka jest prawda. — Westchnęła i roześmiała się przelotnie. — Jest to dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Nigdy nie miałam czasu na miłość, aż tu nagle wtas gnałeś w moje życie. Pojawiłeś się na moim horyzoncie i chyba tak się stać musiało, to było nieuniknione.

— Czy żałujesz?

Po chwili wahania rzuciła papierosa w wodę i powiedziała:

— O nie! Gdybym miała żałować tego, że cię poznałam, musiałabym żałować całego życia.

Siedząc wpatrywała się w statek niknący w mroku zapadającej nocy, nagle jednak zwróciła się ku niemu i odezwała cichym, pełnym napięcia głosem:

— Paul, czy jest przed nami jakaś przyszłość? Czy kiedykolwiek zdołamy uciec od tego rodzaju życia?

Zastanawiając się nad jej słowami, wpatrywał się w ciemność. Ileż to już razy w ciągu minionych pięciu lat podejmował się tego rodzaju pracy? Pokonując jedną trudność, miał natychmiast przed sobą perspektywę wielu następnych, nieustanny taniec na linie. Wydawało mu się, że połowę życia spędza pod osłoną ciemności, spotykając się z dziwnymi ludźmi w jeszcze bardziej dziwnych miejscach. A kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, kiedy wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, to jaki cel ostateczny temu przyświecał? Czy można to porównać z tym, co teraz mu przypadło w udziale?

Spojrzał na nią, na jej pochylone w zwątpieniu ramiona. Nagle odetchnęła głęboko i wyprostowała się.

— Ciekawa jestem, czy Mark zjawi się punktualnie — powiedziała, zdobywając się na dzielność.

Zaklął i chwycił ją za ramiona tak mocno, że aż krzyknęła z bólu.

— Do licha z Markiem! — Do czorta z całą tą cholerną szopą! Najchętniej rzuciłbym to wszystko z miejsca. Możemy wsiąść do Volkswagena i pojechać do Holandii, pieszo przejść granicę jeszcze przed świtem. Mam przyjaciół w Rotterdamie... dobrych przyjaciół.

Potrząsnęła powoli głową.

— Ale nie zrobisz tego, Paul, prawda? Praca przede wszystkim... przypomnij sobie, jak niedawno mi to mówiłeś. A jest to słuszna i szlachetna postawa.

Za te słowa pokochał ją jeszcze bardziej. Pochylił się nad stolikiem i niemal dotykając jej twarzy mówił żarliwie:

— Ale potem, Anno? Jeśli nam szczęście dopisze, za dwa-trzy dni uporamy się z tą sprawą. Ja mogę na tym zakończyć moją grę.

Jego entuzjazm udzielił się też Annie, zarumieniła się z podniecenia.

— Naprawdę tak uważasz, Paul? Ale dokąd byśmy się przenieśli?

Twarz rozjaśniła mu się chłopięcym uśmiechem.

— Gdziekolwiek, jakie to ma znaczenie? Jeśli chcesz, może być Izrael. Może dostałbym pracę wykładowcy na twoim Uniwersytecie Hebrajskim?

— Obawiam się, że mamy nadmiar intelektualistów.

— Nie szkodzi. Możemy pracować na roli. Mój ojciec był farmerem w Bretanii... Chyba poradziliśmy sobie w kibucu. o którym mi opowiadałaś.

— W pobliżu Migdał, gdzie się wychowałam? To byłoby cudowne, Paul. Najcudowniejsze pod słońcem.

— Wszlibyśmy na tę twoją górę — dodał. — Już teraz to widzę. Jest piękne, ciepłe popołudnie, a w promieniu paru kilometrów nie ma nikogo, tylko my dwoje.

— A co zrobiłbyś, kiedy dotarlibyśmy na szczyt?

Och, nie wiem, ale coś bym wymyślił — roześmiał się. Pogłaskała go czule po twarzy i potrząsnęła głową z żartobliwą przyganą.

— Jesteś niepoprawny.

W pobliskiej kawiarni nad brzegiem rzeki ktoś grał na akordeonie, a piękne tony tej muzyki, ulotne i pobrzmiwające smutkiem, unosiły się nad wodą, niczym jesienne liście, które lekki wietrzyk porywał z drzew i rozrzucał na jej obrzeżach. Chavasse podniósł Annę, objął i zaczęli tańczyć samotnie na tarasie. Cały czas tuliła głowę do jego ramienia.

Przez krótką chwilę życie toczyło się tak, jak pragnęła, wszystko inne zdawało się nie mieć znaczenia, byli tylko oni, we dwoje, na tarasie, ale wkrótce usłyszeli dyskretne kasznięcie, więc natychmiast odsunęli się od siebie. W pobliżu stał Mark Hardt, patrząc na nich dziwnym wzrokiem.

— A więc dotarłeś — odezwał się Chavasse, żeby tylko coś powiedzieć, i we troje zasiedli przy stoliku.

Widzę, że miło spędzaliście czas — zauważył Hardt. Zerknął na Annę, ona zaś odwzajemniła mu się spokojnym spojrzeniem. Wzruszył ramionami i skierował uwagę na Chavasse'a.

— Gdzie się wybrałeś dzisiaj po południu? Zapewne na beztroską przechadzkę w pełni dnia?

— Niezupełnie — zaprzeczył Chavasse. — Dostałem depezę z Londynu. Wybrałem się na wyścigi w Farmsen, żeby się spotkać z Sir George'em Harveyem.

Hardt uniósł brwi.

— Coś interesującego?

— Właśnie dowiedzieli się, kim był Muller, i uznali, że może to być pożyteczna wiadomość. Okazuje się, że przez pewien czas był on ordynansem Schultza.

— O tym nie wiedziałem. Ale mamy w tej chwili ważniejsze sprawy do rozważenia. — Hardt rozwinął arkusz papieru i rozłożył na stole, tak aby oni też mogli dobrze widzieć.

Był to starannie naszkicowany plan kliniki, który Chavasse przestudiował z zainteresowaniem. — Wspaniały — odezwał się po chwili. — Gdzie go zdobyłeś?

— Od miejscowego agenta nieruchomości — wyjaśnił Hardt. — W sąsiedztwie znajduje się pusty dom, powiedziałem mu więc, że jestem zainteresowany jego kupnem. Na planie, jaki mi pokazał, była też klinika Krugera. Okazało się, że posiadłość ta została przekształcona w klinikę w zeszłym roku.

— Czy dowiedziałeś się jeszcze czegoś więcej o tym miejscu? — zapytał Chavasse.

— Tak, jest dobrze obwarowana. Wysokie mury z tłuczonym szkłem w cemencie, wszystko, co może być. Naprzeciw głównego wejścia jest bar, więc porozmawiałem sobie trochę z właścicielem. Według niego, Kruger ma w swojej klinice sporo pacjentów umysłowo chorych. Zaawansowane nerwice, kobiety odchylone seksualnie. Tego typu przypadki. Chavasse w dalszym ciągu przeglądał plan.

— Jak się tam dostaniemy? — zastanawiał się. Powinno to być całkiem proste. — Hardt pochylił się nad

planem. — Mur oddzielający klinikę od pustego domu ma około trzech metrów wysokości. Kiedy się przedostaniemy przez ten mur, wejdziemy do budynku przez kotłownię, za którą znajduje się kilka piwnic. W jednej z nich jest mała służbowa winda prowadząca na wszystkie piętra. Wozi się nią bieliznę do pralni i temu podobne rzeczy.

— A co z pacjentami? — spytał Chavasse.

— W każdą niedzielę wieczorem wyświetlają im film w świetlicy na parterze. Trwa przeważnie do dziesiątej. Z tego, co wiem, wszyscy pacjenci go oglądają.

— Powinniśmy więc mieć wolną drogę — rozważał Chavasse. — Jeżeli Muller rzeczywiście tam jest, wszystko wskazuje na to, że musi być albo na pierwszym, albo na drugim piętrze i powinniśmy go szybko odnaleźć. Mają tam tylko piętnaście pokoi.

Hardt spojrzął na zegarek.

— Chyba już ruszajmy. Jest dziewiąta piętnaście, nie mamy dużo czasu. Gdzie zaparkowaliście samochód? — Odpowiedź Anny przyjął z zadowoleniem. — Wobec tego mamy tylko pięć minut jazdy na miejsce.

Chavasse zapłacił kelnerowi i natychmiast wyszli. Stromą uliczką pod górę dotarli do Hauptstrasse. Chavasse i Anna usiedli z tyłu, Hardt za kierownicą.

Klinika znajdowała się na rogu wąskiej, bocznej uliczki, wysadzonej kasztanowcami, z niewielkiego baru naprzeciw ogromnej żelaznej bramy dochodziła głośna muzyka. Chavasse zdążył zauważyć, kiedy ją mijali, że jest mocno zaryglowana, a trochę dalej wypatrzył mimo nocy klinikę przesłoniętą drzewami.

Hardt zatrzymał samochód kilka metrów za bramą następnego domu i wyłączył silnik. Obrócił się do Anny.

— Chcę, abyś tutaj na nas zaczekała. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wrócić w ciągu dwudziestu minut.

Spokojnie przyjęła to do wiadomości.

— A jeżeli nie wrócicie?

Chavasse, który właśnie wysiadał z samochodu, zatrzymał się i powiedział z głęboką powagą:

— Jeśli nie wrócimy do dziesiątej, odjeżdżaj stąd... i to szybko.

Już chciała zaprotestować, ale włączył się Hardt, mówiąc uspokajająco:

— On ma rację, Anno. Nie ma sensu, abys i ty wplątała się razem z nami. Jeżeli coś się zdarzy, wracaj do domu i zawiadom Londyn. Będą wiedzieli, co robić.

Chavasse czuł na sobie jej błagalne spojrzenie, aby się jeszcze odwrócił, ale z bezwzględny uporem szedł w stronę bramy pustego domu. Panowała cisza, słychać było tylko szum wiatru pośród prawie już nagich drzew. Hardt wprowadził go do środka.

Przy murze, oddzielającym ten teren od kliniki, stała stara, rozpadająca się altana, Chavasse bez trudu wspiął się na dach i zlustrował uważnie pomieszczenia kliniki.

Krawędź muru pokryta była cementem pomieszanym z kawałkami tłuczonego szkła, ostrożnie dotknął ich palcami. Hardt wspiął się także tuż obok niego i szybko nakrył część muru kilkoma workami.

— Znalazłem je w altanie, kiedy ją oglądałem po południu — szepnął.

Widzieli okna świetlicy od frontu budynku i nagle usłyszeli gromki śmiech pacjentów oglądających film.

— Wygląda na to, że dobrze się bawią — zauważył Chavasse. — Jesteś gotów?

Hardt skinął głową i Chavasse, opierając się lekko ręką na grubej osłonie z worków, przeskoczył przez mur. Zatopił się po kolana w gęstej warstwie zeschniętych liści, a za nim przeskoczył też Hardt.

Ruszyli przez trawnik pod drzewami i znaleźli się przy drzwiach do kotłowni. Chavasse przez chwilę nasłuchiwał uważnie, po czym otworzył szybko drzwi i weszli do środka w pełnej gotowości. Nikogo nie było w pobliżu.

Posuwał się naprzód w milczeniu, następne drzwi wyprowadziły go na długi, wąski korytarz wyłożony piaskowcem. Na końcu napotkał znowu drzwi i znalazł się w ciemnym pomieszczeniu. Wymacał kontakt i nacisnął. Pełno tu było koszy na bieliznę, a naprzeciwko znajdowała się służbowa winda.

Chavasse pospiesznie ją obejrzał. Była prosta w obsłudze. Odwrócił się do Hardta, który szedł za nim przez cały czas.

— Myślę, że powinniśmy się rozdzielić. Ty weź pierwsze, a ja drugie piętro.

Hardt zgodził się bez słowa. Wyjął automatyczny pistolet Biretta i sprawdził, czy dobrze działa.

— Bez tłumika nie nadaje się do takiej roboty — powiedział Chavasse. — Jeśli kogoś napotkasz

i posłużysz się tym pistoletem, ściągniesz nam na głowę całą klinikę.

Hardt poczerwieniał ze złości.

— Co mi więc proponujesz? Żebym podniósł ręce do góry i poddał się spokojnie?

Chavasse uśmiechnął się.

— Powiedziałbym ci, ale nie mamy teraz na to czasu. Wepchnął Hardta do windy i sam też

wszedł do środka.

Zamknął drzwi możliwie najciszej i zaczęli się unosić w górę. Po naciśnięciu guzika zatrzymali się na pierwszym piętrze. Odwracając się do Hardta szepnął:

— Miejmy nadzieję, że nie ma nikogo na korytarzu...

Uchylił drzwi windy i ostrożnie wyjrzał. Nie było nikogo, wypuścił więc Hardta bez słowa i nacisnął guzik drugiego piętra.

Zaczynał się tym dobrze bawić, ogarnęło go znane mu od dawna uczucie dziwnego podniecenia. Składało się na to wiele czynników, które nie raz próbował analizować, ale bez powodzenia. Zdawał sobie tylko sprawę z tego faktu i wiedział, że właśnie dlatego wybrał takie, a nie inne życie, ale nie potrafiłby tego wytłumaczyć nikomu... nawet Annie.

Winda zatrzymała się, otworzył prawie bezszelestnie drzwi i wszedł. Panowała absolutna cisza. Zastanawiał się, w którą stronę ma iść, i po chwili wahania skierował się w lewo.

Ostrożnie sprawdził dwa pokoje, nasłuchując przedtem uważnie pod drzwiami. Pacjenci byli niewątpliwie na dole, oglądali film. Zerknął na zegarek, okazało się, że jest za kwadrans dziesiąta. Pozostało już niewiele czasu. Wtem usłyszał kroki na schodach prowadzących z poddasza na końcu korytarza, ktoś nucił jakąś melodię. Szybko podbiegł do następnego pokoju i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Panowała tu ciemność, a kiedy przekręcił kontakt, okazało się, że jest to pomieszczenie na bieliznę. Uchylił drzwi i wyjrzał.

Podśpiewując szła młoda dziewczyna w wykrochmalonym fartuchu i czepku. Wchodziła do każdego pokoju po kolei i zaraz wychodziła. Uznał, że jest to zapewne pokojówka i zapewne ściele łóżka.

Zatrzymała się przed drzwiami sąsiedniego pokoju i poprawiła blond włosy. Zauważył, że się do siebie uśmiecha. Była to bardzo ładna niebieskooka dziewczyna, miała czerwone, nadąsane usta i krągłe policzki. Po chwili weszła do pokoju, Chavasse natomiast zamknął drzwi i czekał, aż dziewczyna pójdzie dalej.

8

Gdy potem to wspominał, nie miał pewności, kto był bardziej zdumiony, jak otworzyła drzwi, on czy ona.

Stała tak z jedną ręką uniesioną do włosów upiętych w kok na szyi i drugą wciąż na klamce drzwi, a oczy jej aż się zaokrągliły ze zdumienia.

Otworzyła usta do krzyku, lecz Chavasse zareagował tak, jak to było możliwe w tej sytuacji.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, przywierając mocno do jej warg; jednocześnie zamknął drzwi wolną ręką.

Początkowo się broniła, ale on trzymał ją w ramionach i nie przestawał całować. A potem nagle zrezygnowała z walki i jej uległość zdawała się wtapiać w niego, kiedy uniosła ręce i objęła go za szyję. Po chwili, odchyliwszy lekko głowę, szepnął jej do ucha:

— Nie obawiaj się, *Liebling*. Nie zrobię ci krzywdy.

To chyba oczywiste — odparła, a w jej głosie dźwięczał powstrzymany śmiech. — Kim pan jest, mein Herr, włamywaczem?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nikim aż tak romantycznym.

— Wiem — ciągnęła — od miesiący skrycie mnie pan podziwia i wreszcie zebrał się pan na odwagę, by mi to wyznać.

Chavasse opanował się, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Jak masz na imię, *Liebling*?

— Gizela — odparła. — Jestem tutaj pokojówką.

— Może wobec tego będziesz mogła mi pomóc. Szukam swojego przyjaciela. Dzisiaj rano zabrano go ambulansiem z Hauptbahnhof.

— To pewnie ten spod dwunastki na pierwszym piętrze. Trzymają go pod kluczem. Karl, przełożony pielęgniarz, mówi, że on naprawdę jest wariat.

— W tym cały kłopot — tłumaczył Chavasse. — Ja wcale tak nie uważam, ale oni nie pozwolą mi się z nim zobaczyć. Dlatego właśnie próbowałem bardziej oryginalnego wejścia.

Spojrzała na niego krytycznie.

— Właściwie to jest pan na swój sposób nawet całkiem przystojny.

— Tak powiadają wszystkie dziewczęta — odparł i sięgnął do klamki. Pchnęła go do tyłu i wysuwając rękę objęła za szyję; potem pocałowała prosto w usta, napierając na niego swoim prężnym ciałem. Kiedy delikatnie uwolnił się z jej uścisku, powiedziała z nadzieją w głosie:

— Kończę dyżur o wpół do dwunastej. W tym tygodniu pracuję na późniejszej zmianie.

— Przykro mi, Gizelo. To mogłoby być nawet zabawne, ale muszę zobaczyć się z przyjacielem jeszcze przed zakończeniem filmu. Zdaje się, powiedziałaś, numer dwunasty?

Kiedy wychodził na korytarz, szepnęła cicho:

Cokolwiek pan zamierza zrobić, proszę uważać na Karla. To straszny brutal, kiedy zmusza kogoś do wyjścia.

Przeszedł szybko korytarzem i zaczął schodzić na pierwsze piętro. Pozostało mu zaledwie dziesięć minut, by skończyć zadanie. Minąwszy zakręt korytarza, pomyślał, jak też sobie radzi Hardt. Wkrótce miał się o tym przekonać.

Drzwi pokoju numer dwanaście były otwarte i dochodził stamtąd głos Steinera, ale nie brzmiał przyjemnie.

— Jestem naprawdę zawiedziony — mówił. — Spodziewałem się ujrzeć naszego wspólnego przyjaciela, Herr Chavasse'a, na razie jednak zadowolę się tym godnym zastępstwem. Przykro mi, że nie ma Herr Mullera, by pana osobiście powitał, ale niech to pana nie martwi. Mogę zapewnić, że wkrótce go pan zobaczy. — Głos jego stał się nagle szorstki i urzędowy.

— A teraz niech się pan odwróci, ręce do góry i jazda na korytarz!

Chavasse cofnął się trzy stopnie w górę i czekał przyplaszczony do ściany. W jego polu widzenia najpierw pojawił się Hardt, z rękami uniesionymi nad głową, za nim szedł Steiner, trzymając w ręce Mausera z nasadzonym na lufę okrągłym tłumikiem. Był to relikw z czasów wojny, używany głównie przez liemiecki kontrwywiad.

Chavasse krzyknął:

— Steiner! — I kiedy tęgi, zwalisty Niemiec zaklął i odwrócił się ku niemu, wytrącił mu Mausera z ręki. Pistolet uderzył o ścianę i spadł na ostatni stopień. Kiedy Steiner sięgnął po broń, Hardt z całej siły uderzył go w kark i ten osunął się na twarz.

Chavasse zbiegł po stopniach na korytarz i usłyszał, jak Hardt krzyknął ostrzegawczo, gdy z otwartych drzwi dwunastki wyszedł mężczyzna w białej kurtce i rzucił się do przodu.

Miał chyba co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pokrytą bliznami łysą głowę i twarz jak z koszmaru sennego. Gdy Chavasse próbował się uchylić, wyciągnęły się ku niemu wielkie łapska i zacisnęły wokół gardła.

Pamiętając ostrzeżenie Gizeli Chavasse domyślił się, że musi to być ów przerażający Karl. Pozwolił sobie więc podskoczyć i plunąć Niemcowi w twarz. Karl instynktownie zwolnił uścisk, a Chavasse uderzył go kolaniem w krocze.

Karl zwinął się z bólu, ale nie upadł. Lewą ręką przycisnął Hardta do ściany, a prawą ponownie wyciągnął do Chavasse'a. Chavasse wykręcił ją do tyłu używając japońskiego chwytu. Karl krzyknął z bólu. Ciągle nie rozluźniając uchwytu Chavasse popędził go przed sobą korytarzem w kierunku schodów. Kilka kroków przed poręczą zwolnił uścisk i kopnął Niemca z całych sił pod lewe kolano. Karl znów krzyknął i poleciał głową w dół ponad poręczą z kutego żelaza.

Gdy ciało rozpląszczyło się na marmurowej posadzce hallu, drzwi salonu otworzyły się gwałtownie i rozległ się kobiecy krzyk — cienki i przenikliwy. Chavasse zatrzymał się chwilę po to, by podnieść z podłogi pistolet Steinera. Hardt był już na końcu korytarza i naciskał guzik windy.

Chavasse błyskawicznie dołączył do niego i obydwaj wskoczyli do windy. W chwilę potem biegli przez piwnice w kierunku kotłowni. Z wnętrza domu dochodził słaby odgłos zamieszania, puścili się więc biegiem przez trawnik w stronę muru.

Za nimi otworzyły się jakieś drzwi i rozległ się krzyk. Gdy Chavasse wbiegł między krzewy,

usłyszał przytłumiony wystrzał z pistoletu i pocisk świsnął przez liście nad jego głową. Wsunął Mausera do kieszeni i pobiegł dalej.

Kiedy znaleźli się pod murem, Hardt złączył dłonie, tworząc strzemię, i zaczerpnął głęboki oddech. Chavasse nie protestował. Przyjął propozycję i wskoczył na mur.

Zakrzywionymi palcami usiłował uchwycić się krawędzi pokrytej workami, a kiedy się podciągał, kawałki szkła wbiły mu się w rękę i przeszył go spazm bólu. Przerzucił się na dach altany, po czym obróciwszy się szybko pochylił ponad krawędzią muru osłoniętą workiem i wyciągnął rękę do Hardta. Hardt cofnął się trochę, następnie podbiegł i skoczył. Chavasse chwycił go za prawy nadgarstek i trzymał kurczowo. Nabrał głęboko powietrza i zaczął ciągnąć.

Kiedy Hardt trzymał się już krawędzi muru, poniżej, wśród krzewów, rozległ się suchy trzask, potem znów ciche kasznięcie, gdy pistolet z tłumikiem wystrzelił z bezpośredniej odległości.

Hardt poruszył się gwałtownie i zaczął się osuwać.

— Dostałem w ramię — szepnął. Przez dłuższą chwilę kurczowo trzymał się muru. Chavasse rozpaczliwie próbował go podciągnąć, ale bezskutecznie.

— Uciekaj stąd, głupcze! — wykrzyknął Hardt i upadł. Gdy runął w krzaki, rozległ się okrzyk triumfu jego prześladowców. Chavasse nie czekał, by usłyszeć coś więcej. Skoczył z dachu altany na ziemię i przedarł się przez krzaki na ścieżkę.

Minąwszy bramę, biegł chodnikiem; zdawało mu się, że w płucach ma ogień, a w rękach czuł dotkliwy ból.

Gwałtownie otworzył Volkswagena i wślizgnął się na siedzenie obok kierowcy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Jedźmy! Szybko! — wydyszał.

Anna zwróciła się ku niemu zatrwożona.

— Co z Markiem?

— Nie pytaj... po prostu ruszaj! — krzyknął.

Przez chwilę zdawało się, że zamierza oponować, jednakże rozmyśliła się i włączyła silnik.

Wkrótce skręcili na główną szosę i Anna, dodawszy gazu z dużą szybkością skierowała wóz w kierunku centrum Hamburga.

— Dobrze się czujesz? — spytała po chwili.

Skinął głową.

— Pokaleczyłem sobie porządnie rękę szkłem na tym przeklętym murze, ale to nic poważnego.

— A Mark?

Opowiedział jej pokrótce o tym, co się wydarzyło. Kiedy skończył, odezwała się z godnym podziwu spokojem:

— Jak sądzisz, czy ciężko był ranny?

— Powiedział, że dostał w ramię. Nie przypuszczam, żeby to mogło być poważne.

— Ach tak, i co teraz?

— Po pierwsze, potrzebuję na te ręce jakiejś pomocy. Bolą jak diabli.

— Mogę je sama doskonale opatrzeć — zaproponowała. Mam w domu apteczkę z lekami pierwszej pomocy.

Resztę drogi prowadziła samochód w milczeniu, a Chavasse odchylił się na siedzeniu i przy-
mknął oczy. Zrobił się z tego lepszy bigos. Ponieważ rozmawiali ze Schmidtem, musiało być dla
Steinera oczywiste, że wcześniej czy później złożą wizytę w klinice. Wobec tego, jakie będzie ich
następne posunięcie?

Nie przestawał o tym rozmyślać, kiedy Volkswagen zatrzymał się; znużony Chavasse podążył za
Anną do jej mieszkania. Zapaliła światło i odwróciwszy się ku niemu, by obejrzeć ręce, aż jęknęła z
przerażenia.

Rękawy marynarki były w wielu miejscach rozerwane i za-plamione krwią. Zrzuciła z siebie
płaszcz i poprowadziła Chavasse'a do łazienki. Wyjęła z apteczki opatrunek, potem delikatnie ści-
ągnęła z niego marynarkę i cisnęła w kąt.

Na jednej ręce były trzy głębokie skaleczenia, na drugiej cztery i kiedy przemywała mu je pły-
nem dezynfekującym, roześmiał się niepewnie.

— Wiesz, było tam całkiem gorąco. Przez chwilę nawet myślałem, że nie uda mi się z tego wy-
winąć.

Popatrzyła na Chavasse'a z dziwnym wyrazem w oczach.

— Lubisz to, prawda, Paul?

Przez moment chciał powiedzieć, że nie, ale ten moment minął i skinął twierdząco głową.

— Nie wiem dlaczego, ale coś we mnie wstępuje. Sądzę, że to z powodu podniecenia i niepew-
ności przy wykonywaniu każdego zadania.

Westchnęła ciężko i skończyła zalepiać plastrem jego ręce.

I właśnie dlatego się nigdy nie zmienisz. Nie miał czasu na dyskusję. Wziąwszy od niej chirur-
giczne nożyczki obciął zakrwawione kawałki rękawów koszuli.

— A może przypadkiem jest tutaj jakaś marynarka po Marku?

Kiwnęła głową.

Tak, przypuszczam, że jest. Dać ci ją? Poszedł do saloniku. Anna wróciła z sypialni niosąc szarą
tweedową marynarkę. Włożył ją na siebie i uśmiechnął się zapinając guziki.

Trochę za ciasna, ale na razie musi być, jaka jest. W łazience wyjął Mausera z kieszeni zakrwa-
wionej marynarki. Następnie wrócił do saloniku i z wieszaka za drzwiami zdjął prochowiec i zielo-
ny kapelusz, które mu podarował Hardt. Kiedy zapinał płaszcz, Anna go spytała:

— Dokąd się wybierasz?

— Dowiedzieć się, co się stało z Hardtem. Podejrzewam, że wieczorem go gdzieś przeniosą i chciałbym wiedzieć gdzie.

Sięgnęła po swój płaszcz.

— Jadę z tobą. Delikatnie wziął od niej płaszcz i powiesił za drzwiami.

— Nie, nie pojedziesz. Do tej roboty potrzebne jest tylko jedno z nas.

Wzruszyła ramionami z rezygnacją.

— W porządku, ale co wobec tego mam zrobić?

— Jeśli chcesz, zrób mi coś smacznego na kolację. Jak mi się poszczęści, wrócę za jakąś godzinę.

Odwróciła się bez słowa, a on szybko zszedł na dół do samochodu. Pojechał prosto do Blankense i zaparkowawszy Volkswagena za rogiem kliniki, wszedł do małego baru, znajdującego się naprzeciwko głównej bramy, i zamówił piwo.

Salka była pusta, a właściciel, oparty o pokryty cynkową blachą barek, czytał gazetę. Chavasse podszedł do zasłoniętego firanką okna i wyjrzał na ulicę.

Akurat jakiś mężczyzna w mundurze i spiczastej czapce otworzył szeroko bramę naprzeciwko. Następnie przeciął jezdnię i wszedł do baru.

Właściciel uśmiechnął się i odłożył gazetę.

— Nie powiesz mi, że cię wysyłają o tak późnej porze? Człowiek w mundurze kiwnął głową.

— Ci dranie takie sprawy zawsze w ten sposób załatwiają — powiedział z goryczą. — Możesz mi dać paczkę papierosów?

— Dokąd tym razem? — spytał właściciel baru i pchnął papierosy po barku.

— Znów do Berndorf. Na tych wiejskich drogach w dzień przejechać trudno, a już w nocy to prawie niemożliwe. — Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Mężczyzna przeszedł na drugą stronę jezdni i zniknął w bramie.

W kilka chwil później ciężki ambulans zjechał z podjazdu i skręcił na ulicę. Tuż za nim podążała wielka czarna limuzyna, Chavasse zaklął. Najwyraźniej przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności, na wypadek gdyby byli śledzeni.

Wyszedł z baru i stał na chodniku zastanawiając się nad następnym swoim poruszeniem, ale w tym momencie w bramie ukazała się Gizela. Za rogiem skręciła na główną ulicę i Chavasse pośpieszył za nią. Dogonił dziewczynę w momencie, kiedy mijala Volkswagena.

— Czy można panią podwieźć? — spytał. Odwróciła się zdziwiona, ale zaraz go poznała.

— Ach, to pan? — Podeszła bliżej, a gdy się ponownie odezwała, w głosie jej brzmiał podziw: — Co do licha pan zrobił Karłowi? Powiadają, że ma złamane obie nogi.

Uśmiechnął się otwierając drzwi samochodu.

— Czy daleko ma pani do domu? Potrząsnęła głową.

— Nie bardzo... tylko do Flottbeck.

— To spory kawałek — stwierdził i pomógł jej wsiąść do samochodu.

Obszedł wóz z drugiej strony i zajmąwszy miejsce za kierownicą, włączył silnik. Gdy jechali przez puste ulice, powiedział:

— A tak mówiąc nawiasem, to w dwunastce nie było mojego przyjaciela. Najwidoczniej go przenieśli.

Wyraźnie była zdumiona.

— Nie wiedziałam.

— Czy działo się coś jeszcze po tym, jak się rozstaliśmy? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Zawsze tam o coś wybucha awantura. Akurat pan tak trafił, że nic się nie działo. Wie pan, niektóre kobiety są okropne.

— Doprawdy? — zdziwił się Chavasse. — Powiedz mi, czy doktor Kruger ma jeszcze jakąś klinikę?

— Ja nic o tym nie wiem.

— Niedawno był w barze kierowca ambulansu. Mówił, że zabiera pacjenta do miejscowości o nazwie Berndorf.

— Och, oni często zabierają ludzi do Berndorf — wyjaśniła — ale nie do kliniki. Jadą tam na rekonwalescencję. Doktor Kruger ma przyjaciela, Herr Nagela, który posiada tam zamek. Podobno to piękna miejscowość.

— Ach, tak — powiedział Chavasse od niechcienia. — A ten Nagel... czy często odwiedza klinikę?

— O tak — odparła. — On i doktor Kruger są bliskimi przyjaciółmi. On jest bardzo bogaty. Chyba ma coś wspólnego ze stalą.

I nagle Chavasse'owi coś zaświtało w głowie i przypomniał sobie, co czytał w gazecie w mieszkaniu Anny. Kurt Nagel to przemysłowiec, człowiek o wielkich wpływach w kręgach politycznych. Był jednym z pierwszych organizatorów Konferencji Pokojowej, a pod koniec tygodnia wydaje bal na cześć delegatów. Jeżeli taki człowiek jak Nagel pracuje w zмовie z podziemiem nazistowskim, to sprawy przedstawiają się o wiele poważniej, niż nawet Szeф przypuszcza.

Rozważając sytuację jechał zgodnie ze wskazówkami Gizeli; wreszcie zatrzymał się przed skromnym budynkiem w bezpretensjonalnym sąsiedztwie.

— Bardzo było przyjemnie — powiedział. Otworzyła już drzwi, ale odwróciła się jeszcze do niego.

— Nie wpadnie pan na chwilę? Jest całkowicie bezpiecznie... o tej porze wszyscy już są w łózkach.

— Raczej nie, Gizelo. Może innym razem.

Pochyliła się i pocałowała go prosto w usta, po czym powiedziała z westchnieniem:

— Mężczyźni to tacy kłamcy. Założę się, o co pan chce, że już nigdy się nie zobaczymy.

Ruszył szybko, pozostawiając ją na chodniku zasmuconą. Zapomniał o niej w ciągu kilku sekund, kiedy powrócił myślami do problemu, jaki rozpracowywał.

A więc sprawa wygląda w ten sposób, że zabrali Hardta do zamku Nagela w Berndorf, a to oznacza, że Muller najpewniej też tam jest. Nie pozostaje przeto nic innego, jak złożyć im wizytę, ale to będzie ryzykowne — diabelnie ryzykowne.

Nie przestawał o tym rozmyślać idąc po schodach do mieszkania Anny. Kiedy wszedł, znalazł ją w kuchni.

— Trzymam cię za słowo — powiedziała.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Mam dla ciebie dobre wiadomości. Udało mi się dowiedzieć, gdzie zabrali Hardta. Myślę, że Muller jest również ich więźniem.

Nagle się ożywiła i zażądała, by opowiedział jej wszystko. Jak skończył, spytała:

— Wobec tego, jaki jest nasz następny ruch? Zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym uśmiechnął się.

— Myślę, że złożymy tam wizytę rano. Na pewno w wiosce musi być jakaś gospoda. Młoda para w podróży poślubnej będzie chyba najbardziej wiarygodna.

Zarumieniła się i próbowała się odwrócić. Przyciągnął ją ku sobie i ujawszy za brodę, spoglądał jej prosto w oczy.

— Czy masz coś przeciwko temu, by spędzić ze mną miodowy miesiąc?

Nagle uśmiechnęła się.

— Nie, oczywiście że nie. Prawdę powiedziawszy, przypuszczam, że gotów jesteś mi ofiarować tylko ten jeden miesiąc.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i spoważniał. Przytulił ją mocniej do siebie i powiedział gwałtownie:

— Na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Odsunęła się od niego.

— To znaczy, że ciągle jest jeszcze dla mnie nadzieja

— uśmiechnęła się i popchnęła go delikatnie w stronę drzwi.

— Idź, a ja przyniosę ci coś do zjedzenia.

Usiadł na kanapie, a Anna postawiła przed nim mały stolik i przyniosła kolację, po czym usiadła na krześle naprzeciwko i przyglądała się, jak je.

Kiedy sprzątnęła ze stolika i parzyła kawę, Chavasse odchylił się na oparcie kanapy, zadowolony i przez chwilę szczęśliwy. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że mogą się z tego wycofać, że po tej

roboty gotów jest powiedzieć Szefowi, że to już koniec.

Ale czy w życiu jest coś kiedykolwiek łatwe? — pomyślał.

Nawet jak przyszła i usadowiła się na jego kolanach, objąwszy ramionami za szyję, maleńka, drobna wątpliwość wciąż nie dawała mu spokoju.

9

Kiedy wyruszali, ranek był wilgotny i mglisty. Zatrzymali się w Hamburgu tylko po to, by Anna kupiła dla Chavasse'a tweedową marynarkę, a sobie jakąś tanią złotą obrączkę.

Z Hamburga do Berndorf jechało się tylko dwadzieścia kilka kilometrów drogą na Lubekę. Samochód prowadził Chavasse i po czterdziestu minutach, kiedy zbliżali się do drogowskazu, Anna pociągnęła go za rękaw. Skręcił w lewo, na wąską drogę pośród gęsto zadrzewionego terenu i po przebyciu około pięciu kilometrów dotarli do wsi.

Znajdowała się tam tylko jedna droga, zabudowana z dwóch stron kamiennymi domami, i sprawiała wrażenie kompletnie wyludnionej. Na krańcu wsi zobaczyli gospodę, stary dwupiętrowy budynek, zbudowany z ciężkich kamieni, na których znać było ślad działania wiatrów i deszczu. Jego drewniane szczyty wydawały się zbyt wielkie w stosunku do całego domu.

Zaparkowali samochód i weszli przez drzwi, na których widniał rok 1652. Główna izba była podłużna, niski sufit wyłożony grubymi belkami i tak ogromny kominek, że śmiało i wygodnie stanąłby tam człowiek. Płonął w nim jasny ogień i Anna natychmiast podeszła, by ogrzać sobie ręce, natomiast Chavasse skierował się w stronę małego biurka recepcji i nacisnął dzwonek.

Usłyszeli kroki w mrocznym pomieszczeniu w głębi i wkrótce pojawiła się starsza kobieta o twarzy pogodnej i pomarszczonej jak zwiędłe jabłko i dygnęła uprzejmie.

— Chcielibyśmy wynająć pokój na kilka dni — oznajmił Chavasse.

Skinęła głową i powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

— Musicie się, państwo, porozumieć z Herr Fassbenderem. Zaraz go poproszę.

Zniknęła w głębi domu, a Chavasse, czekając, zapalił papierosa. Niebawem przyszedł z kuchni wielki mężczyzna o czerwonej twarzy i krótko przystrzyżonych włosach.

— Chce pan wynająć pokój?

— Tak, dla mojej żony i dla mnie... na kilka dni.

Starł się przybrać odpowiedni wyraz zażenowania. Anna stanęła przy nim i wzięła się za ręce.

— Ach, rozumiem, mein Herr. Tak się akurat składa, że mam odpowiedni dla państwa, bardzo ładny pokój.

Stanął za biurkiem i wyjął rejestr, w którym Chavasse wpisał nazwisko Reinmarch. Fassbender wziął klucz i poprowadził ich na górę.

— Szkoda, że mamy taką paskudną pogodę, ale przecież trochę deszczu nie może przeszkodzić w miłym spędzeniu urlopu.

Otworzył drzwi i wprowadził ich do pokoju, który wyglądał rzeczywiście przyjemnie. Były w nim ciemne, dębowe meble, kominek i w rogu ogromne, podwójne łóżce.

— Powinniśmy się tu czuć wspaniale — powiedział Chavasse. Fassbender znowu się uśmiechnął.

— Zaraz każę rozpalić kominek. Czy życzą sobie państwo teraz coś do zjedzenia?

— Dziękujemy, na razie nie. Najpierw chyba zwiedzimy okolicę, prawda, kochanie? — zwrócił ku Annie pytające spojrzenie.

— O tak, cudownie — odparła z uśmiechem.

— Niestety, nie ma tu wiele do zwiedzania — rzekł Fassbender. — Chcąc naprawdę poznać piękno tej okolicy, trzeba nas odwiedzić latem.

— A są tu jakieś miejsca szczególnie interesujące? — spytał Chavasse od niechcienia.

— Jest, oczywiście, zamek. Można go obejrzeć, ale jest zamknięty dla ludzi z zewnątrz. Prowadzi tam ścieżka przez las. Zaczyna się już na podwórku za gospodą.

Chavasse podziękował i wyszedł wraz z Anną. Kiedy podążali ścieżką pośród jodeł, spytał Annę:

— Jak ci się podobało moje przedstawienie? Czy wyglądałem na pana młodego drżącego z podniecenia przed czekającą go nocą poślubną?

— Odegrałeś tę rolę znakomicie.

— A ty wydałaś mi się śmiertelnie przerażona na widok łóżka.

— To największe łóżce, jakie w życiu widziałam — roześmiała się.

— Idę o zakład, że diabelnie ciężko byłoby mi dopaść cię w tym łóżku — powiedział zuchwale, na co Anna mocno się zarumieniła i tym razem naprawdę sprawiała wrażenie, jakiego po niej oczekiwano — panny młodej w dniu zaślubin.

Kiedy drzewa się przerzedziły, dostrzegli błysk wody i wkrótce znaleźli się nad brzegiem jeziora, a przed nimi wyłoniły się z mgły wysokie gotyckie wieże zamku. Zbudowany był na małej wysepce, wiodła do niego wąska grobla długości około trzydziestu metrów, zaczynająca się od brzegu jeziora niedaleko miejsca, w którym stali.

— Wygląda jak zamek z baśni braci Grimm — zauważyła Anna.

Chavasse skinął powoli głową w milczeniu. Mgła zdawała się gęstnieć i przesłaniać widok zamku. Wziął ją pod rękę i skierował się w przeciwnym kierunku, nie w stronę grobli.

— Bardzo trudno będzie dostać się do środka — powiedział.

— W jaki sposób masz zamiar tego dokonać?

— Sam nie wiem — wzruszył ramionami. — Na pewno musi być całkiem ciemno, ale przedtem chciałbym rzucić okiem na ten zamek.

Szli kamienistym brzegiem jeziora, widoczność coraz bardziej się zamazywała. Nagle, tuż przed nimi, wyłoniła się z mgły przystań.

— Ciekawe! — szepnął.

Wszedł na pokryty porostami pomost schodzący do wody. Po drugiej stronie pomostu zauważył małą wiosłową łódkę, przycumowaną do sworznia z kołkiem. Chyba już od jakiegoś czasu nikt z niej nie korzystał, na dnie była woda, ale leżały w niej wiosła, a także stara trzciniowa wędka. Pociągnął Annę za sobą i wskazał na łódkę.

— Jak myślisz, do kogo należy? — spytała.

— Może do naszego przyjaciela Fassbendera. Zresztą nie ma to znaczenia... zamierzam ją wypożyczyć.

— Nie sądzisz, że okazywanie zbytniego zainteresowania zamkiem może być niebezpieczne?

— Nie w tej mgle. To najlepsza okazja, aby przypatrzeć mu się z bliska. Muszę znaleźć wejście, Anno. Nie ma sensu wracać tu po ciemku i liczyć na szczęście.

— Chyba masz rację — powiedziała spokojnie. — Czy chcesz, abym i ja wybrała się z tobą? Tak by lepiej wyglądało.

— Nie, zaczekaj tutaj. Jeśli zdarzy się coś złego, wolałbym, abys w tym nie uczestniczyła.

Wskoczył do łodzi i z trudem odwiązał mokrą linę. Było tyle wody na dnie, że zamoczył całe buty. Nie zwracał uwagi na przeszywające go na wskroś zimno, umocował wiosła i odepchnął się od pomostu. Anna pomachała mu ręką, ale wkrótce przestał ją widzieć i został sam, spowity kokonem mgły.

Obejrzał się przez ramię i dostrzegł ostre szczyty wieżyczek wznoszących się ponad mgłą, w tę stronę więc skierował łódkę. Najbardziej zdumiewała go cisza, absolutna i nieprzenikniona. Słyszał jedynie plusk wody, gdy wynurzał z niej wiosła. Nawet świergot ptaka nie zakłócał tej ciszy.

Wtem gdzieś w dali rozległ się cichy warkot motoru, tłumiony przez mgłę. Natychmiast przestał wiosłować i nasłuchiwał uważnie. Warkot stopniowo się nasilał, rozległ się prawie przy jego uszach i oddalił się. Powierzchnia jeziora wyraźnie zafalowała, uderzając o burtę jego łódki.

Chavasse wciągnął do łodzi wiosła i sięgnął po wędkę. Linka była poplątana, pełna węzłów, zmagął się z nią przez chwilę, dopóki nie usłyszał warkotu powracającej motorówki. Przestał więc ją rozplątywać i zarzucił w wodę. Drugą rękę trzymał w kieszeni, gotów w każdej chwili wyciągnąć Mausera, którego zabrał Steinerowi w klinice.

Łódka Chavasse'a zachybotała się gwałtownie, gdy motorówka podpłynęła bliżej i ucichła z powodu wyłączzonego silnika. Chavasse pochylił się nad wędką i spuścił głowę. Motorówka wyłoniła się z mgły i delikatnie stuknęła o jego łódź.

— Dobry połów, przyjacielu? — usłyszał znajomy głos.

Chavasse powoli odwrócił głowę i obejrzał się przez ramię. Steiner oparł się o burtę jego łodzi i z pełnym uprzejmości uśmiechem powiedział:

— Jakoś nie wydaje się pan dzisiejszego ranka rozmowny, Herr Chavasse.

— Mówiąc szczerze, prawie zaniemówiłem — odparł Chavasse. Wsunął głębiej kciuk, aby bezpiecznie ująć pistolet, a palec wskazujący delikatnie zagiął na cynglu.

— Fassbender, podobnie jak wszyscy mieszkańcy tej okolicy, są bardzo lojalni — oznajmił Steiner. — Zapraszam, mój przyjacielu. Wydajesz się przemoczony do nitki. Szklaneczka sznapsu dobrze panu zrobi.

Chavasse podniósł się powoli i obrócił w jego stronę.

— Mam nadzieję, że nic głupiego nie przyjdzie panu do głowy? — ostrzegł Steiner. — Jak pan widzi, Hans nas dobrze ubezpiecza.

Hans miał czarną brodę i groźny wygląd. Jego potężna klatka piersiowa zdawała się rozsadzać niebieski rybacki sweter, a dubeltówka, którą trzymał przy ramieniu, nawet nie drgnęła.

Chavasse nie widział możliwości posłużenia się pistoletem, bo prędeż sam dostałby w głowę, intensywnie jednak myślał tylko o jednym... aby ostrzec Annę. Opuścił ramiona i westchnął:

— Wygląda na to, że tę rundę wygrałeś, Steiner.

— W tym momencie rzucił się do tyłu w wodę, wyciągnął Mausera i strzelił na chybił-trafił.

Odgłos jego strzału wydał mu się potężny, ale nie tak potężny jak piorunujący huk z dubeltówki. Kule świsnęły mu tuż przy głowie, więc skrył się pod wodą. Nie miał czasu nabrać dużo powietrza, desperacko jednak zanurzył się głębiej, przepłynął pod kilem motorówki i wychynął na powierzchnię z drugiej strony, gdzie przytrzymał się sznurkowej drabinki.

Przysłuchując się chwilę sążnistym przekleństwom Steinera, szybko zaczął ściągać z siebie płaszcz przeciwdeszczowy. Miał tylko jedną szansę — dopłynąć do brzegu i liczyć na to, że go nie dostrzegą w tak gęstej mgle, a płaszcz byłby mu tylko zawadą.

Wreszcie udało mu się go ściągnąć. Kiedy odbił się od łodzi, kula uderzyła w wodę tuż przy nim

i Steiner zawołał:

— Nie ruszaj się, Chavasse!

Chavasse zatrzymał się, zachowując pionową pozycję, a Steiner krzyczał w dalszym ciągu:

— Natychmiast wracaj do łodzi! Ostrzegam, że jeszcze jeden unik, a przestrzelę ci łeb.

Nagle Chavasse poczuł się zziębnięty i zmęczony. Popłynął z powrotem do motorówki i sam wspiął się po sznurkowej drabince. Kiedy był już prawie na górze, Hans schwycił go i przerzucił przez burtę. Zatoczył się i upadł.

Z trudem się podniósł i stał drżąc z zimna, gdy wiatr smagał go poprzez mokre ubranie. Steiner zbliżył się z Lugerem w prawej ręce.

— Prawdziwy z ciebie mężczyzna, Chavasse. W innych okolicznościach pewnie dobrze by się nam współpracowało. Szkoda, że tak nieopatrnie wybrałeś niewłaściwą drogę.

— Głupie to było z mojej strony, no nie? — odezwał się Chavasse.

— Niebawem sam się o tym przekonasz — rzekł Steiner — bo jestem twardym człowiekiem i zawsze spłacam długi. Właśnie mam coś do rozliczenia. — Postąpił naprzód z zadziwiającą szybkością jak na tak potężnego mężczyznę i nim Chavasse zdążył zrobić unik, Steiner wymierzył mu cios lufą Lugera w prawy policzek, z którego połała się krew. W tym momencie i Hans przysunął się od tyłu, i walnął go w kark. Chavasse zgiął się wpół i upadł na pokład.

Wydawało mu się, że minął cały wiek, kiedy leżał dotykając policzkiem mokrego pokładu, z zamkniętymi oczami, i czuł tylko przeszywający go ból. Ledwie świadom był warkotu motoru, przypominającego kaszel. Nagle woda chlusnęła mu prosto w twarz, więc otrząsnął się i powoli uniósł na nogi.

Steiner rzucił niedbale wiadro w róg łodzi i roześmiał się.

— Niezły widok, mój przyjacielu. Szkoda, że sam siebie nie możesz zobaczyć. Chavasse nie zwracał na niego uwagi, tylko obrócił się do burty. Zbliżali się do zamku, którego mury z tej strony sięgały niemal powierzchni wody. Płynęli w stronę mrocznego wejścia o sklepieniu w kształcie łuku i Hans zwolnił prędkość wprowadzając do środka łódź.

Chavasse czuł przeraźliwe zimno i wilgoć. Dygocąc, otarł twarz wierzchem dłoni, która pokryła się krwią.

Łódź uderzyła lekko o kamienne molo, a Hans chwycił szybko linę, przeskoczył burtę i przywiązał łódź do wielkiego żelaznego pierścienia.

— Najpierw ty! — odezwał się Steiner, dając Chavasse'owi znak, aby przeskoczył burtę.

Chavasse ruszył naprzód i stanął na molo. W otaczającym go mroku zobaczył kamienne schody, które prowadziły do pomostu znajdującego się nad ich głowami. Ogromnie znużony wszedł na stopnie, tuż za nim Steiner i Hans.

Hans wyminął go i otworzył drzwi. Chavasse znalazł się w długim, kamiennym korytarzu. Hans poprowadził go w głąb, otworzył następne drzwi i po przebyciu kilku stopni, znaleźli się w ogromnym hallu.

Wielkie, łukowate belki z czarnego dębu zamajaczyły w mroku i Chavasse zatrzymał się. W dalekim końcu hallu znajdowały się marmurowe schody, a ponad nimi krużganek. Z boku płonęły w olbrzymim średniowiecznym kominku grube polana.

— Niezły widok, co? — odezwał się Steiner. — Należał niegdyś do księcia, ale od czasów wojny dużo się zmieniło.

Chavasse ruszył do przodu bez słowa, kierując się w stronę drzwi, które Hans właśnie otworzył. Zawahał się na progu, ale Steiner brutalnie wciągnął go do środka.

Pokój był elegancko umeblowany, na podłodze leżał wspaniały dywan. Doktor Kruger i jeszcze jakiś mężczyzna siedzieli przed kominkiem, ale wstali, gdy Hans popchnął do przodu Chavasse'a.

— To on, Herr Nagel — oświadczył Steiner.

Nagel był wysoki, miał na sobie wytworny garnitur z ciemnego sukna i nieskazitelnie białą koszulę. Szpakowate, ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu, a jego twarz, zimna i surowa, przypominała szesnastowiecznego kalwińskiego pastora.

Poprawił okulary w złotej oprawce i przyjrzał się Chavasse'owi.

— Muszę powiedzieć, że wygląda nie tak groźnie, jak sobie wyobrażałem, a jego strój robi jeszcze gorsze wrażenie.

— Musieliśmy go potraktować ostro — wyjaśnił Steiner. — Próbował sobie popływać.

Kruger przeciągnął rękę po brodzie, a jego oczy rozbłysły w kościstej, chudej twarzy.

— Ma pan paskudną ranę na policzku, Herr Chavasse. Pozwoli pan, że mu ją zszyję. Co prawda, nie mam tutaj środków znieczulających, ale jestem pewien, że tak dzielny człowiek potrafi znieść trochę bólu.

Przypomina pan ślimaka, jakiego kiedyś znalazłem pod bardzo płaskim kamieniem — odparł na to Chavasse.

Wściekłość zabłysła w oczach Krugera, podniósł jednak rękę, aby powstrzymać Steinera, który zrobił krok do przodu.

— Zostaw go, Steiner. Przyjdzie na niego czas. Wprowadź następną osobę.

Steiner otworzył drzwi i coś powiedział do kogoś, stojącego na zewnątrz. Kiedy Chavasse się odwrócił, wepchnięto Annę, a za nią pojawił się Fassbender ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

— Przykro mi, Anno — odezwał się cicho Chavasse.

— W porządku, Paul — usiłowała się uśmiechnąć. — To nie twoja wina.

— Powinienem był to przewidzieć — dodał — ale wszyscy popełniamy błędy.

— To ta Żydówka? — odezwał się Nagel. — Muszę przyznać, że czarująca. Naprawdę czarująca.

Kruger zlustrował ją szczególnym, natarczywym spojrzeniem i oblizał wargi.

— Znasz mój stosunek do tej rasy, mój drogi Kurt — skierował te słowa do Nagela — ale kobiety tej rasy zawsze mnie pociągają.

Anna wyraźnie się otrząsnęła, a Kruger zbliżył się i położył jej dłoń na ramieniu.

— Nie masz się czego bać, moja droga, jeśli będziesz grzeczna.

Odsunęła się od niego ze wstrętem. Trzymaj ręce przy sobie, ty świnió.

— Jeśli wybierasz ostrą metodę, ja się dostosuję. — Popchnął Annę w stronę Hansa.

— Zamknij ją w pokoju obok mojego. Bez jedzenia i bez wody. Sam się nią później zajmę.

Chavasse zdławił w sobie wściekłość i rozpacz, i usiłował wesprzeć Annę spojrzeniem, gdy

Hans wyciągał ją z hallu. Zdążyła jeszcze uśmiechnąć się dzielnie przez ramię, ale Steiner natychmiast zamknął drzwi.

— No więc, Chavasse — powiedział Nagel — przystąpmy do rzeczy. Co wiesz na temat tej afe-ry z Schultzem?

Chavasse roześmiał się ironicznie.

— Dlaczego mnie pan o to pyta, skoro macie Mullera?

— Niestety — Nagel westchnął. — Muller wykazuje niezmierną głupotę. Jak do tej pory, nie chce w ogóle rozmawiać. Przyznaję, że jest to dla mnie zagadką. Zaproponowałem mu okrągłą sumkę... bardzo okrągłą. Teraz jednak zdobyliśmy już więcej informacji, które powinny okazać się pomocne.

— A cóż to za informacje? — spytał Chavasse.

— Wszystko w odpowiednim czasie — odparł z uśmiechem Nagel. — Wszystko w odpowiednim czasie. Najpierw pozwolę panu zamienić kilka słów z Mullerem. Może panu uda się przemówić mu do rozsądku.

— Nie wyobrażam sobie, abym mógł mieć jakikolwiek wpływ na zmianę jego postanowienia — zareagował Chavasse. — Zwłaszcza po tym, jak się z nim obchodziliście.

— Niech mu pan powie, że moja cierpliwość już się wyczerpała. — Nagel wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę pozostałych osób. — Idziemy wszyscy? To może być dość interesujące.

Steiner otworzył drzwi, wyszedł pierwszy, za nim Chavasse, a Kruger i Nagel z tyłu. Minęli hali i po schodach wyszli na krużganek. Z głębi zamku dobiegało monotonne szczekanie psów. Przeszył go dreszcz, gdy pomyślał, czy kiedykolwiek opuści żywy to miejsce.

Weszli po kilku schodach na wyższy krużganek, gdzie na ich widok podnieśli się dwaj mężczyźni, którzy siedzieli na krzesłach naprzeciwko siebie i czytali gazety. Byli postawni, krzepcy, wybrani niewątpliwie bardziej dla siły mięśni niż rozumu. Kruger kazał im zejść do kuchni na posiłek.

Kiedy odeszli, Kruger zwrócił się do Nagela:

— Czy pozwolimy mu zamienić parę słów z jego przyjacielem, nim pójdzie do Mullera? — Zachichotał. — Przecież to może być ich ostatnia szansa.

— Oczywiście, mój drogi — Nagel nieznacznie się uśmiechnął. — Oczywiście.

Kruger otworzył kolejne drzwi i Steiner wepchnął do środka Chavasse'a.

Pokój był wygodnie urządzone i sprawiał normalne wrażenie, poza kratami w oknach. Na łóżku leżał Hardt, który na ich widok spuścił nogi i wstał.

Prawą rękę miał na temblaku, twarz ściągniętą i bladą. Spojrzał posepnie na Chavasse'a, oczy miał trochę rozgorączkowane, a w kącikach jego ust pojawił się drwiący uśmiech.

— A więc i ciebie przychwycili, Paul?

— Na to wygląda. Dobrze się czujesz?

Kruger wysunął się do przodu.

— Czuje się znakomicie, prawda, Herr Hardt? Tylko drobna rana na ramieniu. Sam ją opatrzyłem.

— Bez znieczulenia. — Hardt spojrział na Chavasse'a. — Wciąż jeszcze nie wydoroślał. Lubuje się w wyrywaniu muchom skrzydeł i temu podobnych draństwach.

Kruger celowo położył rękę na zranionym ramieniu Hardta i ścisnął mocno. Krople potu wystąpiły mu na czole i opadł na łóżko.

— Przyjdę tu później — rzekł Kruger, — Nim z tobą skończę, przedtem nauczysz się, jak trzymać język za zębami.

Odwrócił się, wypchnął Chavasse'a i kazał Steinerowi zamknąć drzwi. Udali się na drugi koniec krużganku, gdzie zatrzymali się przed ostatnimi drzwiami.

— Ma pan pięć minut, Herr Chavasse — odezwał się Nagel. — Żywię nadzieję, że Muller dla własnego dobra zechce pana posłuchać.

Kruger przekręcił klucz i brutalnie popchnął Chavasse'a do środka. Drzwi zamknęły się za nim, wszedł głębiej.

Był to pusty, nieumeblowany pokój. Pośrodku znajdował się solidny, metalowy stół operacyjny, przyśrubowany do podłogi, zwisały z niego skórzane pasy, używane prawdopodobnie do unieruchomienia pacjenta.

Muller leżał na składanym łóżku w kącie pod oknem. Chavasse podszedł do niego i usiadł na brzegu łóżka. Muller po chwili otworzył oczy i zaczął się w niego wpatrywać.

Wyglądał na czterdzieści parę lat, twarz miał zmizerowaną, skórę przezroczystą jak pergamin. Nie było na niej żadnych śladów, Chavasse pochylił się więc i uniósł prześcieradło. Muller leżał całkiem nagi, a na jego ciele widniały same rany i nabiegłe krwią pręgi. Znęcali się nad nim okropnie.

Wpatrywał się w Chavasse'a przez chwilę pustym wzrokiem, nagle jednak jakby drgnął i w jego oczach pojawił się strach. Z jękiem usiłował się odsunąć, więc Chavasse odezwał się łagodnym głosem:

— Niech się pan nie obawia, Muller. Nie jestem jednym z nich.

— Kim pan jest? — Muller oblizwał spieczone usta.

— Paul Chavasse, mieliśmy się spotkać w Północno-Zachodnim Ekspresie w Osnabrucku.

Muller poruszył głową prawie niedostrzegalnie.

— Dlaczego miałbym panu wierzyć?

Chavasse pochylił się nad nim i wskazał na swoją zranioną twarz.

— Jak pan myśli, kto mógł to zrobić? — Muller ze zmarszczonym czołem patrzył niezbyt prze-

konany, a Chavasse mówił dalej: — Wiem nawet o pańskiej siostrze, ale oni nie wiedzą. Pracowała w Tadź Mahal jako Katie Holdt.

Na twarzy Mullera odmalowało się paniczne przerażenie, wyciągnął rękę i uchwycił się Chavasse'a.

— Na miłość boską, niech im pan tego nie mówi. Błagam! — W jego oczach pojawiły się łzy.
— To ze względu na siostrę milczę, bo wiem, co by z nią zrobili.

Chavasse ułożył go na poduszce i zapewnił:

— Niech pan będzie spokojny, na pewno im o niej nie wspomnę. Czy ona ma rękopis?

— Tak, ale wydawało mi się, że nikt nie wie o jej istnieniu. Miała zginąć podczas bombardowania w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

— A Caspar Schultz? Gdzie jest?

— To świetny żart — rzekł Muller — najlepszy ze wszystkich. Zmarł trzy miesiące temu w małej wiosce w górach Harzu.

— Był pan jego ordynansem podczas wojny — mówił Chavasse — ale co się potem działo? Muller znowu zwilżył wargi.

— Schultz miał pieniądze ulokowane w Portugalii. Mieszkaliśmy tam pod przybranymi nazwiskami, a ja pracowałem u niego jako lokaj. Kiedy zaczął podupadać na zdrowiu i czuł, że zbliża się śmierć, postanowił wrócić do Niemiec. Ostatni rok swego życia poświęcił temu rękopisowi, który nazwał swoim testamentem.

Coś jakby zagrzechotało mu w gardle i zamknął oczy. Kiedy Chavasse wstał, otworzyły się drzwi i weszli wszyscy. Nagel palił papierosa w długiej cygarniczce, wydmuchując chmury dymu.

— Ma nam pan coś do powiedzenia, panie Chavasse?

— Absolutnie nic.

— Jaka szkoda — westchnął Nagel. — W takim razie...

Wykonał nieznaczny gest i Hans, który stanął za Chavasse'em, wykręcił mu rękę do tyłu. Natychmiast zbliżył się Steiner z zaciśniętymi pięściami.

— Teraz więc czas, abym spłacił ci resztę długu — odezwał się lodowatym tonem — i Chavasse poleciał na Hansa, gdy Steiner wymierzył mu cios pięścią prosto w zraniony policzek. Fala silnego bólu zalała Chavasse'a.

Uniósł obie nogi i gdy ten wielki Niemiec znów się na niego zamierzył, kopnął go prosto w żołądek. Steiner poleciał na stół operacyjny. Przez chwilę leżał tak przewieszony, po czym ruszył znowu w stronę Chavasse'a z wściekłością na twarzy.

Chavasse znowu szykował się do odparcia ciosu, ale Hans nacisnął mu gardło muskularnym ramieniem i Chavasse zaczął się dusić. Steiner uderzył go w żołądek, uderzał raz po raz, aż Chavasse osunął się na podłogę.

Steiner kopnął go w szyję z boku i już podnosił nogę do następnego ciosu, gdy Nagel odezwał się surowym głosem:

— Wystarczy. Na razie chcemy go mieć żywego.

Chavasse leżał z zamkniętymi oczami oddychając głęboko, aby zwalczyć ból, który zalewał go czarną falą, i za wszelką cenę starał się nie stracić przytomności. Niejasno świadom był jęków Mullera, gdy wyciągali go z łóżka i przywiązywali do stołu operacyjnego.

— Muller, słyszysz mnie? — spytał Nagel, ale rozległ się tylko przeraźliwy jęk, więc Nagel znowu się odezwał:

— Muller, wykazałem dużo cierpliwości, ale teraz już nie mam czasu.

— Zaczynamy? — spytał Steiner.

Chavasse z trudem otworzył oczy. Steiner i Hans rozebrali się do pasa, w rękę trzymali długie gumowe pałki.

Nagel pochylił się nad stołem.

— Wiemy o twojej siostrze, Muller — powiedział. — Nazywa się Katie Holdt. To ona ma rękopis, czy tak, Muller? Powiedz, gdzie mieszka. Chcę tylko mieć ten rękopis. Dopilnuję, aby jej się nic nie stało.

Znowu w gardle Mullera coś jakby zagrzecotało. Nagel wrzasnął ze złością i cofnął się,

— Zaczynajcie! — zawołał do Steinera i Hansa, a sam się odwrócił.

Chavasse zamknął oczy, gdy pierwszy cios pałki spadł na ciało i kości Mullera, który wydał z siebie krzyk, a potem już krzyki, jęki i ciosy rozlegały się w nieskończoność. Chavasse zacisnął zęby, próbując zagłuszyć w sobie te odgłosy, ale wkrótce, na szczęście, pogrzyżył się w ciemności.

10

Leżąc nieruchomo na podłodze z zamkniętymi oczami, wolno odzyskiwał świadomość. Najwi-
doczniej stracił przytomność na krótko, bo wszyscy jeszcze byli w pokoju.

Odgłosy bicia ucichły i Nagel najwyraźniej był zły.

— Jest pan pewien, że z nim wszystko w porządku? — spytał.

Po chwili ciszy Kruger odparł:

— Wciąż jeszcze żyje, jeśli o to panu chodzi.

— Uparty głupiec! — krzyknął Nagel ze złością. — Kto by przypuszczał, że ma tyle odwagi?

— Mamy zaczynać od nowa? — spytał Steiner. Nagel parsknął niecierpliwie:

— Martwy nie przedstawia dla nas wartości, a będzie, jeśli mu jeszcze dołożycie. Na razie zostawcie go. Pamiętajcie, że mamy ważne sprawy do omówienia.

— Jakie są plany na wieczór? — spytał Kruger.

— Właśnie proponuję o tym porozmawiać — odparł Nagel.

— Przyjęcie zaczyna się o siódmej. Obiad będzie o ósmej, a Hauptmann wygłosi swoją mowę punktualnie o dziewiątej trzydzieści.

— O której godzinie życzy pan sobie, żebym tam był? — spytał Steiner.

— O dziewiątej. Będzie pan czekał w krzakach pod tarasem sali balowej. Na tarasie zostanie postawiony stół specjalnie dla Hauptmanna. Zaprowadzę go tam piętnaście po dziewiątej pod pretekstem, że to mu pozwoli zebrać myśli, a my przez ten czas posadzimy gości przybyłych na jego prelekcję.

— Czy może pan być absolutnie pewien, że wyjdzie na taras? — zaniepokoił się Kruger.

— Oczywiście — odparł Nagel. — Znam Hauptmanna od wielu lat i nigdy nie wygłasza przygotowanej mowy. Zawsze robi to w ten sposób. — Zwrócił się do Steinera: — Tylko żadnego pudła, Steiner. Został pan wybrany ze względu na pańską powszechnie znaną niezawodność. Hauptmann musi umrzeć jeszcze dziś.

— Będzie tak, jak pan powiedział, Herr Nagel — odrzekł z pewnością siebie Steiner.

— Powiązania Hauptmanna z Urzędem do Spraw Ścigania Zbrodni Wojennych w Ludwigsburgu zrobiły z niego coś w rodzaju bohatera narodowego. Musimy dać ludziom nauczkę. Niech wiedzą, że nasz ruch wciąż stanowi siłę, z którą należy się liczyć.

Nagel przeszedł przez pokój i szturchnął nogą Chavasse'a.

— Byliście rzeczywiście wyjątkowo brutalni wobec naszego przyjaciela. Wydaje się być raczej w złej kondycji. Ufam, że jak wrócę tu jutro, będzie już w odpowiednim stanie, by odpowiedzieć na parę pytań.

Kruger stanął obok niego.

— Zbadam go później po południu. Czy zostaje pan na lunchu?

— Chyba nie — odparł Nagel. — Ja naprawdę muszę wracać do Hamburga. Tyle przygotowań dla takiej błażej sprawy.

Poszli w stronę drzwi i Chavasse lekko uchylił oko, żeby widzieć, co robią. Hans otworzył drzwi, a Kruger wychodząc powiedział:

— Lepiej stań na straży na końcu krużganka, Hans, póki ci dwaj się nie posilą. — Drzwi się zamknęły, klucz obrócił się w zamku.

Chavasse usiadł powoli i koniuszkami palców ostrożnie dotknął szyi. Szczęśliwie, że Steiner nie nosił cięższych butów, tylko pantofle na cienkiej podeszwie. Mięśnie brzucha miał potłuczone i obolałe, ale największy ból sprawiała mu twarz. W jakiś dziwny sposób wydawała się skrzywiona i

ciężka, a prawy policzek był spuchnięty i lepki od krwi.

Muller cicho jęknął i znów w jego gardle rozległo się owo niesamowite grzechotanie. Chavasse poderwał się na nogi i przeszedłszy przez pokój stanął przy stole operacyjnym. Gdy patrzył na to biedne, zmasakrowane ciało, Muller otworzył oczy i spojrzął na niego nieprzytomnie.

— Zdawało się, że chce coś powiedzieć, więc Chavasse pochylił się nad nim.

— Moja siostra — zachrypiał. — Czy powiedziałem im, gdzie można ją znaleźć?

Chavasse zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, nie powiedział pan tej cholерnej rzeczy.

Na twarzy Mullera pojawiło się coś, co przypominało uśmiech. Przymknął oczy i z ulgą odczekał głęboko. Raptem Chavasse zorientował się, że Muller przestał oddychać.

Długi czas stał jeszcze, patrząc na zmarłego. Po chwili powiedział z westchnieniem:

— No cóż, wykazałeś charakter. Muszę ci to przyznać. Poszedł w stronę łóżka po koc i wróciwszy do stołu operacyjnego przykrył nim ciało.

Zaczął przeszukiwać pokój. Nie było tu kominka, a jedyne okno zabezpieczały żelazne pręty osadzone w mocnym kamieniu. Następnie popróbował drzwi, ale po bliższych oględzinach zamków okazało się, że ucieczka tą drogą nie wchodzi w rachubę.

Spojrzął na zegarek. Było prawie wpół do trzeciej, usiadł więc na łóżku, by rozważyć sytuację. Musi się stąd wydostać za wszelką cenę. Po spojrzeniu, jakim Kruger obrzucił Annę, należało się spodziewać, że niebawem złoży jej wizytę, a myśl o tym, co się wówczas stanie, przyprawiła Chavasse'a o dreszcz grozy.

Poza tym była jeszcze sprawa Hauptmanna. Próbował sobie przypomnieć, co czytał o tym człowieku. Liberalny polityk, bardzo popularny w społeczeństwie... może nawet przyszły kanclerz. Jego śmierć byłaby światową sensacją. Czy to nie ironia, że właśnie miałyby nastąpić na Międzynarodowej Konferencji Pokojowej?

Sam fakt, że Nagel i jego współpracownicy ośmielili się na taki krok, świadczył o sile ich ruchu.

Gdyby im się to udało, w ostatecznym efekcie nie miałyby to znaczenia dla niemieckiej sceny politycznej. Gdyby naziści uzyskali jakąkolwiek kontrolę w rządzie, wtedy wszystko mogłoby ulec rozchwianiu, łącznie z kontaktami między Wschodnimi i Zachodnimi Niemcami, i spowodowałyby dalsze reperkusje w polityce światowej.

Walnął w łóżko pięścią w bezradnej wściekłości i próbował się podnieść. I wtedy spostrzegł długą gumową pałkę, której używano do maltretowania Mullera.

Najwyraźniej albo Steiner, albo Hans rzucił ją niedbale na podłogę i potoczyła się pod stół operacyjny. Kiedy ją podniósł, była lepka od krwi. Wytarł ją w koc, po czym, stanąwszy pośrodku pokoju, obrócił nią w dłoniach.

Miała około sześćdziesięciu centymetrów długości ta straszliwa i śmiertelna broń, a kiedy ją tak

oglądał, w jego głowie wolno kształtował się plan.

Otworzył szeroko usta i zaczął krzyczeć. Gdy krzyk zamierał w oddali, zaczynał od nowa. Usłyszał kroki na korytarzu i ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Chavasse zaczął jęczeć i skowycać przeraźliwie.

Hans krzyknął przez drzwi:

— Przestań drzeć gębę, bo jak wejdziesz, to ci ją sam zamknę! Chavasse nie przestawał jęczeć, jakby go coś bardzo bolało, i szybko przebiegłszy pokój stanął przypląszczony do ściany tuż przy drzwiach.

Hans warknął ze złością:

— Dobrze, przyjacielu, sam tego chciałeś!

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi się otworzyły. Hans wszedł do pokoju, wielkie łapska zaciśnięte się w pięści. Chavasse odezwał się z za jego pleców:

— Tu jestem, ty sukinsynu!

Gdy Hans odwrócił się z ustami otwartymi do krzyku, Chavasse zamachnął się z całej siły gumową pałką, trafiając prosto w jego krtań. Hans nawet nie jęknął. Oczy mu się zapadły i runął do tyłu jak ścięte drzewo. Na brodzie pojawiła się piana i przez chwilę bezskutecznie skrobał palcami podłogę, gdy usiłował złapać powietrze, po czym ucichł.

Chavasse przyklęknął na kolano i szybko go przeszukał, ale nie miał szczęścia. Hans nie nosił broni. Wszedł na krużganek i nasłuchiwał, ale wokół panowała cisza. Pośpiesznie zamknął drzwi, chowając klucz do kieszeni, i kiedy odwracał się, by zejść na dół do pokoju, w którym uwięziono Hardta, gdzieś w pobliżu rozległ się krzyk kobiety.

Pośpieszył korytarzem, pełen zimnej, morderczej wściekłości, po czym znów usłyszał jej przeraźliwy krzyk; wyraźnie dochodził spoza mocnych dębowych drzwi, znajdujących się na końcu krużganka. Nacisnął ostrożnie klamkę i wszedł do środka.

W kącie obok kominka, skulona, siedziała na podłodze Anna, sukienkę z przodu miała podartą, a na gołym ramieniu widniała czerwono-siną pręgą. Pośrodku pokoju stał Kruger, zaciskając nerwowo w prawej ręce szpicrutę.

— Nie uciekniesz ode mnie, moja droga — powiedział — ale proszę, opieraj się nadal. Uważam, że to tylko dodaje pikanterii.

Chavasse, cicho zamykając za sobą drzwi, wślizgnął się głębiej. Już miał ruszyć dalej, gdy spostrzegła go Anna, a oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia. Kruger odwrócił się, na jego zniszczonej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Chavasse trzasnął go w dłoń trzymającą szpicrutę.

Przez twarz Krugera przebiegł spazm śmiertelnej męki. Upadł na kolana kwiląc niczym dziecko, zaś Chavasse, stojąc nad nim, bez odrobiny litości w sercu walnął go pałką w głowę.

Kruger pochylił się jakby w modlitwie i osunął wolno na podłogę. Chavasse uniósł ponownie pałkę, lecz Anna rzuciła się naprzód i chwyciła go za rękę.

— Dosyć, Paul! — krzyknęła i odciągnęła go z zadziwiającą jak na nią siłą.

Opuścił rękę niechętnie.

— Czy ta świnia zrobiła ci krzywdę?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Był zaledwie ze mną od dziesięciu minut. Prawie przez cały czas wygadywał nie do powtórzenia sprośności.

— Możemy dziękować Bogu, że nie jest prawdziwym mężczyzną — powiedział Chavasse, popychając Annę w kierunku drzwi. — Nie mamy wiele czasu do stracenia. Musimy uwolnić Hardta i jakoś się stąd wydostać.

— A co z Mullerem?

— Mullerowi już nic nie jest potrzebne — odparł. Zatrzymali się pod drzwiami pokoju, gdzie był więziony

Hardt, i Chavasse włożył do "zamka klucz, który zabrał Hansowi. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i zobaczyli Hardta siedzącego na brzegu łóżka z głową objętą dłońmi.

Podniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

— Jak, do diabła, zdołaliście to zrobić?

— Niestety, musiałem zadziałać trochę brutalnie — wyjaśnił Chavasse. — Jak się czujesz? Czy możesz się ruszać?

— Gotów jestem nawet iść do Chin, byleby tylko się stąd wyrwać.

— Aż tak daleko nie potrzeba — uspokoił go Chavasse. — Gdyby nam się udało przebrnąć przez główny hali i dojść do piwnic, mielibyśmy kłopot z głowy. W jaskini trzymają łódź motorową, która ma bezpośredni dostęp do jeziora.

— A co z Mullerem?

— Właśnie spędziłem przy nim ostatnią godzinę — odparł Chavasse. — Steiner i Hans lekko przeholowali podczas bicia. Byłem z nim sam, kiedy umierał.

— Czy powiedział ci coś? — spytał Hardt.

Chavasse skinął głową.

— Prawdopodobnie Schultz zmarł kilka miesięcy temu. Muller po prostu chciał sobie trochę zrobić na boku.

— A rękopis?

— Jest jak najbardziej autentyczny — powiedział Chavasse — jego siostra ma nad nim pieczę. Teraz tylko musimy ją odnaleźć.

Wziął Annę za rękę i wyprowadził z pokoju przez krużganek. Hali był kompletnie pusty. Jedyne

od strony ogromnego kominka dochodził spokojny trzask płonących polan. Chavas-se uśmiechnął się do nich uspokajająco i zaczęli ostrożnie schodzić na dół.

Kiedy byli już w połowie schodów, otworzyły się jakieś drzwi i do hallu wyszedł Steiner. Zapalał papierosa osłaniając zapałkę dłońmi, toteż w pierwszej chwili nie zauważył ich; potem spojrział w górę i na jego twarzy ukazał się wyraz zdumienia.

Chavasse odwrócił się i już miał zamiar popchnąć Annę po schodach, gdy Steiner wyciągnął Lugera i strzelił. Kula drasnęła jedną z marmurowych kolumn u szczytu schodów. Chavasse pchnął Annę naprzód, a sam podążył za nią prawie na czworakach.

Pędzili wzdłuż krużganka, Hardt tuż za nimi, kiedy Steiner ponowię wystrzelił. Zbiegli po wąskiej kondygnacji schodów i znaleźli się w niższym korytarzu, w którym na końcu były drzwi. Chavasse próbował je otworzyć, ale okazały się zamknięte.

— Mijaliśmy drzwi po lewej stronie! — krzyknął Hardt i zawrócił tą samą drogą, którą przybiegli.

Po naciśnięciu klamki drzwi otworzyły się i weszli do pokoju, pewne dla służby. W tym momencie Steiner zatrzymał się szczytu schodów i strzelił przez korytarz. Chavasse zatrzasnął drzwi, potem je zaryglował, zabezpieczając chociaż na chwilę.

— Co teraz zrobimy? — spytał Hardt.

Chavasse przeszedł przez pokój i otworzył okno. Jakieś sześć metrów niżej rozpryskiwały się na kamiennych murach zamku wody jeziora. Zwrócił się do Hardta:

— Do brzegu jest niecałe sto metrów. Jak uważasz, dopłyniesz tak daleko?

— Utonąć czy płynąć... jakie to ma znaczenie w tej sytuacji? odpowiedział po prostu Hardt.

— A ty, Anno?

Uśmiechnęła się.

— Całe życie pływałam. Sto metrów to fraszka.

W tej chwili zaczął się dobijać do drzwi Steiner.

— Wyłazić stamtąd! — wrzeszczał wściekły.

Chavasse szybkim ruchem ręki wskazał im okno.

— Ja za wami — szepnął. — Powodzenia!

Hardt wyskoczył pierwszy, potem Anna. Kiedy Chavasse podciągał się na parapet, Steiner kilkakrotnie strzelił przez drzwi. Chavasse zaczerpnął głęboko powietrza i skoczył.

Wpadł do wody z silnym plaśnięciem i niemal natychmiast się zanurzył. Otoczył go nieprzyjemny ziąb, lecz świadom był, że obok płynie Anna.

— Jak się czujesz? — wyszeptał.

Kiwnęła głową i wykrztusiła:

— Wspaniale, ale może lepiej płynmy szybko, żeby nas nie złapał kurcz w tej lodowatej

wodzie.

Mgła wyraźnie zgęstniała i Hardt już prawie znikł, więc szybko popłynęli za nim. Stracili z oczu zamek, gdy Chavasse nagle usłyszał niewyraźny okrzyk wściekłości i kula świsnęła nad wodą, a oni znaleźli się sami w białym świetle, który zdawał się ich zewsząd otaczać.

Płynęli razem tworząc trójkąt, Hardt prowadził. Był bardzo blady i zmęczony.

— Dajesz sobie radę? — spytał go Chavasse.

Hardt wypłuł haust brunatnej wody i uśmiechnął się ze znużeniem.

— To moje ramię niezbyt dobrze się sprawuje, ale nie martw się. Dopłynę do brzegu.

Chavasse odwrócił się, by spojrzeć na Annę, i w tym momencie zmącił ciszę warkot motorówki, wyłaniającej się od strony zamku. Przestali płynąć, huk silnika nasilił się, gdy motorówka przepływała koło nich, ale potem znów zawróciła.

Skupili się w gromadkę nasłuchując i nagle łódź znalazła się tuż przed nimi, a warkot motoru wprost rozsadzał uszy.

— Pod wodę! — szepnął rozpaczliwie Chavasse i wszyscy troje zanurkowali.

Chavasse czuł się jakby zniewolony potężną ręką, bezradnie szamotał się niby ryba w sieci. Po chwili wypłynął na powierzchnię, płuca niemal mu rozsadzało.

Anna ukazała się pierwsza, zaraz po niej Hardt i podpłynawszy do siebie, miotani falą wzburzoną przez motorówkę, usłyszeli, że warkot silnika zamiera w oddali. Niebawem Chavasse dał znak skinieniem głowy i znów popłynęli dalej.

Pięć minut później z mgły wyłoniła się przed nimi przystań; brodząc przez mieliznę, wspięli się na pomost. Drewniane drzwi nie były zamknięte na klucz, Chavasse otworzył je i weszli do środka.

Anna opadła na stos starych worków odgarniając z twarzy mokre pasmo włosów.

— Chyba jeszcze nigdy w życiu tak nie zmarzłam.

Hardt znużonym ruchem przetarł dłonią twarz.

— Co teraz robimy?

Chavasse wzruszył ramionami.

— Należy jakoś rozegrać tę kartę, ale cokolwiek się stanie, jedno z nas musi dotrzeć do Hamburga. Steiner ma zabić Hauptmanna, tego słynnego niemieckiego liberała, podczas przyjęcia wydanego przez Nagela na cześć delegatów Międzynarodowej Konferencji Pokojowej.

— O, mój Boże! — wykrzyknęła Anna. — Przecież Hauptmann to porządny facet, jeden z najwspanialszych ludzi w Niemczech!

W tym momencie od strony grobli, prowadzącej do zamku, rozległo się szczekanie psa. Wkrótce, choć stłumione przez mgłę najwyraźniej się przybliżyło.

Hardt odwrócił się szybko, wzrok miał ponury.

— Ta świnia Steiner poszczuł na nas psy. Widziałem je rano, jak mnie tu przywieźli. Trzy

czarne, podpalane dobermany, wytresowane, by zabijać. Nie mamy szans.

— Mamy, jeżeli się rozdzielimy — zaproponował Chavasse. — Jedno z nas odwiedzie psy, a dwoje ucieknie. Ktoś musi

dotrzeć do Hamburga.

— Kogo proponujesz? — spytał Hardt z ironią.

— Ja jestem w lepszej formie niż wy. Z pewnością dłużej będę mógł z nimi potańczyć.

— Ale ty, do jasnej cholery, możesz być bardziej użyteczny, prędeż załatwisz te świny, jak się znajdziesz w Hamburgu — powiedział Hardt.

Chavasse miał już zaprotestować, gdy Anna chwyciła go za rękę i odwróciła do siebie twarzą.

— Mark ma rację, Paul. Jesteś jedyny, który może ocalić Hauptmanowi życie, a to teraz najważniejsze.

Drzwi zatrzasnęły się. Kiedy Chavasse się odwrócił, Hardta już nie było. Słyszeli, jak przedziera się wśród jodeł, nawet nie starając się kamuflować swojej ucieczki, a potem doszły ich chaotyczne wrzaski, gdy pogoń wpadła na trop Hardta. Po chwili psy zaczęły ujadać. Chavasse i Anna nasłuchiwali z zapartym tchem, wkrótce jednak wszelkie ogłosy umilkły w oddali i zostali sami.

11

— Świetny facet — odezwał się Chavasse po chwili milczenia.

— Dawno już się o tym przekonałam — powiedziała Anna. — Dokąd się wybieramy?

— Z powrotem do gospody. Zawsze czeka na nas Volkswagen. Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy na szosie do Hamburga za piętnaście minut.

Potrząsnęła głową i rzekła ze smutkiem:

— Chyba to jednak niemożliwe, Paul. Fassbender odwiózł samochód do zamku. Widziałam go na dziedzińcu, kiedy mnie prowadzili.

Ze zmarszczonym czołem rozważał różne możliwości i wreszcie podjął decyzję.

— A jednak wracamy do gospody. Jest bardzo prawdopodobne, że Fassbender uczestniczy w pościgu i że wyruszyli w przeciwnym kierunku, musimy się jednak pospieszyć.

Poszedł pierwszy i niebawem znaleźli się w lesie. Po chwili wyszli na ścieżkę, która poprzednio zaprowadziła ich do jeziora. Chavasse chwycił Annę za rękę i zaczęli biec.

W gospodzie panował spokój, jedynym tylko znakiem życia była spirala niebieskiego dymu unosząca się z komina. Zatrzymali się na skraju dziedzińca porośniętego z tej strony jodłami, ale już po

chwili Chavasse chwycił mocno Annę za rękę i popędzili schylieni do tylnych drzwi, które Chavasse szybko otworzył, przepuścił Annę i sam wszedł za nią, zamykając za sobą drzwi.

Znaleźli się w dużej, wyłożonej kamienną posadzką kuchni. Stara kobieta stała pochylona nad zlewem szorując patelnię. Obejrzała się na nich i popatrzyła pustym wzrokiem.

— Nie przyszliście na lunch — stwierdziła.

— Pływaliliśmy łodzią po jeziorze i, jak pani widzi, mieliśmy wypadek. Czy Herr Fassbender jest w domu?

— Nie, wybrał się do zamku. Powiedział, że wróci dopiero wieczorem.

— A jest tu ktoś jeszcze?

Spojrzała zdziwiona.

— Po co miałby tu być ktoś jeszcze, mein Herr?

Odwróciła się do zlewu i swoich garnków, mruczając coś do siebie i potrząsając głową.

Chavasse otworzył drzwi w głębi kuchni i weszli do korytarza, także wyłożonego kamienną posadzką.

— Dobrze się składa, że ta stara kobieta jest prostytutką.

Anna przytaknęła głową.

— Co teraz robimy?

— Możesz iść prosto na górę i przebierać się, jesteś przemoczona na wylot. Pospiesz się jednak i zajrzyj do pokoju Fassbendera, może tam znajdziesz coś dla mnie odpowiedniego. Mamy podoba figurę.

— A co z tobą? — spytała.

— Muszę zadzwonić — uśmiechnął się i pchnął ją delikatnie na schody. — Pospiesz się, aniołku. Musimy się stąd wydostać jak najprędzej.

Podszedł do recepcyjnego biurka i zamówił rozmowę z Londynem. Telefonistka obiecała go wkrótce połączyć, więc odłożył słuchawkę i nalał sobie przy barku podwójny koniak oraz wziął paczkę papierosów.

Przeszedł go przyjemny dreszczyk, gdy trunek rozpląnął się ciepło po całym jego ciele. Postanowił wypić jeszcze kieliszek i właśnie kończył, kiedy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę, a po chwili usłyszał chropawy głos Jean Frazer.

— Tu Brown i Spółka, słucham?

— Mówi Cunningham, chciałbym zamienić kilka słów z panem Tylorem, jeśli jest na miejscu.

— Chwileczkę, panie Cunningham — powiedziała spokojnie.

Po chwili dobiegł go głos Szefa:

— Mówi Tylor... czy to ty, Cunningham. Jak idą interesy?

— Wspaniale! Ale potrzebna mi pomoc. Możesz coś zaradzić? Sprawa raczej pilna.

— Cieszę się, że interes rozwija się dobrze i z pewnością zrobię wszystko, co się da. Gdzie można cię znaleźć?

— Będę w hotelu Atlantic razem z Sir George'em. Będę tam do ósmej, ale obawiam się, że nie dłużej.

— W porządku. Mamy bardzo dobry kontakt na miejscu, człowiek nazywa się von Kraul. Zraz sprawdzę, czy jest osiągalny.

— A więc czekam na niego, a teraz, niestety, muszę kończyć. Sprawy w tej chwili toczą się niezwykle szybko.

W głosie Szefa nie wyczuwało się żadnej zmiany.

— Dobrze wiedzieć, Cunningham. Pomyślmy o odpowiednim wynagrodzeniu, kiedy powrócisz do domu. Bardzo na ciebie czekam.

Po drugiej stronie linii rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Chavasse uśmiechnął się i także położył swoją na widełki. Zrobiło mu się lżej na sercu. Jeśli chodzi o Szefa, to jedna rzecz nie budziła nigdy wątpliwości — zawsze można było na nim polegać. Jeśli obiecał, że cokolwiek załatwi, nigdy nie sprawiał zawodu.

Wyszukał telefon hotelu Atlantic w książce telefonicznej i poprosił o rozmowę z Sir George'em Harveyem. Poszukiwanie trwało dziesięć minut i wreszcie odnaleźli go w sławnym Długim Barze.

Wydawał się lekko poirytowany, że odrywają go od drinka.

— Tu Harvey, kto mówi? — warknął. A gdy poznał, że to Chavasse, natychmiast zaczął mówić innym tonem.

— Mój drogi chłopcze, cały czas myślę, co się z panem dzieje.

— Powiedział pan, że zawsze mogę się zwrócić z prośbą o pomoc. Musiałem do pana zadzwonić. Czy oferta jest aktualna?

— Naturalnie! — odparł Sir George skwapliwie. — Nie mam zwyczaju mówić słów bez pokrycia.

— Wobec tego proszę natychmiast wyruszyć z hotelu pańskim samochodem i jechać główną trasą do Lubeki. Jakies dwadzieścia pięć kilometrów od Hamburga zobaczy pan po lewej stronie znak drogowy, wskazujący miejscowość Berndorf. Tam będę na pana czekał.

— Czy to naprawdę aż tak ważne? — spytał Sir George.

— Można powiedzieć, że to sprawa życia i śmierci — odparł Chavasse. — Bynajmniej nie dramatyzuję.

— Już jadę — Sir George położył słuchawkę.

Chavasse wszedł na górę i zastał Annę w sypialni. Na łóżku leżał już uszykowany dla niego tweedowy garnitur, a także bielizna i skarpetki.

— Znalazłam nawet buty. Mam nadzieję, że będą na ciebie dobre.

Zaczął ściągać mokre ubranie, a Anna szybko wycierała go ręcznikiem.

— Skontaktowałem się z Sir George'em Harveyem. Przyjedzie po nas do drogowskazu na Bernsdorf.

— I co dalej, jak już znajdziemy się w Hamburgu? — spytała, gdy ubierał się w pośpiechu.

— Podwieziemy cię do domu, a ja pojedę z Sir George'em do hotelu Atlantic. Rozmawiałem też z Londynem. Załatwiają mi spotkanie z agentem niemieckiego wywiadu, von Kraulem. Znasz go może?

— Nie znam. Do tej pory staraliśmy się trzymać od nich z daleka.

Umyła mu pokancerowaną twarz moką flanelą i zalepiła ranę na prawym policzku plastrem.

— Dlatego między innymi chcę cię zostawić w domu wyjaśnić. — Im mniej wiedzą o izraelskim podziemiu działającym w Niemczech, tym lepiej. A poza tym, jeżeli Mark zdoła się wyrwać z ich pościgu, na pewno będzie się starał nawiązać z tobą kontakt.

— Myślisz, że ma szansę? — spytała.

— Nigdy nie trzeba tracić nadziei. W tym ulewnym deszczu trudno będzie psom go wywęszyć, a mgła powinna być w tej sytuacji bardzo pomocna.

— Modlę się, aby mu się nic nie stało.

W jej głosie zabrzmiał głęboki ból, co go wprawiło w dziwne zakłopotanie.

— Dużo o nim myślisz, prawda? — spytał łagodnie.

— Powinnam, jest moim przyrodnim bratem. Zawsze byliśmy ze sobą bardzo blisko.

Zaskoczyło go to, nie wiedział, jak zareagować, więc zeszli na dół w milczeniu. Spośród kilku płaszczy wiszących w hallu wybrał sobie przeciwdeszczową myśliwską kurtkę do kolan i zielony tyrolski kapelusz. Pomógł Annie włożyć stary, obskurny trencz, o wiele na nią za duży, i wyszli.

Podążali wiejską drogą bez słowa. Czuł się dziwnie przygnębiony, co trudno mu było pojąć. Uznał, że przyczyną jest brak snu już od dłuższego czasu. Bolał go każdy miesiąc, ale najbardziej dokuczliwy był ból twarzy.

Zatrzymał się po przebyciu kilku kilometrów.

— Chyba lepiej idźmy pomiędzy drzewami przez resztę drogi. Na wszelki wypadek, gdyby patrolowali szosę.

Przytaknęła w milczeniu i weszli między drzewa, ocierając się o mokre od deszczu gałęzie jodeł. Chavasse pierwszy dostrzegł myśliwski domek, a za nim biały przebłysk szosy. Domek okazał się zaniedbany, drzwi wisiały na jednej zawiasie, okna przypominały niewidome oczy.

Spojrzał na zegarek. Minęła szesnasta trzydzieści. Było mało prawdopodobne, aby Sir George przyjechał przed piątą.

— Musimy czekać jeszcze około pół godziny — powiedział Chavasse. — Równie dobrze możemy się i tutaj zatrzymać. Do głównej szosy mamy około pięćdziesięciu metrów.

— Jak uważasz, Paul — odparła i weszła za nim do środka.

Unosiła się tu woń stęchlizny, typowa dla takich miejsc, będąca połączeniem wilgoci i zapachu przegniłych liści. Anna usiadła na parapecie okna, Chavasse podał jej papierosa.

Palili w milczeniu. Anna wyglądała przez okno z wyrazem bezmiernego smutku na twarzy.

— Co cię trapi? — spytał Chavasse.

— Nie wiem, nie potrafię tego określić.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Wydała mu się w tym starym trenczu wprost absurdalnie młoda.

— Ten płaszcz jest za duży dla ciebie — uśmiechnął się.

— Tak — przyznała. — Pochodzi z Anglii, widziałam metkę, kiedy go zakładałam. Zastanawiam się, skąd się wziął na kołku w tej gospodzie?

— Zapewne jakiś turysta zostawił go dawno temu.

— Uważam, że to najbardziej smutne określenie w języku angielskim — stwierdziła. — Dawno temu. Brzmi to dla mnie jak sygnał wieczornej trąbki wojskowej. Światła zgaszone, koniec, nic więcej.

Mówiła to z wielkim patosem. Cisnął na podłogę papierosa i chwycił ją w ramiona.

— Anno, co ci jest? Jeszcze nigdy nie mówiłaś w taki sposób.

— Jeszcze nigdy tak się nie czułam. Obserwowałam cię, Paul. Twoją reakcję na niebezpieczeństwo, sposób, w jaki sobie radzisz z każdym zagrożeniem, bezwzględność, tak istotną w osiągnięciu sukcesu. Ty się nigdy nie zmienisz, Paul. Nawet gdybyś bardzo tego pragnął. Nasze dyskusje... co będziemy robić, jak to się skończy... to złudne marzenie.

Ścisnął ją mocno za ramię, ogarnęła go wściekłość.

— Ale ja mogę się zmienić. Obiecuję ci, Anno! Po skończeniu tej roboty, wycofuję się z całej gry na zawsze.

Pogłaskała go czule po twarzy i potrząsnęła głową.

— Nie, Paul, nie zmienisz się. Ty i ja, ten myśliwski domek, wszystko, przez co przeszliśmy w ciągu kilku ostatnich dni... jest pozbawione realności. Któregoś dnia, kiedy o tym wspomnisz, będzie to po prostu coś, co się zdarzyło dawno temu. — Roześmiała się lekko. — Jak brzmi ten wiersz w jednej ze sztuk Marlowe'a? „Ale zdarzyło się to dawno temu i w innym kraju...”

Przyciągnął ją do siebie i przytulił, a złość i poczucie bezsensu aż w nim kipiały; nagle usłyszał niewątpliwy odgłos zwalniającego samochodu na drodze.

Próbując uwolnić się z jego objęć, powiedziała:

— Już chodźmy, Paul. Chyba przyjechał Sir George.

Znowu chciał ją przytulić, ale oparła się zdecydowanie, była nieugięta. Wzruszył więc ramionami i wypuścił ją z objęć. Odwróciła się bez słowa, opuścili myśliwski domek i skierowali się

pośród drzew w stronę szosy.

12

W drodze powrotnej do Hamburga jechali z dużą szybkością. Anna z zamkniętymi oczyma siedziała skulona w rogu na tylnym siedzeniu, podczas gdy Chavasse rozmawiał z Sir George'em.

— Nie wyobraża sobie pan, jak bardzo jestem wdzięczny — mówił Chavasse.

Sir George prychnął.

— Nonsens, mój drogi. Jak już panu mówiłem, cieszę się, gdy mogę pomóc. Muszę przyznać, że nie wygląda pan kwitnąco.

Chavasse uśmiechnął się.

— Raczej nie obracałem się w zbyt przyjacielskiej kompanii.

— Czy nastąpiły jakieś nowe wydarzenia w sprawie Schultza?

Chavasse kiwnął potakująco głową.

— Udało mi się dowiedzieć, że Schultz zmarł kilka miesięcy temu. Co do rękopisu, to znajduje się zapewne u siostry Mullera.

— Ma pan z nią jakiś kontakt? — spytał Sir George.

— Raczej nie — odparł Chavasse. — W każdym razie mamy w tej chwili do załatwienia ważniejsze sprawy. Chciałbym pana prosić, żebyśmy najpierw podrzucili pannę Hartmann do jej mieszkania, a potem pojedziemy do Atlantic. Pozwoliłem sobie zorganizować spotkanie z kimś z niemieckiego wywiadu w pańskim apartamencie. Ufam, że nie ma pan nic przeciwko temu?

— Ani trochę — odparł Sir George. — Ale sprawy nabierają rumieńców, skoro zdecydował się pan zaprosić Niemców?

Chavasse potwierdził.

— Odkryłem jeszcze coś innego, w co zamieszane są bardzo grube ryby. W obecnych okolicznościach nie mogę z panem rozmawiać na ten temat, muszę się najpierw zobaczyć z owym człowiekiem z wywiadu. Jest to bowiem coś, co bezpośrednio ich dotyczy.

— Doskonale rozumiem — odparł pogodnie Sir George. — Mimo wszystko musi się stać zać dość formalnościom, a ci z Kontynentu są zawsze tacy drażliwi. Niech pan pamięta, że gotów jestem zrobić wszystko, co w mojej mocy. — Westchnął. — Będę bardzo żałował, jak przyjdzie czas wracać do domu, Chavasse. Podobała mi się ta mała wycieczka.

Chavasse uśmiechnął się szeroko i ułożył swoje obolałe ciało w wygodniejszej pozycji. Przy-

mknął oczy rozmyślając o Annie i o tym, co powiedziała. Czy to rzeczywiście prawda? Czyżby faktycznie był czymś w rodzaju dwudziestowiecznego najemnika, który zabawia się w tę grę, mając tylko siebie samego na względzie? Nie znalazł odpowiedzi. Nawet nie był pewien, czy istnienie tego rodzaju człowieka to taka zła rzecz.

Wciąż o tym rozmyślał, gdy wjechali na przedmieście Hamburga. Sir George skierował się prosto do centrum, przejechał Alster przy Lombardsbrucke i Chavasse dalej wskazywał mu drogę. Dochodziła za kwadrans szósta, gdy skręcili w cichą boczną uliczkę i zatrzymali się przed domem Anny.

Ciągle jeszcze drzemała, nawet gdy Chavasse wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. Dotknął jej ręki i natychmiast otworzyła oczy spoglądając na niego nieprzytomnym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się.

— Przepraszam, jestem tak zmęczona, że mogłabym spać przez tydzień. — Zwróciła się do Sir George'a: — Mogę się przyłączyć do podziękowań Paula? Nie wiem, co byśmy zrobili bez pańskiej pomocy.

Wyciągnął do niej rękę, a na twarzy jego malował się podziw.

— Jest pani wyjątkowo odważną młodą kobietą. Służyć pani to przyjemność i prawdziwa satysfakcja.

Splonęła rumieńcem i wysiadła z samochodu bez słowa. Chavasse poszedł za nią do drzwi.

— Chciałbym, żebyś siedziała w domu do mego powrotu. Mogę wrócić raczej późno, gdyż będę próbował coś wyszperać na temat tego Hauptmanna.

Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Nie sądzę, że mogłabym gdzieś wychodzić, nawet gdybym chciała. Napiję się czegoś gorącego i położę się na chwilę.

Pocałował ją lekko w usta.

— To tylko na zadatek. Jak już wszystko się ułoży, musimy porozmawiać poważnie o przyszłości, rozumiesz?

Była zbyt skonana, by się spierać.

— Jak chcesz, Paul.

Weszła po schodach do frontowych drzwi. Otworzyła je i odwróciwszy się przesłała mu uśmiech, uśmiech, który go głęboko poruszył i wzbudził bolesne pragnienie, by wziąć ją w ramiona. Przez chwilę stał jeszcze, spoglądając na zamknięte już drzwi, po czym wrócił do samochodu.

— To nadzwyczajna młoda osoba — zauważył Sir George, gdy odjeżdżali. — Cudowna do interesów.

— Nie tylko do interesów — odparł Chavasse.

Sir George uśmiechnął się.

— Czyżbym wyczuwał w powietrzu powiew romansu?

Chavasse potaknął.

— Mam taką nadzieję. Zamierzam wycofać się z tej gry, jak tylko sprawa Schultza pomyślnie się zakończy.

— Bardzo rozsądnie — przyznał Sir George. — Nie może pan trwać w tym wiecznie.

Była to trzeźwa myśl. Chavasse przypomniał sobie pewnych ludzi, których poznał w czasie swojej pięcioletniej współpracy z Biurem. To powszechna ludzka słabość uważać, że jest się mądrzejszym od innych albo że tobie nie może się nic przydarzyć. Ilu ze znanych mu inteligentnych, zaradnych ludzi nie udało się powrócić z takiej czy innej przyczyny? Pewnego dnia i na niego przyjdzie kolej, bo wcześniej czy później każdy popełnia omyłkę. Postąpiłby słusznie, gdyby wycofał się jeszcze w trakcie aktywnej działalności. Wciąż rozmyślał o tym, kiedy dojechali do Atlanticu.

Sir George zajmował apartament w tym słynnym hotelu na drugim piętrze. Gdy jechali windą, spojrzął z niepokojem na zegarek.

— Obawiam się, że muszę zostawić pana samego z tym facetem z niemieckiego wywiadu.

Mam spotkanie o siódmej. Pozostało mi zaledwie tyle czasu, by się przebrać w smoking.

Nagle Chavasse'owi przyszła pewna myśl do głowy i spytał obojętnie:

— Czy wybiera się pan na to przyjęcie i bal, jakie wydaje Kurt Nagel na cześć delegatów Konferencji Pokojowej?

Sir George uniósł brwi w zdumieniu.

— Tak, a skąd pan wie?

— Czytałem gdzieś o tym w gazecie — odparł.

— Uważam, że konferencja zawdzięcza swój sukces przede wszystkim Nagelowi — powiedział Sir George otwierając drzwi swego apartamentu. — Czy wie pan coś na jego temat?

Chavasse potrząsnął głową.

— Nie mogę powiedzieć, żebym coś wiedział, ale dopiero przez ostatnie kilka dni mam styczność z niemiecką sceną.

Sir George zaproponował mu, aby sobie zrobił drinka, a sam zniknął w sypialni. Chavasse przejrzał butelki na bocznym stoliku, nalał sobie koniaku i wzięwszy papierosa ze srebrnej szkatułki rozsiadł się w fotelu. Miał już sięgnąć po gazetę, gdy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i natychmiast rozpoznał głos Anny. Była najwyraźniej podniecona.

— Paul, to ty?

— Co takiego? — Spytał. — Czy coś się stało?

— Jakies dziesięć minut temu przyniósł mi portier paczkę mówni. — Została doręczona poranną pocztą. Kiedy zdjęłam z wierzchu papier, stwierdziłam, że wewnątrz jest list i następna zala-

kowana paczka.

W przypiływie nagłego podniecenia już wiedział, jaka będzie odpowiedź na następne pytanie, jeszcze zanim je zadał.

— Niech zgadnę... list jest od Katie Holdt?

— Zgadłeś — odparła Anna. — Pisze, że musi wyjechać, i prosi mnie, żebym zaopiekowała się tą paczką. Mimo wszystko mój czas w Tadź Mahal, jak widać, nie był zmarnowany. Gdybym przeczytała lub usłyszała, że coś się z nią stało, to mam wysłać paczkę do rządu w Bonn.

— Nie muszę mówić, że już ją otworzyłaś — powiedział Chavasse.

Roześmiała się.

— Oczywiście... jak każda kobieta jestem straszliwie ciekawa. Pismo Schultza wygląda raczej czytelnie. Jeśli cię to interesuje, jest nim gęsto zapisane przeszło czterysta stron. To będzie wielce interesująca lektura. Czy mam przywieźć?

— Nie, zostań tam, gdzie jesteś — zaprotestował. — Ja mam ciągle jeszcze do załatwienia sprawę Hauptmanna. Vo n Kraul dotąd się nie zjawił. Przyjdę natychmiast, jak to tylko będzie możliwe. Tymczasem prześpij się, tak jak mówiłaś.

Zachichotała.

— Nic z tego. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak wyspana. Zamierzam ułożyć się na kanapie z dobrą książką i czekać na twój powrót.

Odłożył słuchawkę na widełki i odwróciwszy się ujrzał stojącego na środku pokoju Sir George'a, zawiązującego muszkę.

— Chyba nie był do mnie? — spytał.

Chavasse zaprzeczył ruchem głowy.

— To była Anna. Może pan wierzyć lub nie, ale rękopis się znalazł.

— A niech mnie diabli! — wykrzyknął Sir George. — Jak się to stało?

Chavasse opowiedział o Katie Holdt.

— Przypuszczam, że wpadła w panikę i postanowiła na jakiś czas zniknąć. Zostawienie rękopisu u Anny mogłoby oznaczać dobre zabezpieczenie przed opozycją, gdyby ją dopadli. A w razie jakby coś jej się stało, zawsze może blefować, że rękopis otrzymały osoby wysoko postawione w rządzie.

— Tak, myślę, że tak to należy tłumaczyć. — Sir George nałożył płaszcz i westchnął. — Jakże bym chciał nie pójść na to cholerne przyjęcie, teraz, kiedy sprawy stają się tak ekscytujące. Mam nadzieję, że pozwoli mi pan zajrzeć do rękopisu, nim dojdzie do rąk osobistości.

— Chyba możemy to załatwić — odparł Chavasse.

— No cóż, naprawdę muszę się już spieszyć — powiedział Sir George. — Proszę się nie krępować i dzwonić po służbę, jeśli cokolwiek będzie pan potrzebował.

Kiedy wyszedł, Chavasse znów nalał sobie drinka. Przepętniało go uczucie szalonej radości. Robota była równie dobra, jak zakończenie. Zabranie rękopisu do Londynu było już zadaniem czy-
sto rutynowym. Pozostała tylko sprawa Hauptmanna.

Prawdę powiedziawszy tym powinien się zająć wywiad niemiecki, lecz on wciąż jeszcze był osobiście zainteresowany, chciał zobaczyć, jak Steiner i Nagel dostają to, na co zasłużyli. W tym momencie rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Chavasse podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

Stał przed nim mężczyzna po pięćdziesiątce. Ubrany był w granatowe palto z futrzanym kołnierzem, a w ręku trzymał laskę. Miał twarz okrągłą i dobronudszą, a nieznaczące worki pod oczami i podwójny podbródek mogły świadczyć o tym, że kocha jeść. Okulary bez oprawki dopełniały obraz godnie wyglądającego przeciętnego niemieckiego biznesmena. Jedyne oczy, bystre, lustrujące i niespokojne, świadczyły, że to wy-trenowany obserwator.

— Domyślam się, że Herr Chavasse? — powiedział po niemiecku. — Jestem pułkownik von Kraul.

— Jak mnie pan poznał? — zdziwił się Chavasse zamykając drzwi za Niemcem, gdy weszli do pokoju.

Vo n Kraul wzruszył ramionami i usiadł w fotelu.

— Mamy pana dossier w naszych archiwach. Słyszałem o panu bardzo wiele, mój przyjacielu. Ojciec Francuz, a pan były wykładowca uniwersytecki, genialny językoznawca. Wyjątkowo się panu szczęściło, odkąd pan przystąpił do tej szczególnej zabawy. Właśnie dlatego zjawiłem się natychmiast, jak tylko nasz wspólny przyjaciel zatelefonował do mnie z Londynu.

Ufam, że mój czas nie będzie stracony.

— Sam pan może to osądzić — oświadczył Chavasse ponuro. — Co by pan powiedział, jak ważny jest Hauptmann dla przyszłości Niemiec?

Vo n Kraul zapalał długie, czarne cygaro. Zawahał się przez ułamek sekundy, po czym wrócił do cygara i po chwili odpowiedział:

— Heinrich Hauptmann, ten polityk? — wzruszył ramionami. — Nie ma człowieka niezastąpionego, ale obecnie w niemieckich sferach politycznych Hauptmann może być uważany za takiego.

— Mają go zamiar sprzątnąć dziś wieczorem o dziewiątej piętnaście — oznajmił Chavasse.

Przez dłuższą chwilę von Kraul wpatrywał się w niego z powagą, następnie westchnął i spojrzał na zegarek.

— Jest teraz dokładnie siódma. Zostają nam dwie godziny i kwadrans, Herr Chavasse. Proponuję, by mi pan opowiedział możliwie szybko wszystko, co pan wie na ten temat.

Chavasse zapalił papierosa i wstał z fotela.

— Czy zna pan człowieka nazwiskiem Kurt Nagel?

— Tego magnata stalowego? — Von Kraul skinął potwierdzająco głową.

— To bardzo znana postać w Hamburgu. Jest niezmiernie bogaty i wielki filantrop. Wydaje dzisiaj u siebie w Blankenese przyjęcie dla delegatów Konferencji Pokojowej.

— Na które Hauptmann jest również zaproszony, by wygłosić przemówienie — wtrącił Chavasse.

Po raz pierwszy spokój opuścił von Kraula.

— Chce pan powiedzieć, że Nagel ma coś wspólnego z tą sprawą?

— Chavasse skinął twierdząco głową.

— Jest on kluczową postacią w nazistowskim podziemiu. Nie wiem, jak wielka jest jego organizacja, ale mogę panu powiedzieć, kim są jego najbliżsi współpracownicy.

— Bardzo proszę. Jestem pewien, że może się to okazać niesłychanie interesujące.

— Kruger, lekarz, który prowadzi klinikę w Blankenese, i hamburski inspektor policji, nazwiskiem Steiner.

Von Kraul podniósł się i podszedł do stolika, na którym stały butelki; pewnym ruchem ręki nalał sobie sporo koniaku. Wypił do dna jednym haustem i zapatrzył się z zadumą w pusty kieliszek.

— Od kogoś innego przyjąłbym taką wiadomość z niedowierzaniem. Na szczęście dla pana, mein Herr, nazywa się pan Paul Chavasse.

— Na szczęście dla Hauptmanna, chciał pan chyba powiedzieć.

Von Kraul powrócił na swój fotel.

— Jak właściwie ma się dokonać to zabójstwo?

Chavasse przymknął oczy i powrócił myślami do zamku Berndorf i pokoju, w którym umarł Muller. Był to stary trick i jedyny, który mu dobrze służył w przeszłości.

— Próbuję sobie przypomnieć dokładnie instrukcje Nagela. — i po chwili zaczął mówić.

Kiedy skończył, von Kraul siedział w fotelu, z rękami złożonymi na rączce laski, i wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Po chwili odezwał się z wolna:

— To Steiner ma tam przybyć na własną rękę. Jest pan tego pewien?

Chavasse potwierdził.

— To właśnie kwintesencja całego planu... jego prostota.

— Ale prosty plan może zostać równie łatwo pokrzyżowany — oznajmił von Kraul. — Czy nie jest to logiczne, Herr Chavasse?

— Co pan ma na myśli?

Von Kraul wzruszył ramionami.

— Myślę o tym, iż nie chcemy skandalu, zwłaszcza takiego, który by sugerował, że naziści są wciąż czynni i silni. Takie rzeczy to tylko woda na młyn naszych komunistycznych przyjaciół.

— Co do tego zgadzam się z panem — przyznał Chavasse — ale gdzie my mamy działać?

— W podziemiach rezydencji Herr Nagela w Blankenese — odparł von Kraul ze spokojem. — Wydaje mi się, że dwóch zdecydowanych ludzi może bardzo łatwo uporać się z tą sprawą. Jest pan tym zainteresowany, przyjacielu?

Chavasse podniósł się z fotela, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Ma pan cholerną rację, że jestem zainteresowany!

— Wobec tego proponuję, żebyśmy to opili.

Chavasse rozlał koniak do dwóch kieliszków i jeden podał von Kraulowi. Pułkownik przypił do niego w milczeniu i opróżnił kieliszek. Stawiając go na stole powiedział:

— Wie pan, przyjacielu, że w pańskim opowiadaniu są poważne luki, a ja jestem człowiekiem, który z natury rzeczy posiada skrupulatny umysł. Jak w przyrodzie, nie znoszę próżni. Byłbym nie-słuchanie ciekaw się dowiedzieć, jak po raz pierwszy wciągnął się pan w sprawę Nagela i jego przyjaciół.

Chavasse właśnie nakładał na siebie myśliwską kurtkę, którą zabrał z gospody w Berndorf, i uśmiechnął się czarująco.

— Doskonale pan wie, pułkowniku, i nie musi pan mnie o to pytać, prawda?

Von Kraul podniósł się i westchnął.

— Mimo wszystko jesteśmy sprzymierzeńcami, przyjacielu. Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy wobec siebie mogli być szczerzy. — Otworzył drzwi. — Idziemy?

Miał czarnego Porsche'a, którego prowadził z ogromną wprawą, gdy jechali przez zatłoczone centrum miasta, aż znaleźli się na Alster przy Lombardsbrücke.

Chavasse spojrział na zegarek, była godzina siódma trzydzieści. Zwracając się do swego towarzysza podróży spytał:

— Ile czasu zabierze nam jazda do zamku?

Von Kraul wzruszył ramionami.

— Dwadzieścia minut, a może nawet pół godziny. Z pewnością nie więcej.

Chavasse podjął szybką decyzję.

— Chciałbym wpaść do przyjaciółki, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Po prostu, żeby wiedziała, że mogę wrócić trochę później, niż mówiłem.

Von Kraul zachichotał.

— Kobiątka, co? Czy długo to potrwa?

Chavasse potrząsnął przecząco głową.

— Tylko dwie minuty, obiecuję, a jest to dla nas po drodze.

Von Kraul nie robił dalszych uwag, gdy Chavasse podał mu adres i jechali w milczeniu przez ruchliwe ulice. Był piękny jesienny wieczór, deszcz przestał padać. Chavasse uchylił w oknie szybę i zapalił papierosa w nagłym przypiływie zadowolenia. Coraz częściej miał uczucie, że sprawy ukła-

dają się po jego myśli, że robota zakończy się w taki sposób, jak chciał.

Kiedy auto zatrzymało się przed domem Anny, Chavasse wysiadł, czując się nedorzecznie szczęśliwy; uśmiechnął się szeroko do von Kraula przez boczne okienko.

— Będę tylko dwie minuty.

Von Kraul uśmiechnął się, trzymając w zębach cygaro.

— Nie spiesz się, przyjacielu. Oczywiście, tylko bez przesady.

Wbiegł po dwa stopnie na górę, nacisnął dzwonek i czekał, nucąc pod nosem. Nie było żadnej odpowiedzi, więc po chwili znów zadzwonił. I ponownie nikt się nie odezwał. Próbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz; zmarszczył brwi i trzymał dzwonek naciśnięty tym razem trochę dłużej, gdyż pomyślał, że może się akurat kąpie.

Nagle ogarnął go jakiś dziwny strach. Kilkakrotnie zastukał w drzwi, wołając jej imię, ale w dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Wtem zdał sobie sprawę ze szczególnej ciszy, jaka panowała w całym domu.

Zszedł szybko na dół i zapukał do dozorca. Początkowo nie było żadnej reakcji, kopnął więc z wściekłością w drzwi i wtedy usłyszał zbliżające się powoli niepewne kroki.

Drzwi się uchyliły i wyjrzał dozorca.

— Słucham, mein Herr, co takiego?

— Panna Hartmann — zaczął Chavasse. — Ta młoda kobieta z pierwszego piętra. Nie odzywa się.

Dozorca był mężczyzną w średnim wieku o wodnisto niebieskich oczach i pomarszczonej, obwisłej twarzy. Wzruszył ramionami.

— To nic dziwnego, mein Herr. Fraulein Hartmann wyszła jakąś godzinę temu.

Chavasse wepchnął ramię między drzwi z taką siłą, że dozorca poleciał przez pokój i uderzył w przeciwległą ścianę. Rozległ się krzyk trwogi, gdy Chavasse pospieszył za nim, a siwowłosa kobieta skurczyła się na krześle, zakrywając usta.

Chavasse chwycił przerażonego dozorcę za koszulę i przyciągnął do siebie.

— Kłamiesz! — krzyknął. — Wiem na pewno, że żadna siła na ziemi nie zmusiłaby jej do wyjścia z mieszkania akurat właśnie teraz. — Uderzył mężczyznę w twarz. — Gdzie ona jest?

Dozorca kręcił bezradnie głową z boku na bok.

— Nie mogę panu powiedzieć, mein Herr. Gdybym to zrobił, ryzykowałbym własnym życiem.

Chavasse znów go uderzył, ze złością i z całej siły. Kobieta rzuciła się przez pokój i uczepliła jego ramienia.

— Niech pan go zostawi. Powiem panu wszystko, co pan będzie chciał, tylko niech go pan więcej nie bije. To chory człowiek. Był ranny pod Stalingradem.

Chavasse rzucił dozorcę na krzesło i zwrócił się do kobiety.

— Dobrze, niech pani mówi i lepiej, żeby to była prawda.

Gdy już otwierała usta, jej mąż wykrzyknął z rozpaczą:

— Na miłość boską, milcz! Pamiętaj, czym groził, jeśli powiemy.

— Wiem, co robię, Willi — odparła i zwróciła się ponownie do Chavasse'a. — Jakies dwa-
dzieścia minut temu podjechał samochód. Było w nim dwóch mężczyzn, ale tylko jeden wysiadł.

— Skąd pani to wie? — spytał Chavasse.

— Widziałam ich przez okno. Ten, który wszedł, zapukał do drzwi i mąż mu odpowiedział.

Chciał wiedzieć, jaki jest numer mieszkania Fraulein Hartmann. Kilka minut potem usłyszeliśmy
krzyk i kiedy wyszliśmy na korytarz, on włókł ją po schodach.

Chavasse przymknął na chwilę oczy i wciągnął głęboko powietrze.

— Dlaczego nie wezwaliście policji?

— Zagroził nam, mein Herr — rzekła po prostu. — Powiedział, że w najlepszym razie mój mąż
straci posadę.

— I wyście mu uwierzyli? — spytał Chavasse pełen odrazy.

Skinęła głową.

— Tacy ludzie mogą zrobić wszystko, mein Herr. Są wszędzie dokoła nas. Jaką szansę mają
tacy biedni ludzie jak my, żeby im się przeciwstawić? Wpędzili nas w ostatnią wojnę... i znów nam
każą walczyć, nim sami się wykończą.

Świat jutra — pomyślał. — Świat jutra.

Odwrócił się od niej; wznosiła w nim nagła, pozbawiona logiki nienawiść do wszystkiego, co
niemieckie. Poszła za nim do drzwi i podała mu klucz.

— To jest klucz uniwersalny, mein Herr. Zapewne będzie pan chciał obejrzeć mieszkanie.

Bez słowa wziął klucz i poszedł wolno na górę. Nie zostało w nim ani krzty życia, lecz otworzył
drzwi i zapalił światło.

Musiła stoczyć niemałą walkę, co rzucało się w oczy. Dywan był ściągnięty, stół na środku po-
koju leżał przewrócony, telefon spadł na podłogę. Stolik i krzesło przy oknie znajdowały się na
zwykłym miejscu, hebrajski podręcznik i zeszyt leżały otwarte, jakby właśnie się uczyła i tylko na
chwilę wyszła z pokoju.

Zajrzał do sypialni. Najwyraźniej tu musiała się przebierać, gdyż części garderoby leżały niedba-
le rozrzucone na łóżku. Podniósłszy z podłogi nylonową pończochę, stał trzymając ją w obydwu
rękach i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Po chwili rzucił ją na łóżko i wracając
do saloniku natknął się na pułkownika von Kraula, który właśnie ustawiał na miejsce przewrócony
stół.

— Był pan tak długo, że zacząłem się już niepokoić — powiedział von Kraul, przenosząc telefon na biurko. — Pańska przyjaciółka wyszła?

— Tak. — Chavasse powoli skinął głową. — Obawiam się jednak, że nie wróci.

— Wygląda na to, że toczyła się tutaj jakaś walka — stwierdził Niemiec. — Czy nie sądzi pan, że dobrze byłoby wprowadzić mnie we wszystko, mój przyjacielu? Kto wie, czy nie ma to związku ze sprawą, którą rozpracowujemy?

Chavasse usiadł i zakrył twarz rękoma. Po paru minutach podniósł wzrok i zaczął mówić:

— Teraz już chyba nie ma sensu utrzymywać tego w tajemnicy, prawda?

— Rzeczywiście — przyznał Kraul. — Przecież może się okazać, że jestem w stanie pomóc.

— Wydaje mi się, że jednak nie — zaprzeczył Chavasse. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę, którą zaczynała spowijać ciemność. — Przyjechała do Niemiec, aby odnaleźć Caspara Schultza. Dowiedzieliśmy się, że żyje i że napisał pamiętnik.

Oczy von Kraula lekko się zwężiły, ale jego twarz pozostała spokojna. Jedynym świadectwem jego zdumienia były pobielełe kostki u rąk, które zacisnął mocno na lasce.

— I okazało się to prawdą?

Chavasse przytaknął.

— Dla wyjaśnienia... Schultz zmarł kilka miesięcy temu w jakiejś wsi w górach Harzu. Spędził jednak większość powojennych lat w Portugalii. Jego lokaj, człowiek nazwiskiem Muller, był w posiadaniu rękopisu tego pamiętnika i chciał na tym trochę zarobić. Zgłosił się do niemieckiej firmy wydawniczej, ale ściągnął sobie na głowę nazistowskie podziemie. Potem zwrócił się do brytyjskiego wydawnictwa i w ten sposób trafiliśmy na jego ślad.

— Czy kiedykolwiek spotkał się pan z Mullerem? — spytał von Kraul.

— Tak, w mojej obecności Steiner i jeden z jego ludzi zatłukli go na śmierć w zamku Nagela w Berndorf.

— Zaczyna to być ogromnie skomplikowane — przyznał von Kraul. — A co ma z tym wspólnego ta młoda kobieta, z którą miał się pan tutaj spotkać?

— Pracowała dla tajnej izraelskiej organizacji podziemnej. Działają w niej ludzie tego pokroju co tropiciele Eichmanna, którzy go porwali z Argentyny.

— Ach tak — powiedział sucho von Kraul. — Czyli że i ona, i jej przyjaciele także tropili Schultza. Wkrótce okaże się, że wszyscy byli zaangażowani w tę aferę... oprócz wywiadu niemieckiego.

— Dzwoniła do mnie do hotelu Atlantic jakąś godzinę temu — mówił dalej Chavasse. — Bez wchodzenia w szczegóły, w jaki sposób i dlaczego, w każdym razie znalazła ten rękopis u siebie, kiedy wróciła dziś wieczorem do domu. Został jej przekazany pocztą.

— Pewnie po to naziści się tutaj zjawili — stwierdził von Kraul.

Chavasse potrząsnął głową.

— Wydaje mi się jednak, że szukali Anny. To przypadek, że znalazła się w posiadaniu rękopisu.

— Musi to być interesująca lektura.

— O tak — potwierdził Chavasse. — Sądzę, że Schultz zrobił publiczne pranie brudów i podał nazwiska. Ludzi, którzy zawsze twierdzili, że nigdy nie wspierali Hitlera... i to ludzi ważnych.

— Pewnie i Nagel jest w to wmieszany — zastanawiał się von Kraul.

— Myślę, że Schultz poświęcił mu cały rozdział — powiedział z goryczą Chavasse i w tym momencie zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

— Słucham, kto mówi? — spytał, choć dobrze wiedział kto.

Głos Steinera zabrzmiał szyderczo.

— Raczej zbyteczne pytanie. Przecież na pewno spodziewał się pan mojego telefonu.

— A skąd pan wiedział, że jestem tutaj?

— Ponieważ od naszego wyjścia mieszkanie jest stale obserwowane — mówił Steiner ze spokojem i pewnością siebie.

— Skończmy z tym bezsensownym gadaniem i przystąpmy do rzeczy — uciął Chavasse. — Co zrobił pan z dziewczyną?

— A jednak nie jest pan aż tak bystry, jak sądziłem, Chavasse. — Steiner roześmiał się nieprzyjemnie. — Pozwolił nam pan śledzić siebie przez całą drogę z Berndorf aż do mieszkania dziewczyny. Doprawdy, co za nieostrożność!

— Ma pan już rękopis — oświadczył Chavasse. — Czego jeszcze chcecie?

— Ach tak, rękopis. To łaska Opatrzności, że miała go u siebie, kiedy się zjawiliśmy. Z pewnością zainteresuje to pana, że puściliśmy go z dymem w mieszkaniu, z którego teraz mówię. Doskonale się palił.

Chavasse usiadł. Na czole wystąpiły mu krople potu, w pokoju zrobiło się nagle nieznośnie gorąco. Odchrząknął.

— Już dostał pan to, czego chciał. Dlaczego nie wypuszcza pan dziewczyny? Przecież nic z jej strony panu nie grozi.

— Właśnie zamierzam to zrobić, ale przy pana współpracy, oczywiście.

Vo n Kraul przykucnął obok Chavasse'a, przysuwając ucho jak najbliżej słuchawki, i spojrzał w górę wzrokiem pozbawionym wyrazu.

Chavasse zwilżył usta.

— Co chce pan, abym zrobił?

— Cieszę się, że jest pan rozsądny — ciągnął Steiner. — Szczerze mówiąc, znudziliśmy się już panem. Wolelibyśmy, aby pan opuścił Niemcy. Skoro sprawa Schultza została zakończona, chyba nic pana tu nie trzyma. Samolot do Londynu odlatuje o dziesiątej. Jeśli przyrzeknie mi pan, że już nie będzie nam pan sprawiał więcej kłopotów, może pan razem z dziewczyną odlecieć tym samolotem.

— Skąd mam mieć pewność, że mogę panu zaufać? — spytał Chavasse.

— Rozumiem pana wątpliwość — odparł Steiner — ale jeśli chce pan skorzystać z tej szansy, niech się pan zjawi przy stacji Altona o godzinie dziewiątej. Będzie tam czekał na pana samochód i przywiezie pana do dziewczyny.

— Raczej zawiezie do spokojnego grobu — skomentował to Chavasse.

— Jak pan uważa — odezwał się Steiner lodowatym głosem. — Proszę się zdecydować szybko. Mam niewiele czasu do stracenia.

Chavasse spojrzał na von Kraula, w oczach Niemca pojawiło się współczucie. Chavasse otarł pot z czoła wierzchem dłoni i powiedział zdesperowany:

— Jaką mam gwarancję, że dziewczyna jeszcze żyje?

— Sam może się pan przekonać.

Chavasse usłyszał przytłumioną rozmowę na drugim końcu linii, a potem głos Anny, czysty i spokojny, ale dziwnie daleki.

— Czy to ty, Paul?

Z jakiegoś powodu ścisnęło go w gardle, z trudem wykrztusił z siebie słowa:

— Przykro mi, Anno. Okropnie wszystko pogmatwałem.

— Nie słuchaj ich, kochanie — odezwała się spokojnie. — Chcą cię zabić.

Usłyszał jakiś zgiełk, krzyknęła, kiedy wyrwali jej słuchawkę. Dobiegły go odgłosy szarpaniny i alarmujący krzyk Steinera:

— Zatrzymaj ją, ty głupcze! Biegnie do okna!

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a następnie trzy strzały, wszystkie prawie jednocześnie.

Każdy uznałby, że był to jeden strzał, tylko ekspert mógł je ocenić właściwie.

Chavasse poderwał się na nogi, słuchawka przykleiła mu się do ucha, przeszył go zimny dreszcz. Na drugim końcu linii rozległ się lekki trzask, a potem spokojny głos Steinera:

— Nasze układy skończone. Chyba już nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

Chavasse rzucił słuchawkę na widełki, nie mógł pozbierać myśli. Poczul na ramieniu rękę von Kraula.

— Radzę panu usiąść, przyjacielu.

— Zaraz poczuje się lepiej, jeszcze chwilę, przejdzie mi — wykrztusił z siebie Chavasse i odsunął jego rękę.

Rozejrzał się po pokoju i poszedł do kuchni. Desperacko przeszukał kredens, aż znalazł na dolnej półce pół butelki polskiej wódki. Wyciągnął zębami korek i odgiął do tyłu głowę.

Alkohol palił go w żołądku, zakasłał i pochylił się nad zlewem. Von Kraul stanął przy nim.

— Już lepiej?

Chavasse odwrócił się i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

— Zrobiła to świadomie. Sprowokowała go do strzału. W ten sposób rozwiązała za mnie mój problem.

— To musiała być wspaniąta dziewczyna — skomentował pułkownik von Kraul.

Chavasse w poczuciu bezsilnej złości cisnął butelkę do zlewu i chwycił von Kraula za kłapy marynarki.

— Chcę tylko jednej rzeczy, zacisnąć ręce na gardle Steinera. Nic mnie nie obchodzi, co się stanie potem.

Von Kraul delikatnie się wyswobodził.

— Proponuję, abyśmy już wyszli. Mamy niewiele czasu.

Chavasse podążył za nim bez słowa. Wydawało mu się, że mózg zamarł mu kompletnie, tak że widok ulic i wszelkie odgłosy, kiedy jechali w stronę Blankenese, w ogóle do niego nie docierały.

Wyglądając przez szybę uświadomił sobie, że gdy ostatnim razem tędy przejeżdżał, siedziała obok niego Anna. Kiedy dotarli do Blankenese i minęli stację, spojrzał w kierunku Elby, a wtedy przypomniał sobie kawiarnię na Strandweg, oświetlony bulwar, Annę w jego ramionach i plany na przyszłość, jakie wtedy snuli. Miał poczucie, że to wszystko się nigdy nie zdarzyło, był to już prawie zapomniany sen, który szybko przeminął, i kiedy usiłował sobie odtworzyć obraz Anny, okazało się to niemożliwe.

Dom Nagela był ogromną imponującą rezydencją, a jej dziedziniec opadał ku Elbie. Ulica przed głównym wejściem była zastawiona zaparkowanymi samochodami. Von Kraul podjechał do końca ulicy i skręcił w małą, ciemną cul-de-sac, gdzie zahamował i wyłączył światła.

— Taras sali balowej znajduje się na tyłach domu, skąd rozciąga się widok na rzekę — objaśnił von Kraul. — W żywopłocie jest furtka, z której korzystają głównie kupcy i która dla nas będzie najdogodniejsza.

Odnalazł ją bez trudu, weszli przez nią i skierowali się przez rozległy trawnik w stronę wielkiej rezydencji. Jarzyła się światłami, kilka okien było uchylonych, przez które dochodziły odgłosy rozmów i beztróskiego śmiechu.

Taras wznosił się około dwóch metrów nad poziomem całego terenu i obrośnięty był na całej długości krzewami rododendronów. Na wszystkich oknach sali balowej były zaciągnięte zasłony, ale

mimo to blask światła przesączał się tu i ówdzie w zimny mrok nocy.

Znaleźli stół i krzesło na końcu tarasu od strony północnej. Zaszyli się w krzakach pod tarasem.

— Proste, ale i niesłychanie sprytnie — rzekł von Kraul. — Jeśli ktoś niespodziewanie pojawi się na tarasie, Steiner z tego miejsca może strzelać wprost do celu, sam pozostając niewidoczny.

Chavasse w milczeniu spojrział na zegarek. Była za kwadrans dziewiąta. Przykucnął w krzakach obok von Kraula i czekał. Nagle ogarnął go spokój. Słaby powiew wiatru przyniósł zapach rzeki i wyraźny, jednostajny szum maszyn przepływającego statku.

Usłyszał kroki Steinera wcześniej niż von Kraul i zerwał się na nogi, wyjmując ręce z kieszeni. Stali obaj ukryci w krzakach, Steiner zatrzymał się w odległości pół metra.

Promień światła przedostał się przez uchyloną zasłonę, spłynął na krzewy i opadł ukosem na ziemię. Steiner natychmiast przyklęknął na kolano, wyciągnął broń i wymierzył w niewielką rozlaną plamę światła. Trzymał w ręku Mausera z okrągłym tłumikiem.

— Ty draniu — odezwał się spokojnie Chavasse, a kiedy klęczący Steiner uniósł wzrok z przerażeniem, wytrącił mu pistolet nogą.

Steiner podniósł się wolno, a jego zęby zabłyśły w ciemności, bynajmniej nie z powodu radosnego uśmiechu.

— Wiedziałem od początku, kiedy po raz pierwszy spojrzałem na ciebie w pociągu, że będą z tobą kłopoty. Powinienem być wypalić ci między oczy wczoraj w Berndorf, Nagel jednak chciał jeszcze sobie poigrać. — Roześmiał się szorstko. — Ale załatwiłem twoją dziewczynę... jedna kula w plecy, dwie w brzuch.

Chavasse, ogarnięty furją, wymierzył mu kopniaka w krocze, ale Steiner odparł cios i pięścią uderzył Chavasse'a w policzek. Z nie zabliznionej jeszcze rany trysnęła krew.

W paroksyzmie bólu z trudem stłumił jęk i jak oszalały zamierzył się prawą ręką, chwytając Steinera z boku za gardło. Steiner natarł, obaj upadli na ziemię, ale Chavasse znalazł się pod spodem. Czuł ogromne łapy policjanta zaciskające mu się na gardle, napiął więc mięśnie szyi i zaczął odginać małe palce przeciwnika.

Steiner jęknął z bólu i zwolnił ucisk, a Chavasse odepchnął jego głowę i wykręcił mu szyję. Steiner potoczył się i upadł na plecy, jego twarz znalazła się w pełnym blasku światła.

Chavasse znowu ruszył na niego, sięgając mu do gardła, ale w tym momencie wysunęła się z ciemności ręka z Mauserem. Lufa zakończona tłumikiem znalazła się przy prawym uchu Steinera, rozległo się ciche, przytłumione kaszlnięcie. Ciało Steinera tylko raz drgnęło konwulsyjnie, a z jego oczu i nozdrzy pociekła krew.

Chavasse podniósł się, ogarnęła go nagle słabość. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał von Kraula:

— Ktoś idzie.

Skryli się natychmiast w krzakach, gdy uchyliły się jedne z oszklonych drzwi. Po chwili zostały starannie zamknięte, a na tarasie rozległy się kroki.

— Jesteś tam, Steiner? — zawołał cicho Nagel i przechylił się przez balustradę.

Nim Chavasse zdążył się ruszyć, von Kraul poderwał się i strzelił Nagelowi między oczy. Musiał zginąć na miejscu, bo przeleciał przez balustradę, głową w dół, prosto w krzaki.

— Teraz czym prędzej uciekajmy, przyjacielu — powiedział von Kraul.

Wyjął chustkę do nosa, starannie wytarł ślady swoich palców na Mauserze, po czym przyklęknął i położył palce prawej ręki Steinera na kolbie.

— A teraz niech się sprawa toczy własnym biegiem — oświadczył von Kraul i łagodnie popchnął przed siebie Chavasse'a.

Kiedy przemierzali trawnik, zaczął padać deszcz, minęli ścieżkę i furtkę w żywopłocie i wskoczyli do samochodu. Von Kraul wracał tą samą drogą, obok stacji Blankenese w kierunku Hamburga.

Niebawem zatrzymał się przy narożnej piwiarni mówiąc:

— Myślę, że zasłużyliśmy sobie na drinka, przyjacielu. Chavasse przytaknął i weszli do środka. Von Kraul podał mu cygaro i przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, pochyleni nad kieliszkami z koniakiem. Wreszcie von Kraul przerwał milczenie:

— Czuje się pan już lepiej?

Chavasse z trudem się uśmiechnął.

— Przykro mi, że zachowałem się jak nowicjusz rozpoczynający pierwszą pracę. Kiedy zaczął się puszyć, jak z nią postąpił, straciłem panowanie nad sobą.

— W tych okolicznościach jest to zrozumiałe — odparł von Kraul. — Ale mój sposób był lepszy. Inspektor policji, w nagłym ataku choroby psychicznej, zabija znanego przemysłowca z Hamburga, po czym sam popełnia samobójstwo. Właściwie nie jest to ważne, jaką oprawę dadzą tej historii, liczy się tylko rezultat.

— Ale właściwie dlaczego chciał pan to załatwić w ten sposób? — spytał Chavasse.

Von Kraul westchnął.

— Czy wyobraża pan sobie, jak trudno byłoby udowodnić słuszność pańskich zarzutów wobec Nagela? Nawet Steiner przysporzyłby nam niemało kłopotów. Niestety, tego rodzaju ludzie mają wielu bardzo wpływowych sympatyków. Batalia prawna mogłaby się ciągnąć przez całe lata.

— Chyba ma pan rację — przyznał Chavasse. — A tak to już koniec. Wrócę mając na swoim koncie niewielkie osiągnięcia. Najpierw śmierć Schultza, a potem jego pamiątki puszczane z dymem.

— Przyszedł pan z ogromną pomocą Niemcom, jeśli wolno mi wyrazić to w ten sposób — oświadczył pułkownik von Kraul.

Chavasse wzruszył ramionami i powiedział z goryczą:

— No tak, chyba może pan to w ten sposób wyrazić.

Von Kraul postawił ostrożnie kieliszek na stole, a kiedy znowu zaczął mówić, w jego głosie wyczuwało się pewne napięcie.

— Najprawdopodobniej akurat właśnie to ma dla pana najmniejsze znaczenie, prawda? Czy wciąż jeszcze toczymy ze sobą wojnę, choć skończyła się już piętnaście lat temu?

Chavasse'owi zrobiło się nagle przykro.

— Przepraszam, jeżeli wyraziłem swoje myśli zbyt obcesowo. Nie miałem takiego zamiaru.

Von Kraul wypił swój koniak i wpatrywał się w pusty kieliszek.

— Czy jest pan świadom faktu, że w każdym głosowaniu naziści zdobywają trzydzieści siedem procent głosów? — Muszę wyznać, że nie miałem o tym pojęcia — odparł ze zdziwieniem Chavasse.

— Wobec tego niech mi pan wyzna jeszcze jedno, ale naprawdę szczerze — odezwał się von Kraul. — Jest pan Francuzem z urodzenia, a Anglikiem z wyboru, reprezentuje więc pan dwa wielkie narody. Ilu ludzi spotkał pan w obu tych krajach, których uznałby pan za gorliwych członków SS albo podobnej organizacji?

— Piekielnie dużo.

— Dziękuję! — rzekł von Kraul z uśmiechem. — Może więc w przyszłości nie będzie nas pan osądzał tak surowo. — Wstał. — Wychodzimy, przyjacielu?

— Nie, zostanę chwilę i wypiję jeszcze jeden koniak. Proszę się o mnie nie martwić. Sam wrócę.

Von Kraul wyciągnął rękę.

— Spotkanie z panem, Herr Chavasse, było dla mnie prawdziwą przyjemnością. Może nasze drogi jeszcze się spotkają. Mam nadzieję. — Przez moment jakby się wahał, po czym dodał: — Niech mi pan wybaczy ten truizm, ale czas jest najlepszym lekarzem.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i wyszedł.

Chavasse zamówił następnego drinka i siedział jeszcze przez chwilę, zastanawiając się nad ostatnim stwierdzeniem von Kraula, ale nie przyniosło mu to ulgi. Żadnej ulgi. Nagle panujący tu hałas, krzątania i wesoły śmiech wydały mu się nie do zniesienia. Podniósł się i wyszedł, torując sobie drogę pośród grupy ludzi wchodzących akurat do baru.

Kiedy szedł ulicą z podniesionym kołnierzem, dla osłony przed deszczem, nagle zatrzymał się w pobliżu samochodu i usłyszał głos Sir George'a Harveya:

— Witam, panie Chavasse! Pomyślałem, że to właśnie pan. Może pana podwieźć?

Chavasse po chwili wahania wsiadł bez słowa do samochodu. Ruszyli i wtedy Sir George, wyraźnie podniecony, powiedział:

— Koszmarna historia zdarzyła się na przyjęciu u Nagela. Ktoś go zabił, a potem sam popełnił samobójstwo.

Chavasse zapalił papierosa i spytał, zachowując ostrożność:

— Był pan na miejscu, gdy znaleźli ciała?

— Nie, wszystkich wyproszono. Jako powód podano, że Nagel miał wypadek. Oczywiście byłem zaintrygowany i wychodząc spytałem jednego ze służących. Udzielił mi szczegółowego wyjaśnienia.

— Zidentyfikowali już człowieka, który go zabił? — spytał Chavasse.

— O ile wiem, to nie — odparł Sir George. — Kiedy opuszczałem Blankenese, zjawiła się akurat policja. — Chavasse nie odzywał się, a Sir George popatrzył na niego z zaciekawieniem. — A może pan coś wie na ten temat?

— Sądzę, że zdążyli się już zorientować, że jest to ciało Steinera, inspektora policji w Hamburgu.

Samochód gwałtownie się zatoczył, Sir George z trudem zapanował nad kierownicą i zahamował. Wyjął chustkę do nosa, którą przetarł czoło.

— Przepraszam — odezwał się — ale szczerze mówiąc, ogromnie mnie pan zaskoczył. — Chavasse nie odpowiedział i po krótkotrwałym milczeniu Sir George znowu się odezwał: — Sądzę, że ma to jakiś związek ze sprawą Schultza?

Chavasse opuścił szybę i rzucił papierosa prosto w deszcz.

— Sprawa Schultza już nie istnieje. Skończyła się, wszystko minęło.

— Ale co z rękopisem? — spytał Sir George marszcząc czoło.

— Stos popiołu — wyjaśnił Chavasse. — Niestety, Steiner zdążył mnie wyprzedzić o krok. Ciszę, jaka zaległa, przerwał Sir George pytając z zakłopotaniem:

— A panna Hartmann?

Chavasse nie mógł dobyć słowa, ale przełknął z trudem i zmusił się do odpowiedzi:

— Steiner dopadł i ją także.

Sir George powoli się obrócił i spojrzał na Chavasse'a z przerażeniem w oczach.

— Czy to znaczy, że nie żyje?

Chavasse nawet nie zadał sobie trudu, aby potwierdzić te słowa, siedzieli więc w absolutnym milczeniu. W końcu Sir George zapytał:

— Czy mam pana gdzieś podwieźć?

— Tak. — Chavasse skinął głową. — Chyba wrócę do jej mieszkania, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Sir George skinął głową, najwyraźniej zbyt poruszony, aby cokolwiek powiedzieć, i włączył silnik. Wkrótce jechali już w kierunku centrum Hamburga pośród strumieni deszczu.

Przed domem Anny, Chavasse szybko wysiadł, a Sir George stał nie wyłączając silnika. Wychylił się przez boczne okno i spytał:

— Czy mógłbym jeszcze coś dla pana zrobić?

— Dziękuję, poradzę sobie.

— Wyjeżdżam jutro popołudniowym pociągiem — mówił dalej Sir George. — Może się jeszcze przedtem zobaczymy?

— Ja również będę chyba wracał tym pociągiem. Nie ma potrzeby tkwić tu dłużej.

— Wobec tego nie żegnam się z panem — rzekł Sir George uśmiechając się sztywno. — Jeżeli nie spotkamy się w pociągu, to na pewno wypijemy razem drinka na statku. — Puścił sprzęgło i mercedes szybko ruszył, a Chavasse został sam na brzegu chodnika.

Ociągając się wszedł na schody, trudno mu było pogodzić się z myślą, że zostanie puste mieszkanie. Przed drzwiami zatrzymał się pełen wahania, \v końcu jednak wyjął klucz, który mu dała żona dozorca, i otworzył zamek.

Kiedy naciskał klamkę, wydało mu się, że słyszy wewnątrz jakieś poruszenie. Zatrzymał się, ale natychmiast otworzył szeroko drzwi i wszedł lekko pochylony, z rękami w pogotowiu.

Pośród pokoju stał Mark Hardt. Miał na sobie gruby płaszcz, ale jego spodnie były przemoczone, oblepiały mu nogi. Jego pobladła twarz wyrażała napięcie, odetchnął głęboko na widok Chavasse'a.

— Przez moment mnie nastraszyłeś.

Chavasse odpiął powoli swoją myśliwską kurtkę.

— Jak ci się udało im wymknąć?

— Nawet nie było to trudne. Kiedy odciągnąłem ich od was, przestałem tak piekielnie hałasować. Psy nie mogły mnie wytropić w tej ulewie. Przemknąłem przez szosę i zaszyłem się na strychu w stodole na jakieś trzy godziny. Potem uprosiłem kierowcę przejeżdżającej ciężarówki, aby mnie podwiózł. Powiedziałem mu, że byłem na biwaku, ale ulewny deszcz mnie wypłoszył. Nie sądzę, aby uwierzył, dał mi jednak ten płaszcz i podwiózł do Hamburga.

— Co z twoim ramieniem?

— Boli jak diabli — odparł Hardt, na jego zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech. — Chyba jednak przeżyję. Gdzie jest Anna?

— Wolałbym, abyś usiadł, Mark — zaczął powoli Chavasse. — Mam ci do przekazania bardzo złe wieści.

— Co masz na myśli? — spytał Hardt marszcząc czoło.

— Nie żyje — powiadomił go Chavasse spokojnym głosem. — Steiner i jego przyjaciele zdołali ją przychwycić.

Hardt zachwiał się, po czym na oślep wziął krzesło i usiadł. Po chwili zapytał martwym głosem:

— Jak to się stało?

Chavasse opowiedział mu w kilku zdaniach, a kiedy skończył, dodał z wahaniem:

— Nie wiem, czy może to być pociechą, ale Steiner i Nagel też nie żyją. Zakradłem się do ogrodu przy rezydencji Nagela w Blankenese razem z agentem niemieckiego wywiadu i czekaliśmy tam, dopóki nie pojawił się Steiner, by zabić Haupt-manna.

Hardt z trudem podniósł się z krzesła.

— Nie jest to żadną pociechą — odparł. — Steiner, Nagel i Caspar Schultz to kanalie, ale Anna... — Uśmiechnął się ze smutkiem. — Teraz wszystko wydaje mi się jakąś żalosną grą i zastanawiam się, jaki ma to sens.

Podszedł do stolika przy oknie i lekko dotknął jednej z hebrajskich książek.

— Zawsze odrabiała swoją pracę domową, jak to określała. Trudno w to uwierzyć, prawda, Chavasse?

Ramiona mu zadrżały, jego przyjemna twarz skurczyła się. Opadł na krzesło, skrył głowę w ramionach i zapłakał.

Chavasse stał przez chwilę, przyglądając mu się z bólem w sercu, po czym odwrócił się i wyszedł, zamknąwszy za sobą cicho drzwi.

14

W Hook van Holland było przenikliwie zimno, gdy statek wypływał z portu, a mgłę, nadciągającą nieustannie od Morza Północnego, rozwiewał lekki wiatr.

Chavasse oparty o barierkę palił papierosa i obserwował światła niknące w ciemnościach. Gdzieś z oddali, z któregoś z duńskich obozów wojskowych, dobiegał dźwięk trąbki niesiony wiatrem, poruszając go do głębi i napełniając przedziwnym smutkiem. Przez krótką chwilę przypomniał sobie słowa Anny, jakie wypowiedziała w domku myśliwskim w Berndorf: „Światła zgaszone, koniec, nic więcej”, i kiedy Holandię przesłoniła roztaczająca się za nim noc, wyrzucił papierosa w mgłę i zszedł na dół.

Miał kabinę dla siebie, rozebrał się więc do pasa, umył i ogolił. Potem, nie spiesząc się, nałożył świeżą koszulę i udał się do baru.

Nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin, ale po podwójnej whisky poczuł się trochę lepiej. Zapalił papierosa i rozejrzał się wokół siebie. Sir George siedział w rogu przy stoliku w towarzystwie dwóch mężczyzn i machał do niego poprzez salę. Chavasse lekko skłonił głowę i pochylił się nad swoją whisky.

Oparłszy się łokciem o barenkę wpatrywał się ślepo w przestrzeń, powracając myślami do wszystkiego, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, i przygotowując się do sprawozdania, jakie będzie musiał złożyć Szefowi.

Ale to okazało się bardzo trudne. Usilnie starał się skoncentrować, a mimo to wszystkie mniej ważne wydarzenia ustawicznie spychały na plan dalszy sprawy istotne, sprawy, o których Szef będzie chciał się dowiedzieć.

Najwyraźniej to objaw zmęczenia umysłowego, pomyślał; westchnął i przestał z tym walczyć. Przymknął oczy i natychmiast jej twarz zdawała się wyłaniać przed nim z ciemności, rozjaśniona słodkim, poważnym uśmiechem. Nagle przypomniał sobie, że tak właśnie wyglądała w domku myśliwskim w Berndorf, kiedy czekali na przyjazd samochodu Sir George'a.

Pamiętał, co wtedy powiedziała: „Któregoś dnia, kiedy o tym wspomnisz, będzie to po prostu coś, co się zdarzyło dawno temu”. I następnie przytoczyła słowa z jednej ze sztuk Marlowe'a: „Ale zdarzyło się to dawno temu i w innym kraju”.

Przez chwilę siedział tak z przymkniętymi oczyma z lekko zmarszczoną twarzą i nagle przypomniał sobie ten cytat w pełnym brzmieniu. Zadrżał gwałtownie, przeniknął go lodowaty chłód. „Ale zdarzyło się to dawno temu i w innym kraju, a poza tym... dziewczyna nie żyje”.

Czyżby przez jedną tylko, krótką chwilę doznała nagłego przecucia, co się miało wydarzyć? Lecz jego umysł odmówił mu całkowicie posłuszeństwa, więc sięgnął po szklaneczkę i wychylił do dna.

Zamierzał już się podnieść, gdy Sir George usiadł obok niego na stołku.

— Czy nie pora na szklaneczkę przed snem? — spytał.

Chavasse kiwnął głową i usiadł na powrót.

— Tylko jedną, jeśli pan pozwoli. Jestem potwornie zmęczony. Nie spałem od przedwczoraj. Sir George pokiwał głową ze współczuciem.

— Przykro mi, że nie mogliśmy się spotkać w pociągu. Tak się złożyło, że kilku delegatów Konferencji Pokojowej w ostatniej chwili zdecydowało się spędzić dzień lub dwa w Londynie przed zakończeniem obrad. Oczywiście byłem zobowiązany towarzyszyć im w podróży.

— Nie szkodzi — powiedział Chavasse, gdy barman postawił przed nimi dwie duże whisky. Sir George poczęstował go papierosem i potrząsnął głową.

— Paskudnie się czułem, zwłaszcza w tych okolicznościach. Potrzebny mi jest czas do przedyskutowania z panem pewnych spraw.

— Nie ma nad czym dyskutować — odparł Chavasse.

— Ależ jest — upierał się Sir George. — Odniosłem wrażenie, że odczuwa pan smutek z powodu tych wszystkich wydarzeń. Fiasko pańskiej niezwyklej misji, nieszczęśliwa śmierć panny Hartmann. Ale jak pan wie, jest i druga strona medalu. Mimo wszystko to pan ocalił Hauptmanna.

Kto wie, jakie znaczenie może to mieć dla przyszłości Niemiec?

Chavasse wolno pokiwał głową.

— No cóż, można na to spojrzeć i w ten sposób. — W oczach czuł tępy, pulsujący ból, a w głowie zadziwiająco pustkę. Podniósł się ze stołka i powiedział: — Mam nadzieję, że teraz mi pan wybaczysz. Jestem skonany.

Sir George pośpiesznie wychylił swoją whisky, twarz jego była pełna powagi.

— Co za głupota z mojej strony, żeby zatrzymywać pana, Chavasse. Wygląda pan okropnie.

Wyszli z baru i zatrzymali się przy zejściu pod pokład.

— Tu pana opuszczę — rzekł Sir George. — Pospaceruję sobie po pokładzie. Nigdy nie mogę spać podczas tej przeprawy — wyciągnął rękę. — Gdybym już pana nie zobaczył, to życzę powodzenia. A jakby pan kiedyś miał ochotę powrócić do normalniejszego życia, to proszę się zgłosić do mnie. Mam spore wpływy w kręgach biznesu.

Chavasse szedł korytarzem w stronę kabiny, rozmyślając na temat propozycji Sir George'a. Zastanawiał się, co by powiedział Szef, gdyby tak wkroczył do jego gabinetu i wręczył mu swoją rezygnację razem z raportem o sprawie Schultza. Było to kuszące... bardzo kuszące.

Otworzył drzwi kabiny i wszedł do środka, ziewając, a zmęczenie zdawało się przenikać aż do kości i zmieniać je w galaretę. Stał przed lustrem, by rozwiązać krawat, ale różne obrazy i myśli nieustannie wirowały mu w głowie, chaotycznie i bez sensu, aż nagle coś eksplodowało w jego podświadomości i jedno jedyne imię wyrwało się, zakłócając panującą ciszę.

Uchwycił się obiema rękami brzegu umywalki i spojrział w lustro; doznał szoku, jakby mu ktoś wylał kubek lodowatej wody na twarz. Natychmiast przeszło mu zmęczenie, wciągnął na siebie płaszcz nieprzemakalny i wyszedł z kabiny.

Statek płynął przez cichy świat gęstej mgły, a kiedy Chavasse pojawił się na górnym pokładzie, trochę padało. Zapalił papierosa i ruszył przed siebie, bystrym wzrokiem penetrując każdy kąt.

Znalazł Sir George'a przechylonego przez poręcz rufową, z zapalonym cygarem w zębach i jedną ręką głęboko wetkniętą w kieszeń ciężkiego płaszcza. Marynarz we włóczkowej czapce i ciepłej kurtce skręcał linę, a gdy pojawił się Chavasse, natychmiast zniknął gdzieś we mgle.

Sir George odwrócił się w jego stronę.

— Och, to pan, Chavasse. Zrezygnował pan z pójścia do łóżka, co?

Chavasse kiwnął głową.

— W sprawie Schultza jest jedna wątpliwość, a może nawet dwie. Pomyślałem sobie, że zapewne pan pomoże mi je rozwikłać.

— Oczywiście, mój chłopcze — odparł Sir George. — Chętnie będę służył pomocą.

— Właśnie na to z pana strony liczę — uśmiechnął się Chavasse przymilnie. — Może pan zacząć od opowiedzenia mi, jak poznał pan Kurta Nagela, Steinera i resztę tej przyjemnej paczki.

Twarz Sir George'a w mdłym świetle pokładowej lampy wydała się nagle stara i zgnębiona. Obliżał wargi i powiedział:

— Nie wiem, o czym pan mówi?

— Wobec tego postaram się to panu wyjaśnić — odparł Chavasse. — Od samego początku pakował mi pan nóż w plecy. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Sir George nagle ruszył do przodu i próbował przemknąć obok niego.

Chavasse przyciągnął go gwałtownie i zadał silny cios w twarz.

Sir George zachwiał się do tyłu i osunął na kolano. Przez chwilę nie zmieniał pozycji, na jego wargach pokazała się krew. Kiedy podniósł się na nogi, wysunął z kieszeni płaszcza prawą rękę, w której trzymał starego Webleya kaliber 38 ze specjalnie obciętą lufą.

— To na nic się panu nie zda — ostrzegł Chavasse.

Sir George wytarł starannie chusteczką krew z twarzy. Gdy się odezwał, jego głos był zimny i bezosobowy:

— Jak pan to odkrył?

— Ponieważ zdradził się pan dzisiaj w barze — odparł Chavasse. — Mówił pan, żebym nie odczuwał smutku z powodu tych wszystkich wydarzeń, gdyż przynajmniej ocalałem Hauptmannowi życie.

Sir George zmarszczył brwi, po czym jakby mu się raptem rozjaśniło w głowie.

— Ależ oczywiście... nie powinienem był wiedzieć o planie zamordowania Hauptmanna, nieprawdaż?

— Tak, była to z pańskiej strony spora nieostrożność — przyznał Chavasse.

Sir George wzruszył ramionami. Wszyscy popełniamy błędy.

— Ale były jeszcze inne sprawy. Przedtem nie miały one sensu, ale teraz mają. Fakt, iż opozycja wiedziała, że Muller ma się ze mną spotkać w pociągu w Osnabrucku, zawsze mnie nurtował. A potem jeszcze to, co Nagel powiedział w Berndorf, gdy pierwszy raz zobaczył Annę. Dosłownie jego słowa brzmiały: „A więc to jest ta Żydówka?”

— A co w tym szczególnego? — spytał Sir George.

Chavasse wzruszył ramionami.

— Słowo „rasa” jest już teraz wyłącznie abstrakcją. Nagel wiedział, że była Żydówką, tylko dlatego, że mu ktoś doniósł, a jedyną osobą poza mną, która wiedziała, że podziemna organizacja izraelska interesuje się Schultzem i rękopisem, był pan, gdyż ja się panu zwierzyłem.

— Zdaje się, że byłem nawet bardziej nieostrożny, niż przypuszczałem — westchnął Sir George. — To wielka szkoda, Chavasse, ponieważ naprawdę polubiłem pana, a teraz muszę pana zabić.

Chavasse wyjął papierosa i spokojnie zapalił.

— Ale nie bez wyjaśnienia — powiedział. — Chyba mam do tego prawo?

— Oczywiście, czemu nie. — Sir George wzruszył ramionami. — To naprawdę jest całkiem proste. W moim życiu był taki okres, kiedy wyrażałem niezadowolenie ze sposobu, w jaki rządono w moim kraju, a podziwiałem wszystko to, co się działo w Niemczech pod rządami nazistów. Faktycznie kilkakrotnie prasa krytykowała mnie za moje zanedo gorliwe popieranie Herr Hitlera.

— A jak gorliwe było to poparcie? — spytał Chavasse.

— Gdyby Niemcom udało się podbić Anglię, zgodziłem się zostać głową tymczasowego rządu — odpowiedział spokojnie Sir George.

I nagle cała sprawa zaczęła nabierać sensu.

— Schultz wspominał pana w swoim rękopisie, prawda?

— Skłonny byłbym przypuszczać, że poświęcił mi przynajmniej jeden rozdział. Był on jedynym członkiem nazistowskiej hierarchii, z którym utrzymywałem bliski kontakt jeszcze na kilka lat przed wojną. Całe to przedsięwzięcie było ustalane za jego pośrednictwem i było tak tajne, że tylko Schultz, Hitler i pośrednik z kół politycznych o tym wiedzieli.

— A kto był tym pośrednikiem?

Sir George pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

— Kurt Nagel.

— Teraz to zaczyna mieć sens — oznajmił Chavasse. — Przypuszczalnie od tamtej pory pana szantażował?

Sir George potrząsnął głową.

— Nie powiedziałbym tego. Zawsze bardzo dobrze się nawzajem rozumieliśmy. Może wyrażę to w ten sposób. Wiedziałem, że startował w przemyśle w niedobrych powojennych czasach, kiedy wszystko było bardzo trudne. Faktycznie, okazało się to dla mnie w konsekwencji całkiem pomyslnie. Zawsze byliśmy ze sobą w jak najlepszych stosunkach.

— Czy wiedział pan o jego działalności w nazistowskim podziemiu?

— Dowiedziałem się niedawno. Kiedy dyrektorzy wydawnictwa, w którym mam swój udział, przedstawili mi ofertę Mullera, poczułem się schwytyany w pułapkę. Nie mogłem powstrzymać ich od przekazania tej wiadomości odpowiednim władzom, wobec tego uznałem, że najlepiej będzie, jeśli sam ją przedstawię.

— To sprytne z pańskiej strony — przyznał Chavasse — ale i dosyć niebezpieczne.

Sir George pokręcił głową.

— Miałem szczęście, Chavasse. Nieprawdopodobne szczęście od samego początku. Skontaktowałem się z Nagelem i opowiedziałem mu, co się zdarzyło. Okazało się, że już miał cynk o Mullerze ze strony niemieckiej i to on zorganizował to wydarzenie w pociągu. Wówczas wydawało się to sprytne. Dobry sposób na porwanie Mullera i pozbycie się pana.

— Ale nie wziął pan pod uwagę Marka Hardta.

Sir George ciężko westchnął.

— Nie można myśleć o wszystkim. Byłem tak ostrożny, jak tylko możliwe. Zawsze działałem za pośrednictwem Nagela, nikt więc nie wiedział, że biorę w coś udział. Ale ostatniej nocy, kiedy powiedział mi pan, że dziewczyna ma rękopis, musiałem działać szybko, a to, niestety, oznaczało spotkanie z Steinerem i sprowadzenie go do jej mieszkania.

Chavasse poczuł nagle ucisk w piersi, jakby mu tchu zabrakło. Odezwał się wolno:

— A więc to pan i Steiner zabraliście ją z mieszkania?

Sir George skinął twierdząco głową.

— Niestety, tak. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, w jak kłopotliwym położeniu się znalazłem. Musiałem sam się przekonać na własne oczy, że rękopis został zniszczony. Przykro mi z powodu dziewczyny... po prostu stała nam na drodze. To Steiner je zastrzelił... nie ja.

— Ale pan i tak by ją zabił, ponieważ znała pańską tajemnicę.

Sir George poważnie pokiwał głową.

— Tak. Obawiam się, że tak bym zrobił. Natomiast Steinera nie zabiłem tylko dlatego, że powiedział mi o sprawie Haupt-manna, co pozwoliło mi dostrzec w innym świetle uwagi, jakie robił pan wcześniej tego wieczora, oraz wizytę tego faceta z niemieckiego wywiadu. Uznałem, że tak czy inaczej Steiner jest już najprawdopodobniej chodzącym trupem.

— Tak więc dostał pan dwóch za cenę jednego — powiedział Chavasse. — Nagela również. Obecnie żyje tylko jedna osoba, która wie, że zamierzał pan zostać jednym z najohydniej szych zdrajców w historii Anglii.

Sir George przytaknął i zrobił pół obrotu, a pistolet nawet na chwilę nie zadrzął w jego dłoni.

— Proszę stanąć tyłem do barierki! — rozkazał.

Chavasse niespiesznie szykował się do zmiany żądanej pozycji, każdy mięsień miał naprężony i gotów do akcji. Skoro i tak ma umrzeć, to przedtem jeszcze pokaże, co potrafi.

— Świetnie — powiedział Sir George. — Tak, ma pan całkowitą rację. Pan jest jedyną osobą, która może mnie zniszczyć w oczach świata. Niech mi pan wierzy, że przykro mi z tego powodu. Polubiłem pana.

Cofnął się o krok, podniósł ramię i wycelował szybko, by nie dać się zaskoczyć Chavasse'owi. W momencie gdy naciskał palcem cyngiel, z mgły wyłonił się w milczeniu ów marynarz, którego Chavasse już przedtem zauważył. Wyciągnął prawą rękę i walnął z całej siły Sir George'a w kark.

Rewolwer wyleciał z bezwładnych palców, a on sam zaczął się osuwać na pokład; marynarz chwycił ciało za ramiona. Podeszedł szybko do nadburcia i rzucił Sir George'a Harveya w gęstą mgłę.

Cała scena rozegrała się w tak nieprawdopodobnie szybkim tempie, że Chavasse nie zdążył nawet nic przedsięwziąć. Gdy marynarz kopnął pistolet za burtę, Chavasse chwycił go za ramię i ob-

róciwszy ku sobie spojrzął w bladą, kamienną twarz Marka Hardta.

Przez chwilę panowała cisza, po czym odezwał się Hardt spokojnym głosem:

— Zejdź na dół do kabiny, Paul. Lepiej, żeby cię teraz nikt nie widział na pokładzie. Będą cię i tak dokładnie wypytywać później.

— Jak się dowiedziałeś? — spytał Chavasse.

Hardt wzruszył ramionami.

— Kiedy wczoraj w nocy wyszedłeś, ja zostałem jeszcze, aby uprzątnąć rzeczy Anny. Najwyraźniej musiała czytać rękopis Schultza, bowiem porobiła na nim notatki w języku hebrajskim. Zdaje się, że to był rozdział o Harveju.

Chavasse odwrócił się, spoglądając przez nadburcie na kłębiącą się w dole mgłę. Zadrżał.

— Cholera, co za koszmarna śmierć, ale nie mogę powiedzieć, że bym go żałował. To on był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Anny.

Hardt skinął głową.

— Lepiej, że tak się stało. Znany angielski polityk ginie tragicznie w wypadku, a kraj unika skandalu na skalę światową.

Chavasse przez chwilę spoglądał na niego uważnie, po czym potrząsnął głową.

— Dziwny z ciebie człowiek, Mark. Nie sądzę, bym kiedykolwiek naprawdę mógł cię zrozumieć.

Hardt uśmiechnął się położywszy mu rękę na ramieniu.

— Kochałeś ją, prawda, Paul?

Chavasse powoli przytaknął i westchnął.

— Tak, ale nie wyszło jej to na dobre.

— Ja też ją kochałem — wyznał Hardt. — Zawsze łączyła nas bliska więź.

Przeszli przez pokład i zatrzymali się na chwilę przed wejściem do baru. Hardt wyciągnął rękę mówiąc z powagą:

— Nie sądzę, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali, Paul.

Chavasse ujął jego dłoń i przytrzymał. Bardzo pragnął coś mu powiedzieć, ale nim znalazł odpowiednie słowa, Hardt odwrócił się i rozpląnął we mgle.

Statek zdawał się unosić wysoko na fali.

Chavasse aż wstrzymał oddech, kiedy, ni stąd, ni zowąd, pomyślał o Annie. A gdy statek osunął się gładko w dół, Chavasse pchnął drzwi i wszedł do środka.

Jean Frazer zajęta była pisaniem na maszynie, kiedy Chavasse wchodził do jej pokoju. Przysiadł na brzegu biurka, sięgnął po papierosa i czekał, aż skończy.

Po chwili zdjęła okulary i odchyliwszy się w krzesło, spojrzała na niego krytycznie.

— Nie najlepiej wyglądasz — powiedziała. — Ciężko było?

— Dosyć ciężko. — odparł. — Czy już przeczytał mój raport?

Kiwnęła głową.

— Z samego rana. Czemu nie przyniosłeś go osobiście?

Wzruszył ramionami.

— Potrzebowałem trochę snu. Niewiele spałem w ciągu ostatnich kilku dni.

— A najbardziej potrzebny ci jest urlop.

— Właśnie zamierzam go wziąć — odparł. — Czy on już jest?

Skinęła głową.

— Czeka na ciebie.

Włożyła na powrót okulary i zabrała się do pisania. Chavasse przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

Kiedy je zamykał za sobą, Szeff szybko uniósł wzrok i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Czekałem na ciebie, aż się odezwiesz, Paul. Jak z raportu wynika, miałeś, zdaje się, niezłą zabawę?

Chavasse osunął się na krzesło.

— Rzeczywiście, piekielnie dużo się działo. Czy miałeś kiedykolwiek choćby najlżejsze podejrzenie wobec Harveya?

Szeff pokręcił przecząco głową.

— W latach przedwojennych wielu wybitnych ludzi sympatyzowało z nazistami. Nie zominaj, że przez długi okres zdawało się, że Hitler robi dobrą robotę. W tym czasie kilku polityków rozumowało podobnie jak Harvey.

— Nie ulega wątpliwości, że przyłożył się skutecznie do tej roboty — stwierdził Chavasse — i to on bezpośrednio ponosi odpowiedzialność za zniszczenie rękopisu Schultza.

— Co za chytra sztuka! — stwierdził Szeff. — Mówiąc nawiasem, cieszę się, że go w ten sposób załatwiłeś. Zaoszczędziłeś wszystkim mnóstwa nieprzyjemności.

— Możesz podziękować Hardtowi, nie mnie — wyjaśnił Chavasse. — Gdyby nie wkroczył do akcji, to ja znalazłbym się za burtą.

— Jak na amatora, to facet niesłychanie sprawny — stwierdził Szeff. — Jak sądzisz, lubiłby tę robotę?

Chavasse potrząsnął głową.

— Wykluczone. To człowiek pełen poświęcenia.

Szef uśmiechnął się cierpko.

— Tak tylko pomyślałem.

Wziął raport, szybko go przerzucił i po chwili już mówił dalej:

— A więc możemy z pełnym przekonaniem stwierdzić, że spośród tej niemieckiej bandy Nagel i Steiner nie będą już nigdy nikomu sprawiać kłopotu?

— Możesz jeszcze wliczyć strażnika zamku, faceta imieniem Hans — dodał Chavasse. — Myśle, że przetrąciłem mu kark.

— A co z Krugerem? — spytał Szef. — Odnoszę wrażenie, jak gdyby wciąż jeszcze tkwił niczym cierń w czyjejs nie zagojonej ranie.

Chavasse wyciągnął z kieszeni gazetę i przesunął ją po blacie biurka.

— To popołudniowe wydanie. Kupiłem po drodze. Jeśli spojrzysz na drugą stronę od dołu, zobaczysz tam krótką wzmiankę o przedwczesnej śmierci doktora Otto Krugera, znanego hamburskiego lekarza. Wystartował własnym samolotem z prywatnego lotniska pod Hamburgiem... oczywiście miejsce przeznaczenia nie znane. Najwyraźniej był jakiś mały defekt. Spadł z wysokości stu metrów.

— Jak myślisz, dokąd się wybierał? — spytał Szef. — Do Zjednoczonej Republiki Arabskiej? Chavasse wzruszył ramionami.

— Możliwe, ta część świata zdaje się cieszyć dużym powodzeniem.

— Gdziekolwiek to miało być, już tam nie doleci — Szef uśmiechnął się od ucha do ucha. — Pozostała jeszcze sprawa von Kraula. Ten nie traci czasu.

— Muszę przyznać, że podoba mi się sposób, w jaki pracuje — powiedział Chavasse. — Nie wygląda na tego, kim jest, co w tej grze jest niewątpliwie bezcennym atutem.

— Tak, to świetny facet — westchnął Szef. — A oto drobny szczegół wart zapamiętania, że nie wszyscy Niemcy byli członkami partii nazistowskiej i że nie wszyscy inspektorzy policji hamburskiej mają przypominać Steinera.

Chavasse przytaknął lekko głową w milczeniu. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak wyczerpany; na chwilę przymknął oczy i próbował się zrelaksować. Był niczym pęknięta sprężyna w zbyt mocno nakręconym zegarku.

Walczył z uczuciem zmęczenia, a kiedy otworzył oczy, Szef spojrział na niego i zamknął raport.

— Biorąc wszystko pod uwagę, sądzę, że sprawy mogły się potoczyć o wiele gorzej.

— Cieszę się, że patrzysz na to w ten sposób — powiedział Chavasse. — Bo jednak nie dostaliśmy rękopisu, a Schultz już nie żył.

— Ale ocaliłeś życie Heinrichowi Hauptmannowi — zwrócił mu uwagę Szef — i wyczyściłeś to

obrzydliwe gniazdo szcurów. Resztą bym się specjalnie nie przejmował.

Wybrał sobie papierosa ze srebrnej szkatułki stojącej na biurku.

— Haniebnym skandalem jest jednak sprawa tej dziewczyny... mam na myśli Annę Hartmann.

Musiała mieć niesłychaną odwagę.

Chavasse potrząsnął wolno głową.

— To było coś więcej ... dużo więcej. Cierpiała na cnotę, którą posiada niewielu ludzi... absolutną uczciwość. A na domiar tego wszystkiego była we mnie zakochana.

Teraz, kiedy to powiedział, poczuł, jak drżą mu ręce. Podniósł się, podszedł do okna i wyjrzał na ogród. Lekki wiatr uderzał w szybę, a z rosnącego pod oknem całkiem ogołoczonego platanu spadł na mokrą trawę ruchem spiralnym pojedynczy liść.

Tuż za nim odezwał się łagodnie Szeff:

— A więc tak to wyglądało?

Chavasse odwrócił się powoli.

— Kiedy wchodziłem do tego biura, zamierzałem złożyć rezygnację.

— A teraz? — spytał Szeff.

Chavasse westchnął i nieznaczny, raczej chłopięcy uśmiech rozjaśnił całą jego twarz.

— Teraz, jak sądzę, chciałbym dostać ten urlop, który mi obiecałeś.

Kiedy Szeff się odezwał, w głosie jego wyczuwało się odprężenie.

— No, to jest coś. A już byłem zaniepokojony. — Zachichotał. — Jesteś po prostu przemęczony. Wiem, że to nic zabawnego wykonać dwa trudne zadania jedno po drugim, ale teraz możesz się uwolnić od wszystkiego na jakieś sześć tygodni i odpocząć. Wygrzać się w słońcu. Powiadają, że o tej porze roku przyjemne są Bermudy.

Chavasse uniósł brwi.

— Nieważne koszty, byle tylko uszczęśliwić pomocnika, co?

Szeff uśmiechnął się.

— Jak będziesz wychodził, zobacz się z Jean. Powiedz jej, gdzie chcesz jechać, a ona załatwi ci bilety. — Westchnął i wziął regulator. — Teraz, jeśli pozwolisz, muszę się pośpieszyć / oficjalnym raportem. Minister spraw zagranicznych ma wieczorem obiad z premierem i staruszek chce wiedzieć o wszystkim.

Otworzył regulator i wziął pióro, a Chavasse wyszedł do drugiego pokoju.

Jean Frazer stała przy szafie z aktami i odwróciła się z pytającym uśmiechem na twarzy.

— Dostałeś to, czego chciałeś?

Skinął głową.

— Myślę, że można i tak powiedzieć.

Wzięła notatnik.

— Gdzie to ma być... Bermudy?

Energicznie zaprzeczył.

— Połącz się z EL AL i zarezerwuj bilet na pierwszy poranny lot do Tel-Awiwu.

Kiedy skierował się w stronę drzwi wyjściowych i już wychodził, Jean spytała z wahaniem:

— Ale dlaczego Izrael?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

— Bo niedaleko miasta Migdał nad Morzem Galilejskim jest wzgórze, na które chciałbym się wspiąć. Obietnica, jaką dawno temu złożyłem przyjacielowi.

I zamknął za sobą drzwi.

Dawno temu? Gdy podążał przez hali, uśmiechał się do siebie i potrząsał głową, gdyż ona znów zdawała się być blisko niego.